Pisma Goszczyńskiego

Tom pierwszy



LWÓW—TOWARZYSTWO WYDAWNICZE—1904

PISMA

SEWERYNA GOSZCZYŃSKIEGO

I



Seweryn Goszczyński

PISMA

SEWERYNA GOSZCZYŃSKIEGO

WYDANIE KOMPLETNE

UZUPEŁNIONE PISMAMI POŚMIERTNEMI

POD REDAKCJĄ

ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO

TOM I

Z PORTRETEM AUTORA



LWÓW—WARSZAWA

NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO

1904



KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

PRZEDMOWA.

Dzieła, w wydaniu tem zawarte, uważać należy za jeden z okazalszych i znamienniejszych pomników umysłowości polskiej XIX wieku i za pamiątkę po wybitnej postaci dziejowej. Portret, obok podany, wyobraża autora tych pism w sile wieku, w czwartym lat jego dziesięcioleciu.

Seweryn Goszczyński, zaliczony w historji literatury do grupy poetów ukraińskich, urodził się w Ilińcach (w powiecie lipowieckim) 4. listopada 1801 r.; umarł we Lwowie 25 lutego 1876 r. Droga jego życia szła przez Humań, gdzie szkoły średnie u Bazylianów kończył (w r. 1819), przez Warszawę, Lwów, Kraków (1831—38), Strasburg, Paryż (1839—72), Lwów (1872—76).

Był jednym z najrzetelniejszych i najjednolitszych w piśmie i w życiu przedstawicieli romantyzmu. Romantykiem się urodził i romantykiem umarł. Do r. 1835 pisał wyłącznie poezje wierszem, potem uprawiał przeważnie prozę, a po r. 1842, jako Towiańczyk, przestał pisywać, kiedy dusza nie mieściła się już w ramach sztuki i życia praktycznego. Z młodzieńczej

uczuciowości szedł przez refleksję do mistycyzmu, od liryki — do wieszczenia mesjanistycznego.

Był wiernym wyrazem swojej epoki; przez niego można jej pierwiastki badać, jak przez szkło powiększające. Potęgował w sobie każdy prąd czasu: stały był, karny i gorliwy w przekonaniach. Pełen wyobraźni czynu, nadawał życiu piętno poezji, a tej znowu — czynu. Człowiek dobrej i atletycznej woli, o dobro zaś materjalne romantycznie niedbały, łączył w sobie typy Katona i cygana. Żył większą część dni swoich w najgłębszej nędzy, w zupełnem pod koniec zobojętnieniu dla doczesności.

W krótkiem objaśnieniu wydawniczem nie miejsce na charakterystykę umysłu i talentu; należy raczej wyjaśnić rzecz bibliograficznie.

S. Goszczyński zaczął pisać w szkołach. Za pierwszy utwór poetycki trzeba uważać przeróbkę z Horacego pieśni: Do przyjaciół, dokonaną 1818 r. Był wtedy chłopcem 17-letnim. W czasopiśmie warszawskiem «Wanda» z r. 1821 znajdujemy dwa utwory: Sonety i Triolety (napisane w Hordaszówce 1819 r.) i Dumę o Stefanie Czarnieckim (nap. 1820). W r. 1823 napisał (o ile wiemy z druków) dwa utwory: Ostatnią przechadzkę (drukowaną w warszawskiej «Astrei» 1824 r.) i Zdanie się (ogłoszone pierwszy raz w «Trzech strunach« 1839).

Odtąd zaczyna się już regularna twórczość poetycka w porozumieniu literackiem ze współczesną młodą literaturą w Wilnie. Z r. 1824 znamy już 15 utworów Goszczyńskiego.

Ogółem do r. 1829 włącznie, z pod jego pióra dostało się do druku 58 utworów, przeważnie lirycznych i drobnych. Między niemi jest już Zamek Kaniowski, pisany w 1826—27, a wydany poraz pierwszy w Warszawie u Glücksberga 1828 r. W ciągu dwu lat następnych w Warszawie napisał 20 liryk.

Za pobytu w Galicji 1831 — 1838 płodność Goszczyńskiego nie ustawała, raczej potęgowała się. Znamy z tego czasu około 70 utworów poetyckich, a między niemi Sobótkę, jako część niedokończonego poematu p. t. Kościelisko (1833). W tych latach pisał też wiele prozą.

W r. 1832 przełożył Pieśni Ossjana (dwa tomy w wydaniu lwowskiem z 1838 r.). Z tegoż roku pochodzi materjał Dziennika podróży do Tatrów, wydanego w Petersburgu 1853, oraz artykuły podróżnicze drukowane r. 1835 w «Powszechnym Pamiętniku nauk i umiejętności» (Kraków 1835). W r. 1835, jako współredaktor przytoczonego «Pamiętnika», drukuje w tem piśmie rozprawy literackie: Przedmowę do pisma, Nową epokę poezji polskiej i kilka sprawozdań literackich.

Po wyjeździe do Francji, Goszczyński bardzo rzadko ucieka się do rymów. Oprócz Anny

z Nabrzeża (pisanej 1840), większe utwory poetyckie podaje w szacie prozaicznej: Król Zamczyska (pis. 1839—40), Straszny Strzelec (1841), Oda (1842). W tym okresie, od czasu wyjazdu z Galicji do chwili wstąpienia na drogę Towianizmu (1839—1842), Goszczyński napisał zaledwie sześć drobniejszych utworów wierszowanych. Za to artykułów jego publicystycznych i literackich znamy z tego okresu zgórą 40.

Od r. 1843 Goszczyński pisuje czasami poezje religijne lub mesjanistyczne, ale zaledwie kilka z nich drukuje. Od tego czasu do śmierci wydał osobno dwie prace publicystyczne, jeden utwór poetycki. W r. 1853 ogłosił wspomniany wyżej Dziennik podróży do Tatrów. Z ostatnich lat życia Goszczyńskiego pochodzą: odczyt wygłoszony w Paryżu 1870 r. o poezji polskiej, mowa nad grobem Izabelli Dobrowolskiej w Krakowie 1872 r. i wiersz w imionniku p. Lucyny Bukowskiej z r. 1873, wydrukowany w księdze zbiorowej «Warta» (Poznań 1874).

Wydawnictwo niniejsze objąć ma wszystkie utwory poetyckie i prace literackie Seweryna Goszczyńskiego z nieznacznemi wyjątkami, o których niżej. Będzie to więc pierwsze zupełne wydanie pism tego poety. Złożą się na nie: 1) prace, znajdujące się w dotychczasowych wydaniach zbiorowych pism poety; 2) rzeczy wy-

dane osobno, a dotąd nie wcielone do pism zbiorowych; 3) utwory poetyckie i artykuły, rozrzucone za życia autora po czasopismach, noworocznikach, księgach pamiątkowych, dotychczas niezebrane i bezimiennością pokryte; 4) pisma dotychczas nie drukowane, spoczywające w papierach pośmiertnych, w pewnej części ogłoszone w czasopismach po śmierci poety.

Wydań zbiorowych pism Goszczyńskiego było dotąd, nielicząc paru ułamkowych (z r. 1831 i 1839), zaledwie pięć: 1) 1838 r. we Lwowie u Pillera i Sp. w trzech tomach, 2) 1841 Edwarda Raczyńskiego w Poznaniu w dwu tomach, 3) 1852 we Wrocławiu u Zygmunta Schlettera w trzech tomach, 4) 1870 w Lipsku u F. A. Brockhausa w dwu tomach, 5) 1874 w Warszawie u Lewentala (jako odbicie z «Biblioteki najcelniejszych utworów») w jednym tomie. Najzupełniejsze z tych wydań jest lipskie, dokonane pod redakcją i dozorem poety.

Owo wydanie lipskie, które należy brać za podstawę dalszych wydań, obejmuje, rzec można, połowę wszystkich znanych nam pism Goszczyńskiego. Do rzeczy tam zawartych należy dodać: 1) z wydań zbiorowych poprzednich przekład Pieśni Ossjana, umieszczony w II i III tomie wydania lwowskiego z 1838 r., a stanowiący w naszem wydaniu tom II, 2) kilka pism wydanych osobno (1845—1870), między innemi Dziennik podróży do Tatrów (u Wolffa w Peters-

burgu 1853) 3) szereg utworów poetyckich i artykułów ogłoszonych po czasopismach; takich pozycji znaleźliśmy ogółem 70 (16 poezji i 54 artykuły), 4) wreszcie 21 znanych nam utworów poetyckich pośmiertnych. Ogółem w wydawnictwie zupełnem należy dzisiaj spis rzeczy względnie do zawartości wydania lipskiego, powiększyć o 58 tytułów prozy i 38 tytułów poezji, co objętością zdwaja dawniejsze wydania tego pisarza.

Oczywiście niektóre mniej ważne artykuliki trzeba było pominąć, jak również nie wliczono do powyższego rachunku przekładów, dokonywanych przez poetę raczej dla zarobku, nie z potrzeby twórczej. Do takich przekładów zaliczamy: Klasztor, powieść Waltera Skotta (Warszawa 1830), Robert djabeł, dramat Ernesta Raupacha (Warszawa 1867), oraz niewydany dramat francuski, Silna wola (*Velonté*) J. Duboye'a znajdujący się w rękopisie we Lwowie, w bibljotece hr. Dzieduszyckich.

Wydanie niniejsze dzielimy ze względów praktycznych na dwie serje. Do pierwszej, obejmującej kilka pierwszych tomów wejdą utwory, drukowane w wydaniu Lewentala z r. 1874, z dodaniem: Dziennika podróży do Tatrów, Pieśni Ossjana (Lwów 1838), oraz utworów, dotąd nie objętych wydaniami zbiorowemi, a drukowanych różnemi czasy przeważnie w czasopismach warszawskich.

Wszystkie inne utwory wejdą do serji drugiej. Podział powyższy nie pozwala nam na układ wydawnictwa wedle jakiejś jednej zasady, n. p. ściśle chronologicznej, lub na układ systematyczny według rodzajów. Podany na końcu każdego tomu spis rzeczy, a w ostatnim tomie skorowidz, ułatwią czytelnikowi orjentowanie się w całości.

Lwów, 1903.

Z. Wasilewski.

Wszystkie inne utwory wejdą do serji drugiej.

Podział powyższy nie pozwala nam na układ wydawnictwa wedle jakiejś jednej zasady, n. p. ściśle chronologicznej, lub na układ systematyczny według rodzajów. Podany na końcu każdego tomu spis rzeczy, a w ostatnim tomie skorowidz, ułatwią czytelnikowi orjentowanie się w całości.

Lwów, 1903.

Z. Wasilewski.

POWIEŚCI WIERSZEM

ZAMEK KANIOWSKI.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

1.

Wspaniałe zamku Kaniowskiego wieże
Wznoszą się w chmury, jak olbrzyma ramię;
A dzielnej ziemi powiewa z nich znamię,
A wielkich granic twarda ich pierś strzeże.
Kaniów, po jarach, górach rozpierzchnięty,
Igra, jak dzieci, pod piastunki okiem;
Dumne, że płyną pod olbrzyma bokiem,
Poważnie kipią dnieprowych wód męty;
A lasy świeże, jak powab nietknięty,
Po górach dzikich, jak rozpaczy czoło,
Rozległe brzegi obsiadły wokoło.

2.

Wietrzna, jesienna zawyła noc zdala.
Warzą się wiry w zamąconem łożu;
Wre chmur kłębami i niebo, jak fala,
Złośliwy obłęd igra po rozdrożu.

Podróżny z cichem szeptaniem pacierza
Mija rozdoły, świstające trzciną;
W skrwawionych szponach zgłodniałego zwierza
Dławione bydlę poryka doliną.
Pod szturmem wiatru, co silnie dmie górą,
Słychać skrzypienie głównej szubienicy;
Trup się kołysze, pies wyje ponuro,
Śmierć snu osiadła w zamku okolicy.
Szablą czasami pobrzękując krzywą,
Szyldwach wisielca wzdłuż płaskiego wzgórza,
Zwijając wąsy, przechadza się żywo.
To cisza nocy w myślach go ponurza,
To szubienicy skrzypienie ocuci,
A on wzrok błędny to na trupa rzuci,
Niby się jego zatrwożył wskrzeszenia,
To, jak po śmiałość, kieruje spojrzenia,
Gdzie baszt zamkowych opiekuńcza gwiazda,
Strażniczy ogień, czuwa z wierzchu wieży.
Szelest po krzakach. Czy ptak pierzchnął z gniazda?
Coś majaczeje, coś po drodze bieży.
Tfu! W imię Ojca... To tumany djable.
Po cieniach nocy wszystko się rozsiało.
Kozak opatrzył janczarkę i szablę
I dawną drogą chodził dalej śmiało.

3.

W świetle księżyca, co wyjrzy czasami,
Mignął ktoś bielą i zagasł tam w krzaku,
I śpiew dziewiczy przeleciał z wiatrami.
Ten śpiew znajomy budzi dreszcz w kozaku.
Alboż to dziwno, że słowa dziewczyny
(Poznać ją można po jej miłej nucie)
W burzliwem sercu syna Ukrainy
Ocknęły nagle burzliwe uczucie?
Oho! Już niema kozaka u wzgórza.
A księżyc znowu mgłami się zachmurza

I noc mokremi tumanami bije,
I szubienica skrzypi, i pies wyje,
I po rozdrożu igrają bałwany,
I wicher z jękiem dmie w zamkowe ściany.

4.

Luba puszczyka siedzi naperzona;
W szczelinie wieży dawno jęczy ona,
Że miesiąc ściemniał, wiatry na nią wyły
I na tak długo odleciał jej miły.
Wszak to lot jego usłyszała w górze?
Nie! To dziewczyna przychodzi pod wieżę,
Błądzącą ręką za mury się bierze,
Plątane nogi pośród nocy stawia.
— »Czyś tu, Nebabo?« — z cichutka przemawia.
— »Tu, tu, Orliko!« — szepnął głos przy murze.
— »O, jakżem rada, żem wreszcie przy tobie!« —
Głośniej i śmielej dziewczyna wyrzekła. —
»Jakże tu ciemno, jak straszno! Jak w grobie.
»Chętniebym jednak, za każdą zręcznością
»I do samego uciekała piekła
»Przed tego Lacha obrzydłą miłością.
»Jakże tu wietrzno, i straszno, i ciemno!
»Ale mnie dobrze, skoro jesteś ze mną!«
Kozak tymczasem uchylił swej burki,
I utuloną do boku przycisnął,
Bo przykry wicher pośród murów świsnął
I mgliste jęły podnosić się chmurki.

5.

Resztę rozmowy utaja milczenie.
A i na wieży miłe posiedzenie,
Gdy rozkochane zlecą się puszczyki.

PUSZCZYK PIERWSZY.

Skąd ci ten pośpiech i wesołe krzyki?

PUSZCZYK DRUGI.

Patrzajno, patrzaj, miluchna,
Oczkiem żywem, jak blask próchna:
Patrzno i śmiej się, bo twe śmiechy — miłe,
Jak tej matki wrzask przestrachu,
Którą niedawno ostrzegałem z dachu,
Że chory jej pieszczoszek zalegnie mogiłę:
Jak djabli przy wisielcu snują się orszakiem.
Co oni wyrabiają z tym biednym kozakiem!
Cha, cha, cha!

Ten zmaczanym snopem trzciny
Jak na wszystkie strony macha,
Jakie grube mgły rozsiewa!
A ten obudza wiatry dębiny,
Jak biega wkoło, gałęziami smaga;
A ów mu pomaga,
Jak skrzypi szubienicą! Aż prawie wyrywa.

PUSZCZYK PIERWSZY.

Cóż to znaczy?

PUSZCZYK DRUGI.

Czekaj! Widzisz? Pod krzakiem coś białe majaczy.
To kochanka kozaka, widzieć go przychodzi.
I kozak wie o niej, lecz go djabeł zwodzi.
Co tu kobiecych snuje się postaci,
Głosów podobnych co tu z każdej strony!
Patrz! Posłyszał ją, ujrzał, bieży rozpędzony
I z oka traci!
Cha, cha, cha!

PUSZCZYK PIERWSZY.

Cóż to znaczy?

PUSZCZYK DRUGI.

A tam znowu, na górze, patrz! jeździec majaczy,

Podjeżdża ku szubienicy...
Szyldwach do ruszznicy,
Krzemień klasnął, proch wybuchnął,
Djabeł dmuchnął,
Wszystko z wiatrem uleciało,
A przed oczami szyldwacha
Pożółciało, pociemniało,
I tysiąc jezdnych dokoła majaczy!
Cha, cha, cha!

PUSZCZYK PIERWSZY.

Cóż to znaczy?

PUSZCZYK DRUGI.

Aha! Już kozak znalazł dziewicę...
Jeździec pod szubienicę...
Patrz, trup się urwał; patrz, wisi drugi.
Djabeł skory do posługi!
W jakiej się pysze
Wesoły djabeł kołysze,
Jak zabawia towarzysze!
Jakie skoki, jakie śmiechy!
Cha-cha! Chy-chy!

PUSZCZYK PIERWSZY.

Cóż to znaczy?

PUSZCZYK DRUGI.

Patrz, jeździec ukradł trupa i pędzi przez błonia,
Aż mgła wstaje z konia.
Już ledwie, ledwie majaczy!

PUSZCZYK PIERWSZY.

Cóż to znaczy?

PUSZCZYK DRUGI.

Otumanili kozaka.
Poziera z pod krzaka:
I szubienica stoi i djabeł się chwieje!
Kozak spokojny, a dyabeł się śmieje!

PUSZCZYK PIERWSZY.

Cóż się stanie z wisielcem, jak kogut zapieje?

PUSZCZYK DRUGI.

Parą się rozwieje.

PUSZCZYK PIERWSZY.

A jak trupa nie znajdzie, co szyldwacha spotka?

PUSZCZYK DRUGI.

Zmienić djabła raczy.

PUSZCZYK PIERWSZY.

Cóż to wszystko znaczy?

PUSZCZYK DRUGI.

Szatańska pustotka!
Cha, cha, cha!
Szyldwach trupa nie ustrzegł, powieszą szyldwacha.

6.

A tam, u dołu jakie słychać gwary!
To słodkie słowa rozkochanej pary:
— »Cóż on ci prawił, moje ty kochanie,
»Kiedym was dzisiaj zeszedł niespodzianie?« —
Pytał Nebaba. — »Jego piosnka stara,
»Tak że już teraz i nie zważam na nią:
»Jaka szczęśliwa byłaby z nas para,
»Jak znakomitą zostałabym panią,
»Gdybym zechciała zostać rządcy żoną.

»Prawił, jak dziecku. Szczególne gadanie!
»Jakby mię wkoło szanowano, czczono,
»Potem dwór jaki! a jakie ubranie!
»Że zresztą w szczęściu nie mogę być takiem,
»Choćby z najpierwszym złączona kozakiem«.
— »I ty go słuchasz, kochana Orliko?« —
Przerwał Nebaba, a nagłe przerwanie
Dosyć odkrywa, jak wzmianka o panie
O serce jego odbija się dziko. —
»Lepiej byłoby nie słuchać, Orliko!
»Jednak ty kochasz tylko mnie samego?«
Tak wrzące, nagłe były słowa jego,
Że między niemi dosyć czasu minie,
Nim na odpowiedź zbierze się dziewczynie:
— »Ach! tybyś może mniej uwierzył mowie.
»Czy ciebie kocham? Niechaj ci to powie!« —
I pocałunek płonącej miłości
Złożyła, w ogniu, na usta zazdrości.
— »Orliko, słuchaj! Niech go niebo strzeże,
»Kogo postawi piekło między nami!
»Jutro, dziś jeszcze!.. Widzisz o — te wieże,
»Widzisz, Orliko, ten bór za wodami?...
»A czyliż darmo i ja noszę szablę?
»Jeśli podszepty uwiodą go djable,
»Orliko, słuchaj, i Bóg nie ustrzeże!«
I, dla uniesień dzikich przyświadczenia,
W dziewicze usta zionął takie żary,
Jakiemi drzewo wypala dłoń mary,
Kiedy niewierny przeczy jej zjawienia.
A chociaż ogniem grały jego żyły,
Usta pałały i oczy iskrzyły,
Pozór krwi zimnej w głosie swoim chowa
I te do pierwszych dodał jeszcze słowa:
— »Takie, jak czujesz, nie zgasną upały!
»Niechże się teraz dotknie ich zuchwały!
»To pieczęć klątwy na skarbach twej twarzy,

»A kto je ruszy, piekło go oparzy!«
Nagle się dziwnie zaśmiały puszczyki —
Pieszczone cieniem, stworzenia te rade
Słyszeć wyroki, co niosą zagładę —
A strach się w sercu obudził Orliki.
I północ w dzwony zegaru uderzy,
I kochankowie poszli, gdzie sen woła,
I wszystko cicho u drzemiącej wieży,
I wszystko cicho pod zamkiem dokoła.
Chyba niekiedy puszczyk zachychocze,
Że syny piekła, do pustot ochocze,
To echo zamku drażnią swym tupotem,
To znowu, zęby wyiskrzywszy smocze,
Błądzące ognie udają nad błotem.

7.

Gwiazdo świetna, wesoła, jak anioł młodości!
Gdy na złotym promieniu wiedziesz z sobą lato,
Jak jej nadzieja, wtedy spoczywasz w ciemności.
Dzisiaj, mglistą jesieni osłoniona szatą,
Jakże tęsknie opuszczasz niebo Ukrainy,
Gdzie wszystko jest pięknością niewinnej dziewczyny;
Gdzie powietrze pogodne, jak blask jej oblicza,
Czaruje w swych powiewach urokiem jej tchnienia;
Gdzie wody odbijają światło jej spojrzenia;
Gdzie pagórki ponętne, jak jej pierś dziewicza;
Gdzie wietrzyk harmonją pieśni jej powiewa;
Gdzie kwiaty płeć jej mają, a jej świeżość drzewa!
Czemuż, o smutna gwiazdo, w zachodzie jesieni,
Jak konające oko, twój się okrąg mieni?
Ponury jest twój zachód i wschód twój ponury,
Kiedy się w chmurę kładziesz, kiedy wstajesz z chmury?
Pod rosą, co się dzisiaj promieni tak świetnie,
Jutro, przed ranem jeszcze, ten kwiatek zakrzepnie,
Jak śród zdrajczej pieszczoty, piękność uwiedziona.
Ten listek, taki świeży, żalu nie wyszepnie,

Gdy z rodzinnej gałązki wiatr go raz odetnie,
I na wywiędłej braci jeszcze dzisiaj skona!
Żegnam cię więc, o gwiazdo, przed smutnym noclegiem
Jękiem listka, co głuchnie nad ogłuchłym brzegiem,
Wielkim hymnem żórawi, co ciągną ku morzu,
Rykiem trzody, co rzuca jałowe pastwiska,
Głuchym szumem, co stęka w zmartwiałych wód łożu,
Konającym promieniem, co z rosy połyska,
Gdy raz ostatni drżącą zimny wicher ściska!

8.

Otóż i księżyc z pod światów posady,
Jak cień zmarłego słońca, wyszedł blady;
Żyjącym ogniem igra Dniepru fala:
Urwistych brzegów zabielały piaski;
Jak cienie chmurek, majaczą w krąg laski.
Lecz z przeciwnego dnieprowego brzega,
Jak nawałnica, gdy się na świat zwala,
Grożąca ciemność czarny bór zalega;
A tylko czasem między jego cieniem,
A tylko czasem nad jego sklepieniem,
Jak płomyk błędny, światło jakieś błyska
I jaśniej buchnie łuno od ogniska.

9.

Gdy ziemia uśnie, księżyc wartę trzyma
I nocne wiatry oblatują ciszę,
I sen ciemięzcy czujność ukołysze, —
Bezpieczna wtedy pod jego oczyma
Ochoczą młodzież radość przywoływa,
Gdzie na nią czeka swoboda szczęśliwa!
Poniżej miasta, ponad brzegiem, dołem
Sędziwe lipy, Dniepru wód strażnice,
Stoją poważnie, z płowiejącem czołem.
Tam się na huczne schodzą wieczornice
Rzeżcy parobcy i hoże dziewice.

A gdy nad jasnym sinych wód rozlewem
I brzeg zasiędą, i uwieńczą wzgórki,
I wiatry Dniepru poślą z cichym śpiewem,
I wnet uderzą w piszczałki, bandurki —
Wierzysz natenczas, że to czarów siła
Zaklętą ucztę w nocy wyprawiła.

10.

Lecz niech piszczałki i bandurki dzwonią,
Niechaj się płocho rozkochani gonią,
Niech ziemia tętni, gdy taniec zakręca
Z lekszej młodzieży uplecione koło,
Niech na ustroniu dziewczę, skryte połą,
Bijącem łonem rozgrzewa młodzieńca;
Tam, pod drzewami, posiedzenie cichsze,
Tam skłonne serca i kielich godowy
Kupią płci obie na ważne rozmowy;
Tam nieszczęśliwy, znikły we złym wichrze
Czerwony upiór, co północną chwilą
Krew sennych dzieci wypija z odźwierka,
Widma oczami wartowana tylą,
Co rosę z kwiatów na śmietanę cyrka,
Jęcząca w górze nieochrzczona dusza,
Latawiec, gwiazda, co kobiet wysusza, —
Litość i trwogę budzą naprzemiany.

11.

Cyt! »Ho-hop, ho-hop!« — odgłos smutny, znany —
Smutny, jak odgłos sowy pośród cienia,
Coraz wyraźniej, coraz bliżej woła.
— »Topielec Ksenia! Ach, topielec Ksenia
»Zbliża się do nas!« — wołano dokoła.
Razem ustały i tańce i śpiewy,
Ciasnym okręgiem skupiły się dziewy,
Wzrok niespokojny zwrócili parobcy
W stronę, skąd słychać głos ten, ziemi obcy.

— »Ho-hop, Nebabo! Ho-hop, atamanie!« —
Bliżej i bliżej i bliżej hukanie.
Aż oto razem i straszydło stanie!
Jakby skrzydłami pijanych szatanów,
Śród takich leci konwulsyjnych tanów.
Postać szkieleta, dzikość ma w spojrzeniu;
Łachmanów strzępy wiszą po odzieniu,
W wywiędłe kwiaty, w wypłowiałe wstęgi
Utkała gęsto warkocz skołtuniony.
Gwizdnęła, klasła i z wietrznemi kręgi
Nagle we wszystkie rzuciła się strony.
— »Ho-hop, Nebabo! Ho-hop, atamanie!«
A jaki w koło strach i pomieszanie!
Gdzie tylko zwróci, gdzie się tylko zbliża,
Jak przed szatanem, robią znaki krzyża;
Bo choć djablica ma postać człowieka,
Jednak od krzyża ze wstrętem ucieka.
I gnać ją trzeba, bo mu nie najlepiej,
Z kim ona blizko, przy kim się uczepi.
— »Ho-hop, Nebabo!« — dokoła huknęła
I, jak tu spadła, tak stąd i zniknęła.

12.

Jużto zamkowi lękać się potrzeba,
Gdy ją zesłało, ciężkiej kary nieba.
Dziwna istota! co z pewnego czasu
Ciągle przebiega miasto z końca w koniec
Z hukiem wędrowca, gdy błądzi śród lasu.
Kto wie, czyli to nie złej wróżby goniec?
Bo cera u niej od śmiertelnej bledsza;
Jak myśl rozpaczy, tak się zjawia, znika;
Dziwna jej żywość, jak radość puszczyka;
Głos, jak psa wycie, kiedy trupy zwietrza.
»Niech Bóg odwróci djablicę przebrzydłą!
»Niech Bóg ustrzeże od niej atamana!« —

Przebąkiwała drużyna zmieszana,
Zmieszana jeszcze, choć znikło straszydło.

13.

Gdzież jest ataman, że w gronie mołojców
Na wieczornicę dotąd nie przybywa?
Gdzie jest ataman? — każdy zapytywa.
Ataman — stary w kole starych ojców;
Jak sam pan polski, przed panem tak hardy;
Prędki, jak połysk, co biegnie żelazem,
Lecz w swojej zemście, jak żelazo, twardy;
Czczony od swoich zarówno z obrazem,
Duszą jest dziewcząt i wieczornic razem!
Ten czarny wąsik, co w drobnym pierścieniu
Nad różowemi ustami się zwija,
Ten wzrok, co przy brwiach ciemnych tak odbija,
Jak blask południa przy północy cieniu,
Ten kształt postawy, co, burką opięty,
Tak się wydaje w wspaniałym pochodzie,
Jak maszt bajdaku, gdy żagiel rozdęty
Mknie go z wiatrami po dnieprowej wodzie.
Szczęśliwa, którą zaczepi uprzejmie,
Szczęśliwsza, którą uściskiem obejmie,
Szczęśliwsza jeszcze, najszczęśliwsza w świecie,
Czyją wstążeczkę w sełedec zaplecie!

14.

Gdzież jest, co robi ataman Nebaba,
Pierwszy z kozaków starosty nadwornych?
Siedzi on, cichy, w ciemnościach wieczornych,
Gdzie wrzawa miasta dolatuje słaba,
Gdzie na dnie jaru, ścian zamkowych spodem,
Cicha krynica drzemie pod osiką.
Tam przyszedł czekać jeszcze przed zachodem,
Jak się umówił ze swoją Orliką.
Jakkolwiek sercem unosisz się dzikiem,

Wlecze cię miłość piękną rzęsą jedną,
Jednem westchnieniem, jednym ócz promykiem.
Już słońce zaszło, zmierzchłe nieba bledną,
Ziemia ciemnieje, a Orliki niema.
A zakochany, w oku, w uchu wszystek,
Tak wokrąg strzela okiem i uszyma,
Czy wiatr przeleci, czy upadnie listek.
Kochane widmo marzy jego dusza!
I wiatr przelata, i liść się przerusza,
Orliki jednak, jak niema, tak niema.
Już po sto razy wzrokiem wypatrzonym
Witał wstające nad wzgórzem obłoki;
Już po sto razy rozeznał jej kroki
W blizkiego zamku zgiełku przytłumionym;
I zawsze błądził, aż, błądząc wokoło,
Nad ciche źródło schylił ciemne czoło.
I tak głęboko myśli w niem zanurzy,
Jakby w zwierciedle serca swego burzy.
A tam błękity maluje odbicie
I obraz jego w odbitym błękicie,
Jakby go ręka stworzyła malarza.
Łuno tam słońca w zachodzie się mieni,
Obłędnym blaskiem gasnących płomieni
Mierzchnące nieba gasi, to rozżarza.
A kochankowi tak czas jakoś idzie,
Jakby się patrzył na lubą we wstydzie.
W górze liść zwiędły nagiej osiczyny
Sam na gałęzi posępnie szeleści;
Tak, odumarly od lubej rodziny
Sędziwy ojciec, bez pociech, w boleści,
Podobnie zwiędły, samotny podobnie,
Do grobu dziatek utęsknia żałobnie.
Gęściejszym zmierzchem już się niebo mroczy;
Mroczy się niebo, i na dnie przeźroczy
W bledszym zachodzie zorza zaigrała
I przez gałęzie bezlistnej osiki

Zadrżały w wodzie żywe jej promyki.
Ach, jakie żywe! To oko Orliki!
Otóż się jawi i postać jej cała.
Widzi, jak z góry krok przyśpiesza skory,
A od pośpiechu lica żywiej płoną,
A od radości częściej bije łono,
A od powiewu, co plącze kędziory
I kraśne wstęgi po plecach rozwija,
Z cienkiego stroju stan smukły przebija.
Już staje obok, już ją oto ściska,
Aż nagle zorza chowa się w obłoku.
Widmo zniknęło, ciemność na dnie stoku
I o wiek cały szczęśliwość tak blizka!
A u kozaka taka myśl ponura,
Jakby mu w duszy osiadła ta chmura.
Nie wie, dlaczego. Odsunął się w stronę,
Oparł na ręku czoło zamyślone;
Znowu się rzucił, jakby w nagłym gniewie,
I razem ostygł; czemu wszystko? — nie wie.
A potem dobył kindżału z za pasa,
Obracał w ręku, igrał z blaskiem jego,
Próbował ostrza; nie wiedzieć, dlaczego.

15.

— »Ho-hop, Nebabo!« — djabeł wichrem hasa.
Niechże cię smołą rozleje krzyż pański!
I tu ofiarę zwietrzył nos szatański!
Poznał ataman po przelocie ptaszka;
A że mieć z djabłem sprawę nie igraszka,
Trzeba tu uwieść tę szatańską córkę.
Więc się przeżegnał, obwinął się w burkę,
I, przyczajony, czekał pod osiką,
Aż się wykrzyczy i dalej pomacha
Lucyferowa opętana swacha
W dyabelskim tańcu, z dyabelską muzyką.
— »Ho-hop, Nebabo!« — a ona dokoła,

— »Ho-hop, Nebabo!« — a ona go woła,
A okiem błyska i martwo i sino,
Tak krople siarki z wolnym ogniem płyną.
Masz pułk szatanów, jeszcze ich miej tyle,
Wytropić jego nie jesteś ty w sile!
Kiedy więc długo hukała, klaskała,
Z hukiem i klaskiem dalej poleciała.
Uniknął przecie strasznego widzenia;
Lecz trwożne serce niedobrze coś wróży:
Orliki niema, a wabiła Ksenia.
Wszystko niedobrze. Nie czas myśleć dłużej
I dłużej czekać, bo hasłem wiadomem
Z zamkowych ganków trąba się ozwała
I strzał wieczorny zamkowego działa
Zatrząsł Kaniowa okolice gromem.

16.

Czy się spodziewać starosty przybycia,
Czyli patrona pana rządcy święto,
Że tak zamkową salę wyprzątnięto,
Stół ustrojono w kosztowne nakrycia,
Jasnem go srebrem suto zastawiono,
A tak, jak wielka, przez stołową salę,
To na zwierciadłach, to w rzniętym krysztale
Jarzące światła rzęsnym blaskiem płoną?
I sam pan rządca, wieczorem, przebrany
W nową czamarę, w pas złotem kapiący,
Rozkazał, aby strojono torbany,
By czystą odzież oblekli służący,
Hojną wieczerzą by zastawić stoły,
Odeprzeć lochy, warowne żelazem,
Wytoczyć na dwór kilka beczek razem —
Aby ten wieczór wszystkim był wesoły.

17.

Lecz na cóż tutaj długie tajemnice?
Młoda Orlika już jest rządcy żoną.



Tylko co ślubne światła pogaszono
I ksiądz zdjął stułę i zamknął kaplicę.
Wszyscy się dziwią nad skrytym powodem
Tak pośpiesznego tego rządcy czynu,
Choć dobrze znana jego miłość stała
Ale Orlika! toto dziw dla gminu!
Co jeszcze dzisiaj przed słońca zachodem,
Niż zostać Polką, umrzećby wolała!...
Za godzin kilka, nad samym wieczorem,
Wysławszy służbę surowym rozkazem,
Został się rządca sam z Orliką razem
I coś poważnym zaczął rozhoworem.
Prędko i przykro wrzasnął głos Orliki,
Jakby nagłego przestrachu wrzask dziki.
Rządca wciąż mówił, dziewczyna milczała;
Ucichł, dziewczyna znowu zaszlochała;
I słychać było, długo, nieprzerwanie
Mięszane ciągle jej słowa i łkanie
I wzdłuż komnaty poważne stąpanie.
I znowu potem groźna rządcy mowa,
Jak huk stłumiony, rozległa się wnętrzem;
Prędzej urywał, prędzej chwytał słowa,
I ucichł, jakby odpowiedzi czeka.
A gdy dziewczyna, widać, ją przewleka,
Uderzył krokiem o podłogę prędszym
I chciał wyjść pewnie, bo klamka zabrzękła;
A tu Orlika, jak przebita, jękła.
Musi być zadość srogiemu żądaniu,
Bo wrócił nazad i jak najłagodniej
Tulił ją długo w ciągłem jej szlochaniu
I z taką dumą, tak rad wyszedł od niej!
Chłopak, co śpieszył na zamek z torbanem,
Tak, koło okien przystrojonej sali,
Ciemno, otwarcie mówił z atamanem;
Mówił, jak wiedział, jak mu nagadali.

18.

Jeśli są słowa, co, jak gromu ciosy,
Niosą śmierć nagłą w najczerstwiejsze zdrowie,
Czuł je Nebaba w tej chłopaka mowie.
Jak szatan zgrozy najeża mu włosy!
Jak we mgle żółtej wzrok jego słupieje!
Niby dłoń śmierci za serce chwyciła,
Taki po ciele zimny pot się leje,
A lodem zda się stygnąć każda żyła.
Usta mu drgają, kolano przyklęka,
Tylko się wierna za nóż chwyta ręka.

19.

Śród gwarów tłumnych, śród blasku powodzi
Widać po ruchu tych cieni tysiąca,
Które maluje ściana pałająca,
Że już do sali weszli państwo młodzi.
Po skręcie służby, po dźwięku talerzy
Widać, że młodzi siedli do wieczerzy.
A teraz w kolej puszczono puhary,
Bo tak powstali z miejsca godowniki
I tak zabrzmiały wiwatne okrzyki,
Aż echem wieków dzwoni zamek stary.
Ucichło trochę. Teraz naprzemiany
Z wesołym śpiewem słychać teorbany.

20.

I nad dnieprowym sinym wód rozlewem
Igrają wiatry ze dźwiękiem i śpiewem.
W kolejne czarki napój się rozlewa,
Snują się kołem rozpląsane grona,
Aż ziemia z głębi ciężko przyhukiwa,
Jak zadyszana poważna matrona.
Ataman śpieszy, burką obwinięty,
Jak cień obłoku, gnany od wietrzyka.
Minął już ulic spadzistych zakręty,

Teraz przez tłumy brzegiem się przemyka.
Ni go bandurki, co brzęczą do skoku,
Ani miłośne dumy zatrzymają;
Z wiatrem przy uchu, z ponurością w oku
Między ciekawą przemyka się zgrają.

21.

Czy to cień jego po rzece żegluje,
Że mimo częstych, wikłanych obrotów
Tak nieodstępnie kozaka pilnuje,
Jakby co chwila u brzegu być gotów?
To pianę wirów gwałtowniej roztrąca,
To igra wolniej w odbiciu miesiąca,
To znów spokojnie na falach się wiesza,
W prawy bok, w lewy, w przód, w tył drogę miesza;
A pierś się jego nie ozwie piosenką;
Zcicha brzmi wiosło i pluska czółenko.
Z pomiędzy nurtów, co miesiącem świecą,
Tak się w nierównym polocie wydaje,
Jak cień jastrzębia, gdy nad okolicą
Krąży za łupem przez podniebne kraje.

22.

Kozak w pochodzie razem się zatrzyma,
Nadstawi ucho i strzeli oczyma.
Za nim to, za nim złowrogie klaskanie!
Więc razem w miejscu wstrzyma się i stanie.
I rzecze zcicha: »Ha! szatańskie plemię,
»Raz ty ostatni straszysz żywą ziemię!
»Próżno przeklęci piekłem ciebie zbroją;
»Skoro do skroni przyłożę pięść moją,
»Chociażby wszyscy grozili wleźć we mnie,
»Już ja się ciebie nie dotknę daremnie!
»Zaraz tu razem i z tobą ulecą,
»Tylko chodź bliżej, tylko bliżej nieco!«.
Otóż i marsem błysk oczu przymracza,

Szyderskim śmiechem słodzi twarz surową,
A tu tymczasem burkę precz odtacza
I odwiedzioną trzyma pięść gotową.

23.

Wesele Kseni musi być niemałe,
Że obleciawszy w okrąg miasto całe,
Znajduje wreszcie, co tak długo szuka;
Wesele Kseni musi być niemałe,
Bo rażniej skacze, bo donośniej huka,
I kłami piekła dłonie larwy klaszczą,
I oczy larwy skrzą się piekła paszczą.
Jakże być wielkie musi jej wesele,
Że bardziej zbliża krok i tak już blizki.
Wszakże mu ona gotuje uściski;
Widać w jej ruchach, widać to w jej oku.
Kozak na wszystko odważa się śmiele;
Nie zmruży powiek, nie cofnie się w kroku!
Już, opętana, w konwulsyjnym rzucie
Ma w jego ustach złożyć ust swych czucie,
Już chwyta szyję dłońmi wywiędłemi,
Już... i, omdlała, leży już na ziemi...
Tylko pod pięścią skronie zachrupały,
A na oblicze zdroje krwi buchały.
»Ho-hop, szatanie! Bierz teraz, co twoje!« —
Mruknął ataman i szedł w drogę swoję.

24.

»Tam, tam! gdzie widać ognie pod tą puszczą,
»Do niej się kieruj, zawsze, zawsze do niej!
»Tylko niech prędzej twoje wiosło goni,
»Tylko niech ciszej wody przy nas pluszczą.
»Przeprawa trudna, a drogi czas krótki.
»Ciszej, a prędzej!« — Tak kozak ostrzega,
Kiedy u brzegu wstępował do łódki,
Kiedy pośpiesznie odbijał od brzega.

Woda dnieprowa poważnie się toczy,
Częstym całunkiem o pierś łódki pluska;
Na niespokojnej, na drżącej przezroczy
Łamie się księżyc, jak ognista łuska.
Za lotnym dębem drobne wiry gonią;
Nadbrzeżne echa dźwiękiem wiosła dzwonią,
Jakby na zbiegłych żeglarzy wołały;
Szybko za niemi cofa się brzeg cały.
Głuszej ich wrzawa dolata Kaniowa,
Częściej po jarach światełko się chowa.
Już i szum puszczy zawiał im donośnie.
Cóż to za niemi coraz bardziej rośnie,
Im bardziej z brzegiem umykają góry?
Zamek to rośnie. Zna go wzrok ponury,
Co jeszcze z łódki popatrzył ku niemu.

25.

O, jak wspaniale za nocy zasłoną,
Jak rzęsnem światłem okna jego płoną!
»Niech sobie płoną, niech i rzęśniej płoną!
»Jak mnie dziś, jutro przyjdzie ciemno jemu!
»Jutro, pojutrze, zaświta inaczej!
»Biedny, kto mojej zapragnął rozpaczy!«
Aż mu się piekłem krew zajęła cała,
Aż mu się czapka od włosów podniosła,
Od jego dreszczu aż się łódź zachwiała,
Aż się obejrzał rybak, co u wiosła,
Kiedy te myśli, jak piekła zarzewie,
Przeszły piorunem przez Nebaby głowę,
A to, gdy światła zobaczył zamkowe.
Już gniew ostyga w kipiącym przelewie,
Ale jak piekieł mieszkańca zjawienie,
Choć zniknie, długo powietrze zaraża,
Tak, choć przelotne, gniewu uniesienie
Gorzkiem jątrzeniem długo myśl rozraża.
»Lepiejby było, moja pani miła,

»Sto razy lepiej — jakem ci kochankiem! —
»Abyś lat tysiąc czerepianym dzbankiem
»Tę wodę z rzeki dla siebie nosiła!
»Lepiejby było dla twej jasnej doli,
»W grubej siermiędze z nieochajnym chłopem,
»O głodzie, chłodzie pracując w niewoli,
»Krwią się rozpływać nad nieswoim snopem,
»A potem płakać pod skopconym daszkiem
»Rano i wieczór, że twe białe ciało
»Od mrozu, skwaru do krwi popadało,
»Niż, będąc tobą, pobracić się z Laszkiem,
»Niż przespać jedną noc pod adamaszkiem!« —
Plusnęły o brzeg rozpędzone wały,
Daleko naprzód chyża wbiegła łódka;
Prędko kozaka dumy się przerwały,
Prędko mu przeszła rozkosz zemsty krótka.
Szkoda! bo wiele niosły mu ulżenia:
Jęk, rozwaliny, trupy, krew, pożary.
Są to własności jak zemsty, tak chwały,
Że najzgubniejsze, najdziksze marzenia
W cnoty i szczęścia powaby ustroją;
Tak, gdy chcą uwieść, kuszące nas mary
Światłem aniołów barwia szpetność swoją.

CZĘŚĆ DRUGA.

1.

Spał świat głęboko, nocą otulony.
Obchodząc wartą ciemne człeka gniazdo,
W milczącej części szła gwiazda za gwiazdą,
Niebo przez chmurne patrzało zasłony,
Ucichły hasła, łańcuchy drzemały,
Jak martwe widmo, milczał zamek biały.
I młoda para w małżeńskiej komnacie,
Na łożu pysznem, na snu majestacie,
Spoczęła mile śród puchów zatopu,
Osłonionego w drogie adamaszki,
Co, fałdowane, śród wiatrów igraszki
Spływały na dół ze złotego stropu.
Ucichło wszystko pod zamku sklepieniem;
Chyba sen tęskny ozwie się westchnieniem,
I wiatr, wysłany od nocy szyldwachem,
Smutnem jej hasłem zawyje pod gmachem.
A potem w okrąg milczenie nanowo;
Tylko łagodnie brzęk miły i głuchy,
Jakim powietrzne igrające duchy
Noc ożywiają, gra w ciszę zamkową.

2.

Któż to zatętniał, stuknienież to czyje
Dało się słyszeć za drzwiami komnaty?
Nie pierś to lubej żądnem sercem bije,
Lecz goniec puka od granicznej czaty.
Dyszy pośpiechem, lica trwogą blade.
»Wstań, panie rządco! ciepłe porzuć łoże!
»Złe ci nowiny w tej chwili przywożę.
»Wstań i posłuchaj, i weź jaką radę.
»Oto nadbrzeżne słyszały dziś straże,
»Jak się po Dnieprze pluskały nie kaczki,
»Jak coś nie ptakiem tłukło się w czaharze.
»Wyraźnie obóz przeprawiał się Szwaczki,
»Co aż dotychczas cicho stał za wodą.
»Niechże się kokosz wywija przed szkodą,
»Kiedy ją oczy jastrzębia obwiodą.
»Zamek, choć mocny, lecz osada mała,
»Aby przed silnym szturmem się ostała,
»Zwłaszcza, gdy razem przyjdzie bronić miasta.
»Chociaż i w mieście złego coś wyrasta,
»Bo już gotują i kosy i noże,
»A nawet w zamku, kto wie, co być może?
»Zaradzić złemu, jak się tylko zjawia,
»Leć do starosty. On śród Bohusławia
»Poi gromady, rozstrzeliwa baby.
»Niechaj tu przyśle posiłek choć słaby.
»Leć, nim rozświta, nim się zamek dowie,
»A my tu będziem na wszystko gotowi.«

3.

Nie mylne wieści, nie fałszywe trwogi!
Szwaczki to obóz nie w dobrym zamiarze
Pluskał po Dnieprze, tłukł się po czaharze.
Gdzie w ciasnem łożu skręconej odnogi
Wrzący nurt Rosi i błyska i pluszcze,
A wiatr pobrzeżną oszczekiwa puszczę,

A w niej gwar dziki klekoce ponuro,
A mgła kłębata, co ciemnieje górą,
Nad jej sklepieniem w krąg się już rozwlekła,
Jakby tam anioł śmierci i zagłady
Warzył dla ziemi nad płomieniem piekła
Wszystkie domowych zaburzeń szkarady, —
Niedarmo czujne pałają ogniska
I jacyś zbrojni leżą u płomieni,
Gdy wieńce borów zrywa wiatr jesieni,
A szron sędziwy na darniach połyska.
Choć leżeć oni zdają się spokojnie,
Ach, krwi to dzieci i myślą o wojnie!
Noże u pasów, ich czoła w kołpakach,
Dłonie na nożach, choć oczy uśnięte;
Do pik utkwionych rumaki przypięte,
A dniem i nocą siodła na rumakach.

4.

A jeden kozak na ustawnej straży
Niezgasły ogień czasami rozżarzy
I na swą pikę wspiera się bezwładnie.
Słucha i patrzy. Nic w tym puszczy mroku
Nie ujdzie jego ni ucha, ni wzroku:
Niech strzępek szronu na uschły liść padnie,
Niechaj ptak klaśnie gałęzią zdaleka,
Niech pies w dalekim futorze zaszczeka, —
Już on to schwycił w gwarnym borów szumie
I pochwycone wnet rozróżnić umie!
I znowu oko zwrócił do ogniska,
I znowu piką poprawił płomienia.
Kłębią się dymy, czerwony żar pryska,
Rośnie wał ognia, noc się zarumienia,
Pośród bijącej krwawej łuna fali,
Jak mgliste duchy, cienie drzew się kładą.
Dalej — noc czarna; tylko w ciemnej dali,
Jakby zaklętą rozsiany gromadą,

Bezwładny obóz groźnym snem usypia.
Tam się błysk stosu ostrza piki czepia;
Tu wpół dobyty nóż czasem zabłyska,
Jak rozdrażnionej gadziny oczyska;
Gdzieniegdzie znowu z pod burki kosmatej
Sen niespokojny wychylił pół twarzy,
I przez sen widać, co każda z nich marzy,
To z brwi marszczonych, to z wargi wąsatej:
Na tej śmiech dziki, klnące słowa na tej.
A tam przyjaciel i wierny choć panu.
Koń, ułożony tuż pod pana bokiem,
Strzeli niekiedy przebudzonem okiem,
Niby kochanie śród świata tumanu.
W samej cichości obraz niespokojny
Nadzieją mordów kołysanej wojny.

5.

Tam, gdzie dąb grubszy i stos pełniej płonie,
Dwóch tam usiadło, a przy nich dwa konie.
Po tym wytwornym atamańskim stroju,
Co drogiem złotem czasami odbłyska
Nagłe, nierówne spojrzenie ogniska,
Po tej postaci, złożonej do boju,
Po wąsie, w czarne puszczonym pokręty,
Po dumie czoła, po oblicza krasie —
Mściwy Nebaba zaraz poznać da się.
W milczeniu siedział, burką wpół opięty,
Spokojnie trzymał lewicę za pasem
I głownię noża pogłaskiwał czasem.
»Nożu mój, nożu! błyskasz do mnie próżno,
»I próżno, widzę, naostrzyłem ciebie.
»Inni swój snopek w naszem polu użną,
»Nim pośpieszymy z tobą ku potrzebie;
»I wprzód rdza ciebie, wprzód ja siebie strawię,
»Niżeli w męskiej z niewiarą przeprawie
»Ducha radością, ciebie krwią opławię!«

Tak mówił kozak, potrząsając głową,
I z nocnej rosy otarł noża ostrze;
Ale wejrzenie nagłe, od słów prostsze,
Wydaje, komu przyciął tą przemową.

6.

Naprzeciw niego, jak odblask poczwary
W chropawem lustrze, siedział kozak drugi.
Na pierś obrosłą zwieszał się wąs długi,
Całe pół twarzy ściągał mu szram czarny;
A chociaż czoło starością bielało,
Młody rumieniec zalewał twarz całą,
A choć ogniste, ledwo iskrzy oko,
W zatyłej twarzy tak siedzi głęboko.
To Szwaczka, pierwszy śród mieszczan Kaniowa.
Choć często w ucztach kręci mu się głowa,
I ciałem ciężki, i wiek długi liczy,
Ale ma piętno rozbojów na Siczy,
Ale od Lachów z dumy obrzydzony,
I dumy Lachów zwie się wrogiem śmiele —
Więc chętnie stanął na powstańców czele
I atamanem chętnie okrzykniony.
Zdaje się jednak, że — czy brak zapału,
Czy, że kielichem zbytnie się rozgrzewa, —
Więcej, niżeli przystoi, spoczywa.
A tu kozactwo zraża się pomału;
Częściej i głośniej słychać między tłokiem:
»Czemu nie idzie w zamek, co pod bokiem?
»Czemu, gdy świeżo z Żeleźniakiem Gonta
»Zawieść hulankę uśpieli tak rączo,
»On tylko gnuśny, myślą się zaprząta:
»Złączyć się z niemi? Czemuż się nie łączą?«
I nic nie wiedzieć korzyść badań zwykła;
Bo, przez natrętne naglony pytanie,
Jak zacznie szukać mowy w pełnym dzbanie,
Uśnie wprzód z tajnią, nim język wywikła.

7.

Niewiele tknął się Nebaby żałobą,
Bo już nadpity dzbanek miał przed sobą;
Jak nie swojemi popatrzył oczami,
Poważnym śmiechem kilka razy chrząknął,
Uderzył w ogień, — gdy prysło iskrami,
Wpół dosłyszanym językiem przebąknął:
»Widzisz te iskry? Słuchaj, atamanie!
»Kto chce szczęśliwym zostać przez kochanie,
»Kto zrobić stałem chce serce kobiece,
»Niechaj się lepiej zakopie w tej dziczy
»I liczy iskry, te wszystkie niech liczy!
»Zapomnij z biesem o twojej Orlice!«
»Już ja się pewno toi nie napiję,
»Aby mi serce wyzdrowiało chore, —
»Ani mi rady potrzebne tu czyje!«
I szydnym gniewem wzrok Nebaby gore.
»Czy jest na świecie Orlika, czy niema,
»Co nam do tego? Dla nas blizka zima;
»My puszcz tułacze, Polacy przed nami.
»Patrzaj na burki, patrz koniom na grzywę;
»Jak twoja głowa, wszystko szronem siwe!
»Słuchaj, kozacy jak sieką zębami!
»Bo, biedni, nawet nie mają i tego,
»Czem ich ataman tak często się grzeje!
»I głód ich strawi, i wicher zawieje,
»I, jak po swoich, Polacy tu zbiegą;
»I sami, z głodu, poczekawszy trochę,
»Wlecą w sidełka, jak ptaszyny płoche!
»Niż grzać się w zamku, czyż to będzie lepsze
»Płynąć bez chęci popod lodem w Dnieprze?
»Albo z gałęzi poglądać w obłoki
»I z każdym wiatrem straszyć w gniazdach sroki?«
A Szwaczka, ognia poprawiwszy piką,
Ode dna flaszy bełknął głuchym łykiem

I nieposłusznym zaczął coś językiem.
Oko Nebaby zasępione dziko —
Kiedy się serce zachmurzy urazą,
Wzrok wtedy błyskiem, piorunem żelazo,
I biada chmurze, co chce być przeszkodą!
Popruta, zbita, rozpłynie się wodą —
A ogień gniewu przejął go aż w szpiku!
Szwaczka przemówić na nowo się musił,
Lecz znowu słowa zaplątał w języku,
Tylko poważnym śmiechem się zakrztusił.
Tu oczy zwolna w powiekach zagasły,
Na obie strony powoli się skłania,
Aż razem tułów przewalił opasły;
Że jeszcze żyje, znać z jego chrapania.
Długo Nebaba po cielsku szerokiem
Spojrzeniem wzgardy błędne koła pisał,
Długo szum boru myśl jego kołysał,
Nim w walce uczuć ozwał się wyrokiem:
»Trzech dyabłów synu, przebrzydły opilcze!
»I tobież dzielną przywodzić młodzieżą?
»Chyba mię sami szatani ubieżą,
»Że cię tu zęby nie skosztują wilcze,
»I w bramy zamku twe pięści uderzą!«
A jakby żądło piekła go ubodło,
Porwał się nagle i skoczył na siodło.

8.

Nie drzemie szyldwach, płomienie ocuca,
A wiatr jesienny gałęzie mu zrzuca,
I znów, jak usnął, śród drzewa umilka.
Gdzieś tam daleko śpiewa kur przed świtem,
Dalej i głuszej słychać wycie wilka,
Bliżej Roś pluska kręconem korytem,
Niby sen cichy tej strony kołysze.
Co za świst przykry budzi lasów ciszę?
Jak dziki wicher, ocucony w borze,

Takim zakipiał cały obóz gwarem;
Jako gdy wicher zaiskrzy pożarem,
Tak zaiskrzyły w krąg piki i noże,
Kiedy na nagłe pogwizdnienie trwogi
Spłoszony obóz porwał się na nogi;
Jeszcze gwizdnienie. W okamgnieniu po niem
Wszystkie kopyta z miejsca zatętniały
I ciasnem kołem stanął obóz cały,
Gdzie widmo jeźdźca mgli się karym koniem.

9.

— »Co to, Nebabo?« Zaraz go poznali,
Bo któżby z koniem wydał się wspanialej?
«Co to za trwoga?« — z obawą spytali.
»Chcę was pożegnać, bo już ruszam dalej.
»Niechże to dla was nie będzie niemiłem,
»Że trwogi niema, a ja ją wzbudziłem.
»Lecz jeśli macie i serce i głowę,
»To nie będziecie na mą głusi mowę.«
Tu go młódź w węższe otoczyła koło,
Bo się patrzała i słuchała rada,
Jak męstwem dumne rozpromienia czoło,
Jak w szczerej mowie śmiałem sercem gada.
— »Nie myślę długo przed wami ja prawić,
»Co mię przymusza was, bracia, zostawić« —
Zaczął Nebaba. Wyrosły śród czerni,
Zna jej umysły i wzruszać je umie,
I tak przystało mówić jego dumie:
— »Atamanowi swemu bądźcie wierni;
»Przy nim tak dobrze można tutaj drzémać!
»A ja nie mogę dłużej z wami trzymać
»I ziewać z wami; ja jeszcze skłuć mogę
»Choć kilku Lachów, choć dwór jeden złupić;
»Wtedy mi będzie przyjemniej się upić!
»To was i żegnam, i ruszam w swą drogę.«
Ostra przymówka dopięła zamiaru;

Mruk dobrej wróżby, podobny do gwaru
Pierwszego lodu, gdy go łamią fale,
Obiegać począł zawstydzoną zgraję.
Nebaba ciągnąć mowy nie przestaje:
»Odstąpić Szwaczki ja nie radzę wcale;
»Gdy tak wygodnie przy tym atamanie —
»Któż ze mną pójdzie, a z nim nie zostanie?
»Sam więc pośpieszę, gdzie mię niosą oczy,
»Żwawszych do dzieła znaleźć towarzyszy;
»Jednak, co powiem, niech z was każdy słyszy,
»I, gdy mu zda się, niech naprzód wyskoczy:
»Komu rózgami ojciec zasieczony,
»Czyja się panu podobała żona,
»Komu najmilsza córka pogwałcona,
»Kogo zbawiono lubej narzeczonej —
»Na ojca boleść, na smutek matczyny,
»Na hańbę dzieci, na łaskę dziewczyny
»Tego zaklinam, wołam po imieniu,
»Niechaj wyjedzie i stanie tu przy mnie!«
I tłum orężny mieszać się poczyna,
Jak zakłócona dmuchem wiatru trzcina.
»Kto w pańskiem za to umierał więzieniu,
»Że, jak pies podły, o głodzie i zimnie
»Dla usług jego przemarnował lata,
»Kogo najdroższa boli przez to strata,
»Kto chce odemścić te krzywdy, te zbrodnie
»I tylko sobie odtąd żyć swobodnie —
»Zaklinam tego na zemstę, swobodę,
»Niech idzie zaraz, gdzie ja go powiodę!«
Tłum wre nieładem, gwar nieładu rośnie.
Postrzegł Nebaba, jak wybór ochoczy
W gęstszych szeregach dokoła się tłoczy;
A więc z tryumfem zawołał donośnie:
— »Teraz, kto tylko mołojca ma duszę,
»Kto się chce ogrzać przy zamku pożarze,
»Kto chce opłukać pikę w polskiej jusze,

»Kto chce zaśpiewać przy pańskim puharze —
»Idźcie do zamku! Ja drogę pokażę!«
A oko jego, jakby bitwy hasło,
Nagle w każdego zabłyszczało oku:
»Wszyscy my, wszyscy do Nebaby boku!« —
Wrzące kozactwo dzikim tonem wrzasło.
Podobny odgłos wędrowca krew ziębi,
Gdy go wilczyca, zwietrzywszy w puszcz głębi,
Przeciągle wyciem ozwie się ponurem,
A za nią głodni zalotnicy chórem.
I razem głębie zastękały ziemi
Pod rumakami ciężko tętniącemi;
I długo, długo wrzało nieprzerwanie
A coraz ciszej i koni chrapanie,
I chrzęst oręża, i stękanie ziemi,
A ognie straży konały za niemi,
A echa puszczy wołały za niemi,
Kiedy huknęli piosenkę pochodu
Nowemu wódcy, co harcował z przodu.

10.

Pośród puszcz gęstwy, pośród jarów cieśni
Mściwy Nebaba swoje szyki wiedzie.
Jak czuł koń jego, że na wszystkich przedzie!
Jak w piersiach jeźdźca rozigrane serce
Dzikiej, wojennej wtórowało pieśni,
Kiedy, myślami w przyszłość uniesiony,
Pożary w każdej dostrzegał iskierce,
Co błyska za nim, skoro lustro stali
Od miesięcznego oka się zapali,
Kiedy zwycięzkie odgadywał tony
W dzikich odgłosach wojennego pienia!
»Stójcie!« — Od wschodu dzień się zapłomienia.
Księżyc rumiany niby się krwią zbroczył,
W posępne chmury, jak do śmierci łoża,
Na cichych ranku wiatrach się zatoczył,

I, jak złej wieszczby, wyszła drżąca zorza.
»Stójcie! Słów kilka!« — Tu zemsty drużyna
Wkrąg atamana zawinęła kołem,
Gdzie się okrągli bezdrzewna równina,
Śród ramion boru i przed boru czołem.
»Baczność! Coś wichrem zaszumiało w lesie...
Jeden to z naszych gęstwą się przerzyna.«
Pilnował skrzydła. Jakież wieści niesie?
Jego pierś robi, jego biegun w pianie.
Między drzew szumem słyszał otrąbianie.
Czyżby Polacy tak blizko być mieli?
»Wytrwałość, dzieci! Bądźcie tylko śmieli,
»Naszem to będzie, co mamy przed nami!
»Pod samem miastem ten bajrak, czy wiecie,
»Co się rozrasta pomiędzy jarami? —
»Tam do godziny zmierzchu doleżycie.
»Ja później będę, skoro do wieczerzy
»Wezwie nas gwiazda, co w zamku na wieży.
»No! w imię Trójcy, ruszaj, gdzie kto może!«
Jak w tuman iskier rozdęte płomienie,
Jak śpiących nagle przerwane widzenie,
Tak razem zgaśli zwinni jeźdźcy w borze;
Tu się w promieni tysiąc rozskoczyli,
Tu między pniami jeszcze majaczyli,
A tu i śladu po żadnym już niema;
Niby zaklętych pochłonęły drzewa
Przed śmiertelnego słabemi oczyma.
Pusto, — sam tylko duch boru powiewa,
A za nim nagie klaskają konary;
Pod niemi rumak majaczeje kary,
A na nim jeździec pręży pilne ucho:
Z tej strony trąbka zdaje się grać głucho,
Lecz głuchszy jeszcze słychać dźwięk z tej strony;
Ranne go wiatry krętym jarem wloką.
Jeździec posłuchał, pomyślał głęboko...
Jak mu nie poznać! To kaniowskie dzwony

Szczęśliwą wieszczbą do niego mówiły.
Razem się pomknął w sklepienia milczące —
Wnet drzew sklepienia czczością się zaćmiły;
Jeszcze przez chwilę echa w czczości biły,
Lecz go już teraz nie znajdzie i słońce.

11.

Ponuro echa okoliczne trąca
Zamkowa trąba, wieczór witająca,
Gromadząc zbrojnych na modły wieczorne.
Wielkiem kościoła natury sklepieniem
Już, już, gdzieniegdzie, lampy wieków płoną.
Odkryto głowy, bronie opuszczono,
Utkwiono w ziemię spojrzenia pokorne,
Słów uroczystych słuchano z milczeniem.
»Amen!« — I »amen« powtórzono z skruchą.
Echa zamkowe ozwały się głucho:
»Amen!« — Ich »amen« tak smutny, niemiły,
Jakby go po raz ostatni odbiły.
Zagrzmiał ryk działa i skonał wśród boru,
Na wieży ogień zajął się strażniczy,
Milczący szyldwach ciche kroki liczy.
Po oknach błysły światełka wieczoru.
Mile zamkowa służebna drużyna
Wieczór, niestety, ostatni zaczyna.
Jak błysk jej światła, tak ciche wesele,
Kiedy zasiędzie każda przy swem dziele.
O, co za rozkosz obejrzeć te grona,
Gdy za prababek bawiły się pracą!
Tu gazy blaskiem złota się bogacą,
Jak biała zima, mrozem uiskrzona;
Tam czarodziejka, u krosien schylona,
Tchu nie da słyszeć, nie zwróci spojrzenia, —
I trzeba wierzyć, widząc jej oblicze,
Że blask tych oczu, to tchnienie dziewicze,
Cudowną władzą kwiat wiosny rozplenia;

W tej białych rękach drut jasny i gładki
Wydaje w mgnieniu różnowzore siatki,
Niby od wiatrów i z wiatrów tworzone,
Tak są przejrzyste i lekkie, jak one.
A tutaj okrąg głośniejszej roboty:
Tutaj burzliwe furczą kołowroty,
Tutaj wrzeciono ze lnami miękkiemi
Brzmieje nieznacznie i gwiżdże po ziemi.
A pienie w prostej, melodyjnej nucie,
Lube, jak pierwsze miłości uczucie,
Ciche, jak łono, co nie zna kochania,
Tęskne, jak pamięć rodzinnej zagrody,
Pełne z tem miejscem, z tą godziną zgody,
Sferą harmonji urok ich osłania.

12.

Czy nie po panu zatęskniła pani,
Że między niemi, a nie kwitnie na niej
Ta, co na wszystkich kwitnie w pełni, radość?
Słabość w jej oku, w jej obliczu bladość.
Jak chmur odbicie z mokrego dna stoku,
Wyziera dusza z poza łez w jej oku;
Cerę, co zgasła, wargę, co pobladła,
Z milczącą skargą mgła serca osiadła.
Czy się kto kiedy przypatrzył gangrenie,
Jak, utajona tląc w serca głębinie,
Na trupiem ciele wyjdzie małą plamą,
Jak coraz szerzej, coraz ciemniej mgleje,
Aż stosu śmierci dymem twarz odzieje?
Z młodej rządczyni smutkami toż samo.
Przez nieme wargi, przez ciemne spojrzenia,
W mgłach coraz grubszych, widać, jak się wloką,
A choć pierś westchnień, a łez pełne oko,
Jakby walczyły z niemi pierś i oko,
To łez nie puszcza, ta więzi westchnienia.
Ach! pierwsza rozkosz tak bardzo nie zmienia,

Nie gasi jagód, nie mrozi spojrzenia,
Żałobą duszy czoła nie ubiera,
Ciężkiem westchnieniem piersi nie zapiera;
Ach! pierwsza rozkosz w lubego objęciu,
Kiedy kochana i kocha, dziewczęciu
Daje czuć duszę życia anielskiego.
Lecz kiedy słabą żądze gwałtu zbiegą
I co drugiemu sobie wypieszczono,
W zmierzłej lubości obca rozkosz skradnie —
Piekło natenczas wciska się tam zdradnie
I śmierć zapładnia oblubieńcze łono.
Może, uważną pracą zaprzątnięta,
Zapomni smutku: usiadła za krosna;
Może miłosna, może pieśń żałosna
Posępną dumą utuli natręta,
Jak się utula pieszczoszek wrzaskliwy:
Dobre dziewczęta rozpoczęły śpiewy.
Już na źrenicy łezka zabłysnęła:
Zbiera się, zbiera, toczy — i stanęła,
Jakby z pogodą igrać jej niemiło,
Jakby ją zimno smutku zamroziło.
Już dłużej swego ciężaru nie wstrzyma:
Powstała z miejsca, lecz tak martwa cała,
I znów stanęła z takiemi oczyma,
Jakby się w izbie obłędu lękała.
Wlecze, mdlejąca, zwolna krok rozchwiany
I obcym rzutem ciska się do ściany.
U okna przecie! Nadstawiła ucha:
Niby jej wietrzyk, co przez szyby dmucha,
Niósł od przyjaźni słowa pociech miłe;
Powoli widać w poruszeniach siłę,
Promyk nadziei w spojrzenia światełku,
Tęcza radości mgliła się z jej czoła.
Źle z nagłą zmianą! Pojrzała dokoła,
A wszystko przed nią w rozpaczy i zgiełku.

13.

Już po Kaniowie straszna wieść latała,
Jak się wzburzyła Ukraina cała,
Jak zdradą Gonty dobyto Humania,
Ile tam mordów, ile krwi rozlania,
Jak samo Lachów zda się ścigać piekło,
A nigdzie schrony przed czernią zaciekłą.
Skoro wieczorem powstały tumany
Od nasępionej strony Zaporoża
I mglistą bielą osłoniona zorza
Z rózgą komety, jak lampa złej doli,
Gasnąć w obłokach zaczęła powoli —
Zdwoił się w mieście przestrach niesłychany;
Głuszej się zdały bełtać Dniepru szumy,
Jęczeć okropniej wichry Ukrainy
I groźniej ciemnieć sklepienia dębiny.
Jak po cmentarzu nieme duchów tłumy,
Snują się milczkiem po ulicach miasta
Tłumy mieszkańców, trwogą omroczone,
A wieszczba klęski, w którą pojrzysz stronę.
Tam dziecię pyta: skąd ten tuman wzrasta
I w takie kształty miesza się olbrzymie,
Jak Lucyfera wojsko w piekła dymie?
Cytnęła matka, wywróżyć się lęka.
Dwóch się przyjaciół zbiegła oto ręka —
I zimno śmierci ich uściski ziębi;
Dwojga kochanków spotkało się oko —
I męty śmierci widać w spojrzeń głębi,
I jęki śmierci z westchnieniem się wloką.
A topielicy skrwawione widziadło,
W skrwawionej szacie, ze skronią rozpadłą,
Ciągle Kaniowa przelatuje bruki,
W dziwniejszych ruchach, z dziwniejszemi huki,
Jak co się wyrwał z łona ziemi matki;
Nieprzetoczone unosząc ostatki;
Bo, jak nad trupem, krążą nad nią kruki.

14.

Z rękami w niebo płakał lud skruszony
Śród poświęconych sklepień Wszechmocnego;
Ściany świątyni wtórzyły płacz jego.
Księża śpiewali pokutnemi tony,
Kaniowskich dzwonnic jęczały wciąż dzwony,
W każdym ołtarzu światła wciąż pałały,
Nieocenione słano zewsząd wota
Z drogich kamieni, ze szczerego złota.
Wielkie ofiary, bo i strach niemały!
Płakali wierni, płakali niewierni.
Wprzódy, niżeli noc barwy poczerni,
Dzieci Solimy przed arką bóżnicy,
Bez płci różnicy, bez wieku różnicy,
Upadli na twarz, w pogrzebowej bieli,
Jakby od gniewu Bożego olśnęli,
I, w pyle ziemi czoła ponurzywszy,
Podnieśli głucho lament, żałośliwszy,
Niźli go słyszał świata wiek daleki
Na obcych brzegach babilońskiej rzeki,
I łzy Dawida z ich się ócz polały.
Szczere to płacze, bo i strach niemały!
Syny mej ziemi, o rodacy mili!
Wy szczerej wiary nie dacie poecie
I sami pojrzeć na przyszłość nie chcecie,
Na ucztę długo tłumionej swobody.
Wasi dziadowie widzieli te gody!
Dwory ich były smutnymi świadkami,
Ach, zapomnianej zbyt prędko igraszki!
Kiedy ze stalą, jak z zemsty żagwiami,
Krew żywej piersi lano w trupie czaszki
I każdą łezkę, na pana wylaną,
Jej dymiącemi kroplami spłacano!

15.

Długo, zbyt długo myślom zostawiona,
Stała u okna młoda rządcy żona.
Czy nie zły wicher szeptał ci, Orliko?
Masz w oczach radość, ale radość dziką.
Ciężkieś westchnienie na łono stoczyła,
Jakby w obawie, aby skrytość cała,
Którąś w milczeniu tak długiem warzyła,
Wcześnie przestraszyć świata nie zechciała.
»Ho-ha!« — Bicz klasnął, brzęknęły łańcuchy,
Opadły mosty, bruk zagrzmiał, bicz klaska,
Rośnie po zamku, zbliża się grzmot głuchy.
»Ho-ha!« — Bicz klasnął, stanęła kolaska.
Raduj się, zamku! Rządca wesół wrócił.
Widać, że drogę prędką jazdą skrócił,
Bo z wszystkich koni tak się opar dymi —
Ale z wieściami powrócił dobremi.
Skoro pomówił z kaniowskim starostą,
Wnet wyprawiono dwa oddziały naraz:
Jeden z nich Szwaczkę miał otoczyć zaraz,
A drugi ciągnie do Kaniowa prosto.
Pan wojewoda z Gontą kończy dzieło;
W koło szubienic stawia tysiącami.
Opatrzne oko zeszło już nad nami,
By kres bezbożnej swawoli wytknęło!
Jemu więc do snu ufnie zdajcie życie
I w łoża wasze wstępujcie spokojnie,
Bo w świetle szczęścia oczy otworzycie;
Zaśniecie z wojną, wstaniecie po wojnie!
Otóż i nowy goniec pędem zmierza.
Coraz pomyślniej. Przybiega z oddziału,
Co śledził Szwaczkę u Rosi nadbrzeża.
Bez hasła bitwy, bez jednego strzału
Znikł on z obozem, jakby wpadł do ziemi,
I tak bez śladu, że nasi, zdumiali,
Już nie wiedzieli, gdzie go szukać dalej,

Aż go odkryto między lasy temi,
I wkrótce przyjdzie do rozprawy z niemi.
Lecz męstwu naszych można ufać śmiele,
Że to spotkanie kres położy wojnie.
Więc dzwony, działa niech głoszą wesele,
A zamek z miastem zasypia spokojnie!

16.

Już w głuchej nocy opóźnioną porę
Przyćmiona lampa słabo się rozżarza;
Tak po miesiącu okna różnowzore
Błyszczą w kaplicy pośrodku cmentarza.
Łoże małżeńskie, zapłonione blado
Swiatłem, co mdlało, buchało, znów mdlało,
Tak się w półcieniach dziko wydawało,
Jakby to łoże, gdzie umarłych kładą.
Po dniowym trudzie małżonek śpi mocno;
Zmrużonem okiem po co żona czuje?
Czy, jak duch dobry, jego snu pilnuje?
Zegar wybija dwunastą północną.
»Czego to, gdzie to dzwony uderzyły?« —
Porwał się nagle rządca przebudzony.
»Zdało się tobie; to zegaru dzwony.«
I oczy rządcy znów się snem zakryły.
Ale poczwara, przeczucie złowrogie,
Pod snu zasłony złośliwie się wkrada
I, z bezzasadnych cierpień duszy rada,
Niewieścią w mężu ciągle budzi trwogę.
»Czego to trąby tak nagle zagrały?«
»Ach, Pan Bóg z tobą! świat, jak umarł, cały.
To zabrzęczała mucha obudzona.«
I znów, od zmysłów popłoszone zgiełku,
Cichnące czucia wróciły do łona;
Tak zgraja piskląt, od kani spłoszona,
Tuli się ufnie w matczynem skrzydełku.
Usnął. Rządczyni wciąż mruga powieka;

Jak góra westchnień, ciężkie dla niej łono,
I serce rwie się, jakby je męczono,
I pot gwałtownych miotań ją ocieka.
Cóż to tak przykro podrażnia jej oczy?
Czegóż pot mdłości z jej się lica toczy?
Jakaż na pierś jej mogiła się tłoczy?
Czy to nie szatan igra z nią w beześnie,
By owoc, którym pierś przeklętą płodni,
Wykołysany jej myślami wcześnie,
Stanął dojrzały na skinienie zbrodni?
Jaśniej i jaśniej błyszcząca źrenica
Razem, w powiece, pełno się rozświeca.
Podniosła głowę — wyżej, jeszcze wyżej.
Zezem nasamprzód przeszyła śpiącego,
Potem swe oczy do ócz męża zbliży
I długo, trwożnie bada ruchów jego;
Ostrożną ręką serca w piersi bada,
Na piersi jedna, skryta druga ręka.
Patrzy na oczy — wstaje i usiada;
Znalazła serce — wstaje i uklęka.
Mignęła w ręku błyszczącem żelazem.
Mąż się obudził i zawołał razem:
»O jakże sny mię strwożyły niemiło!
»Jakby się w zamku razem zapaliło,
»Taką mniemałem widzieć błyskawicę.
»A twoje czego tak błądzą źrenice?
»Ciebie zmieszało moje pomieszanie.
»Był to sen tylko, prawda, sen niemiły;
»Ale te myśli, co mię w dzień kłóciły,
»Wróciły na noc. Śpij już, śpij, kochanie.«
A więc usnęli. Biada temu, biada!
Kto, nazbyt ufny w trwożną cnotę ludzi,
Przy swojem sercu, w swem łożu układa
Serce, zatrute śmiertelną obrazą.
Usnął, a w ręku małżonki żelazo.
Bógże wie, kiedy i gdzie się obudzi!

17.

Pono nie we śnie rządcy biły dzwony,
Nie we śnie rządcy trąby grały głośno,
Nie we śnie rządcy płonęły pożary;
Trudno jest poznać śród nocy zgęszczonej,
Ale nad miastem jakieś dymy rosną
I zasłyszane wrą tam jakieś gwary.
»Czyż zaraz każde ma trwożyć zjawisko?
»Milczenie nocy jest nocy kapłanką,
»Milczenie nocy jest marzeń kochanką,
»W niemem jej łonie próżnych mar siedlisko.
»Com wziął za oręż, za tętnienie koni,
»Ani to konie, ani błysk oręży.«
Szyldwach zamkowy, gdy oko snem cięży,
Tak sobie myślał i usnął na broni.
Lecz zawsze błyska, lecz zawsze coś dzwoni,
Niby blask stali, niby tętent koni,
I coś się wznosi, podobne do huku —
Tutaj przed zamkiem, a tu już po bruku.
Razem zagrzmiało, wrzasło, zabrzęczało.
Zginąłeś zamku! Piekło się zaśmiało!
Bramy rozbite, straż wycięta w chwili,
A hajdamacy w zamek się wtłoczyli.
I w tejże chwili srogość rzezi cała
Z blaskiem pożaru wkoło się rozlała.
Śród nocnej ciszy wściekłych wrzasków wrzenie,
Tętent konnicy, brzęk broni, dział grzmienie,
Łupanych murów, baszt rąbanych trzaski,
Krwawe maszkary, widne z każdej strony,
Pożogi wiatrem rozdymanej blaski,
Czarny sklep nieba łunem zakrwawiony,
Dzwony kaniowskie, jęczące donośnie —
Wszystko to razem wszczęło się i rośnie,
A głos watażki ryczy nieprzerwanie.
Wszakże to nie jest Nebaby wołanie.

18.

Tak drogiej chwili piekło mu zazdrości;
Żart sobie z jego zrobiło wściekłości,
Biesiadę w zamku Szwaczce przeznaczyło.
Już wojsko zbiegłe tętniało daleko,
Gdy mu się oko we śnie wytrzeźwiło
I zabłyszczało pod wązką powieką.
Jakże się ciężko, jak wściekle zadumiał,
Gdy się sam ujrzał na tę puszczę całą!
Dziełem to czarów z początku rozumiał;
Żegnał się, żegnał — nic nie pomagało.
Teraz, jak było, poznał rzeczywiście
I wnet pogonią chciał lecieć za niemi,
Ale mu śladu nie da zwiędłe liście.
Więc się drogami puścił pewniejszemi
Wprost do Kaniowa. Skrycie tam przybyły,
Dla wrzącej czerni był to gość zbyt miły.
Bez trudu krwawe uiścił zamysły,
A wiódł rzecz swoją tak skrycie, tak śmiele,
Że, skoro zorze północne zabłysły,
Już go ujrzano na powstańców czele,
I bramy zamku pod szturmem rozprysły!
A tak i na tych, co go odstąpili,
I na Polakach mści się w jednej chwili.

19.

»Hej, dzieci! dalej, na pańskie komnaty!« —
Ryknęły miedzią atamańskie płuca;
A jak grzmot działa gradem śmierci rzuca,
Tak czerń rozjadła rzuciła się tłumem,
Z piskiem wściekłości, z głowni skrzących szumem
Na drzwi, na dachy, na ściany, na kraty.
A stare echo zawyło z przestrachu,
Kiedy po całym rozleli się gmachu
Drzwiami, oknami, wyłomami dachu.
»A teraz, dzieci, na rządcy pokoje!

»On, widzę, zamknął przed nami drzwi swoje!«
Ale, jak siłą poparli drzwi całą,
Runęły z dźwiękiem przykrego gwizdnienia,
Jakby je żywcem wyrwano z korzenia.
Czemuż ten kozak, co wprzód skoczył śmiało,
Jak śmiało skoczył, tak się cofnął z trwogą?
Cóż to ma znaczyć ta w ciele dyablica?
Ona nie słyszy, nie widzi nikogo —
Takie spokojne jej oko i lica.
Przed nią trup leży w rozrzuconem łożu,
W ręku nóż trzyma, krew pieni po nożu,
A na niej całej skrwawiona koszula;
Ona ją bierze, macza w trupa ranę,
I żmie ją niby, i niby wypiera,
Potem martwego pościelą otula,
Wymawia zcicha słowa ucinane,
Zbroczonem płótnem cała się wyciera
I wolnym krokiem idzie do zwierciadła.
Stanęła z lampą w ręce konającą,
Spokojna — tylko oczy się jej mącą.
Czerń rozjuszona właśnie wtedy wpadła,
Gdy w tej postaci stała u zwierciadła.
I konające potępieńca oczy,
Gdy je śmierć grzeszna pod swe bielmo toczy,
Już oblężone katów piekła zgrają,
Piekielnych krain witane już cieniem —
Nic groźniejszego widzieć nie zdołają
Przed ostatecznem na wieki zgaśnieniem.
Ta wpół kobieta, wpół grobów maszkara,
Z gasnącą lampą w rękach ubroczonych,
Jak gdyby z gwiazdą swych dni policzonych;
Ten kozak za nią, co, jak zbrodni kara,
Choć piętnem mordu cechowany cały,
Przecież niewolnie staje osłupiały
Przed okropnością złoczyńców sumienia;
Ten blask pożaru, skrwawione tło cienia,

A ci mordercy, co w głębokiej dali
Pomiędzy nocą orężem błyskali —
Prawdziwy obraz pieczar potępienia!

20.

»Dalejże, dzieci! a wam co się stało?«
Był to głos Szwaczki świeżo przybyłego,
Gdy pozierano po sobie nieśmiało.
A choć na chwilę stanął i głos jego,
Onby się zaśmiał do dyabła samego.
»Ho, ho! nie wiecie, co to za dyabłica,
»Nie wiecie tego — a mój nóż odgadnie.
»Patrzcie, jak we krwi skąpał się już ładnie!
»A choć tak we krwi, jeszcze się rozświeca!
»Stójże mi, widmo! Nóż to doświadczony
»I poświęcony, i dobrze ostrzony.
»Rzuć go na wicher, co tańczy po drodze,
»A gdzie się kręcił, świeżą krew zobaczysz!
»Jeżeli tylko dotrzymać mi raczysz,
»W Bogu nadzieja, dobrze cię ugodzę!«
Nóż błysnął, gwizdnął... Po niewieścim jęku,
Po smutnym lampy rozbryźnionej dźwięku —
Głucho i ciemno. Kozacy zdumieli
Jeszcze krwawego widma nie pojęli,
Kiedy ryk Szwaczki rozległ się olbrzymi:
»Podajcie głownię, co się ot tam dymi!
»Zniknęła larwa, to jej ślad te plamki...
»Przyświecaj lepiej — bliżej — tu, do klamki —
»Znać otwierała — wyszła temi drzwiami.
»Już to nie dyabeł, co uciekł przed nami!«
O, zmykaj, zmykaj! W zbrodniach tobie równi
Ścigają ciebie przy iskrzącej główni.
Skopcony ogniem, krwią ofiar ociekły,
Toczy się Szwaczka przed rozjadłą zgrają:
Tu jego usta: »łamać drzwi!« wyrzekły,
I tu drzwi nowe z zawias wypadają.

Długo trwać będzie ta igraszka dzika —
Ci dobrze gonią, ta dobrze umyka,
Zbestwiona pogoń drzwi po drzwiach wysadza.
Tu już stracili, tu znów krew ją zdradza,
Skoro o ścianę oprze się jej ręka;
Tu drzwi łupnęły; tu zasuwa brzęka;
Tu biegiem skorszym zbudziła podłogę;
Tu prawie słychać, jak serce jej bije.
Tu ją dokona przeznaczenie srogie,
Niech tylko drzwi te wyprze ramię czyje —
Już to ostatni przytułek za niemi,
Chybaby szatan schował ją do ziemi!

CZĘSC TRZECIA.

1.

Gdzież jesteś, duchu Nebaby?
Zjaw mi się znowu; znowu śpiew ci wznoszę.
Za te nikczemne świeckie powaby
Mieniałem, wietrznik, duszne me rozkosze,
I oto, z wstrętem przesytu,
Obojego tułacz bytu,
Nie wiem, gdzie się dziś obrócę,
Jak mojej pieśni donucę!...
Burze serca, burze losów
Ogłuszyły mię na chwilę!
Losy piorunowały tyle!
Obyłem się z grozą ich ciosów.
I serce tyle wichrzyło,
Tak kochało, tak mi biło,
Że już omdlało — czczość, mgłę zostawiło.
W tej czczości, w tem omdleniu
Świat tobie, memu marzeniu!
Jesteś więc ze mną, witam cię, o cieniu!
A z łomu gruzów, śród morderców gwaru
Wznosi się szatan falami pożaru
I w równi trzyma na wadze zniszczenia
Rozkosze zemsty i zbrodni cierpienia,

Dając mi porę, bym w czasie cofnionym
Puścił wzrok wieszczy za jeźdźcem zgubionym.
Otom go znalazł i oto go wiodę
Po zasłużoną jego dzieł nagrodę.

2.

Niepomnych czasów nieznana mogiła
W cieniach gęstego lasu się ukryła.
Nad boki mszyste, nad jej szczyt okrągły
Odwiecznym cieniem sklepienia się sprzągły
Ze sklepem dębu, co z lasów zarośli
Strzelał swym szczytem widniej i wynioślej
Niż wieża Ławry, złotem błyskająca
Pośrodku dzwonnic kijowskich tysiąca.
Starszy brat sławnej puszczy Łebedyna,
Niejednej puszczy plemię on zaczyna,
Bo burze nieba i czasu wstrząśnienia
Tak się po jego przesuwały szczycie,
Jak tej piastunki, co chce uśpić dziecię,
Zmyślone groźby i głaszczące pienia.
Czy spiekłe lato piorunami sieje,
Czy płaszcz jesieni mgłami się odyma,
Czy w nagich borach mroźna iskrzy zima —
Korona jego ciągle zielenieje;
Niby mąż wieków w mogile tej leży,
Niby myśl jego, w kształt drzewa odziana
I bohaterską posoką podlana,
Piastuje wieniec chwały, zawsze świeży.

3.

Nebaba, senny, pod nim odpoczywa.
Wpół zwiędły trawnik jest kobiercem łóżka,
Namiot z gałęzi, ze mchu pnia poduszka;
Przykry świst puszczy piosenkę mu śpiewa,
A kozackiego wartownik posłania,
Koń, tylko wrony trędzlami podzwania.

Po miejscu wspomnień, po męża postawie
Możnaby myśleć, że duch bohatera,
O którym marzy ukraińska lira,
Tu, w pełni życia, zmartwychwstał na jawie.
Ale, śpiącego zajrząc wspaniałości,
Snu atamana niech nikt nie zazdrości.
Wejrzyj na lice: w ich się ruchu kreśli
Cała męczarnia skrępowanych myśli.
Zdawało mu się widzieć ogień z wieży;
Dosiada konia — zebrać swój szyk bieży,
Ale na miejscu kozaków obozu
Spotyka stado wilków śród wąwozu!
Wtem głos Orliki, jakby gdzieś za górą...
Śpieszy ku niemu: światło co błyszczało,
To Ksenia w oczy patrzy mu ponuro,
I kruków kilka w uszy zakrakało.
Zlał go pot rzęsny — wymknąć się im sili,
Aż on harcuje na żelaznym pręcie...
Tu go przestrachu ocknęło wstrząśnięcie.
Lecz cóż postrzega w przebudzenia chwili?

4.

Człowiek spokojnie siedział sobie z boku.
Z brody sędziwej lata widać mnogie,
A, że nie widzi — z zapadłego wzroku.
Trzymał na nodze założoną nogę;
Na niej wsparł lirę i tonów próbował,
Niby przypomnieć piosnkę usiłował.
Kamrat Nebabie niebardzo przyjemny;
Więc z góry krzyknie, ku starcowi skoczy:
»Dziadu! kto jesteś? Co robisz w tym borze?«
Zwolna, drwiąc prawie, odpowiedział ciemny:
»Jak mowa groźna, taka twarz być może;
»Dziękuję Bogu, że mi wydarł oczy.«
I znów spokojnie wziął się do brząkania,
Jakby wszystkiego zbył tą odpowiedzią.

»Nikt żartem nie zbył mojego pytania!
»Bóg cię tu przyniósł, djabeł nie wyniesie!
»Starcze, kto jesteś? Co robisz w tym lesie?«
I siłą starca pochwycił niedźwiedzią;
Ale w krwi zimnej lirnik jednakowy:
»Puść! strunę urwiesz, a nie kupisz nowej.
»Gdym już tak bardzo nieprzyjemny tobie —
»Ty widzisz dobrze, jam ślepy na obie —
»To, zamiast gniewów i tego hałasu,
»Na trakt ubity wyprowadź mię z lasu,
»Albo mię przeproś, daj grosz jaki w rękę,
»A na dobranoc usłyszysz piosenkę.«
»Djabeł nie ślepiec! W miejscu odpowiedzi,
»Niezlękły groźbą, jak kamienny siedzi« —
Pomyślał kozak; skrycie się uśmiechnie,
Bo już i gniewu uniesienie cichnie.
»Czemuż to, ślepcze, nie masz przewodnika?« —
Już łagodniejszym zapytał się głosem.
Dziad się uśmiechnął, »hm!« mruknął pod nosem:
»U mnie to kostur, co u kogo pika.
»W słotę, w pogodę, czy to dniem, czy nocą,
»Całą Ruś przejdę za jego pomocą.
»A od Kaniowa aż do samej Smiły
»Wszystkie pod ręką poznam ci mogiły;
»Pień tobie każdy poznam nad mą drogą,
»Każdą murawkę, co nastąpię nogą.
»Ale kiedym się odbił od kamratów,
»I tutaj blizko smacznie odpoczywał,
»Ktoś mi dziadowskich pozazdrościł gratów
»I skradł kostura. Prawda, był okuty —
»Stanie za szablę. Czyś się już przegniewał?
»Długi gniew grzechem. No, będę ci śpiewał
»Na zgodę, tylko daj mi dwie minuty,
»Że sobie lirę do głosu nastroję.
»O! wszędzie, wszędzie lubią pieśni moje.«

Nebaba ani zezwala, ni wzbrania,
Więc lirnik zaczął po chwili brząkania:

5.

»Wypłyń, wypłyń z za obłoku!«
I nagle urwał w samym pieśni toku.
»Trzeba, bym wprzódy rzecz powiedział całą.
»Historja długa; siądź tu, rzuć ratyszcze;
»Długa, lecz pewnie twą pochwałę zyszcze.
»Gdzie się to działo i z kim się to działo,
»Trudno jest wiedzieć — niekoniecznie wreszcie.
»Może i nie chcesz. Dość, we wsi czy w mieście,
»Była dziewczyna z niepełnym rozumem.
»Dawno chodziły wieści między tłumem,
»Że nad jeziorem, w zarosłej ustroni,
»Kiedy się wszyscy w chatach spać pokładą,
»A noc na niebie błyśnie gwiazd gromadą,
»Jasny latawiec spływa ogniem do niej.
»Wszyscy to pletli, wszystkich to bolało,
»Że o tym cudzie wiedzieli tak mało.
»Ale z szatanem niebezpieczna sprawa.
»A był tam chłopiec, sztuczka śmiała, żwawa;
»Brząknąć w bandurkę, przylgnąć do dziewczyny,
»Wywinąć tańca, coś spłatać — jedyny.
»Jak się rozszalał z drugiemi chłopaki,
»Przyrzekł, że djabła na schadzce dostrzeże.
»I dostrzegł. Czegóż nie dokaże taki?
»Każdy to przyznał i ja temu wierzę;
»Bo obłąkana drugiego wieczora,
»Zamiast miłego czekać u jeziora,
»Duszą i ciałem chłopaka się trzyma.
»Aż niezabawem i łono się wzdyma...
»I gdy już o tem pełne kumów uszy,
»Ktoś wyjął z wody dziewczynę bez duszy.
»Po żwawym chłopcu ni śladu, ni słychu.
»Różnie to różni gadali po cichu,

»Choć najpewniejsza utwierdza pogłoska,
»Że ot w tem wszystkiem moc była czartowska!
»Djablich miłostek mieszać nie wypada.
»Ksenia... ten język zawsze się wygada...
»Szalona, żyje. Ale choć, jak wprzódy,
»Błądzi pomiędzy i lasy i wody,
»I na noc całą przed gwiazdami siada —
»Nikt jej nie śledzi, nikt jej tam nie bada,
»Bo, niechaj z nami zostanie duch święty,
»W ciało niebogi wsadził się bezpięty.
»Ale dojrzano kwitnące paprocie,
»To i jej pieśni słyszano w ciemnocie.
»Będę ci śpiewał, jakem nauczony.«
I nucił, w liry uderzając strόny:

* * *

»Wypłyń, wypłyń z za obłoku,
»Po błękitnem przeleć niebie!
»Ja, kochanka, wzywam ciebie!
«W lasów ciszy, w nocy mroku,
»Ho-hop, ho-hop! wzywam ciebie!

* * *

»Głucha ciemność wioskę kryje;
»Zgasł kaganek w oknie chatki,
»Sen zakleił oczy matki,
»Moje serce bije, bije,
»Do twojego serca bije!

* * *

»O północnej wyszłam porze,
»Na burzliwą nie dbam porę;
»Skoro mi blask luby gore,
»Niechaj zgasną wszystkie zorze,
»Całą noc przesiedzę w borze!

* * *

»Kiedy promień twych warkoczy
»Spłynie na obłoki sinie,
»Ziemia złotym dniem opłynie,
»A mnie dusza, a mnie oczy,
»A mnie serce szczęściem spłynie!

* * *

»Ho-hop, ho-hop! Ja, kochanka,
»W lasów ciszy, w nocy mroku
»Radam do samego ranka
»Wywoływać cię z obłoku.
»Ho-hop! spłyń do mego boku!

»W końcu najpiękniej; chcesz, to ci powtórzę:
»Ho-hop, ho-hop!...«
I musiał stanąć. Z ócz Nebaby błysku
Dawno już widać, co tam w myśli chmurze
I gromowego jak blizko pocisku.
Zdaje się, brakło ruszenia lub słowa.
Szczęśliwa dotąd, widać, stara głowa.
Ale w tej chwili schwycił go za ramię,
Że mu, jak szatan, musiał wypiec znamię:
»Jak mi raz jeszcze to »ho-hop!« zawyjesz...
»Słuchaj, przeklęty! czy już nadto żyjesz?«
Nie mógł dokończyć, bo rżenie wronego
Wezwało nagłej obecności jego;
Skoczył od starca, błysnął w ręku piką
I prędzej gęstwą przemykał się dziką.

6.

A koń, jak wryty, stanął niespokojny;
To wzrok zaiskrzy i nozdrze rozszerzy,
To znowu zarży, kopytem uderzy,
Jakby go tchnienie obwiewało wojny.
Nic tu nie widać, nie słychać nikogo,

Chyba się listek odezwie pod nogą.
»Lecz karosz jeszcze nie trwożył mię próżno.
»Nieostrożnego i Bóg nie uchował;
»Złe się przechodzi pod postacią różną...«
I do lirnika myśli swe skierował:
— »Trzeba go zbadać, podobno to zdrada,
»Bo choć się dziadem i ślepym powiada,
»Te drwiącym śmiechem wykrzywione usta,
»Jeśli nie djabła, zdradzają oszusta.
»Ten głos donośny, sama broda biała,
»Slepota nawet coś mi się nie zdała.
»Patrz, jak usłuchał! A przeciem mu wzbronił!
»Jakby we dzwony, swoje »hop!« zadzwonił!
»Trza go nauczyć, choć to siwa głowa!
»Niech dla weselszych swoje żarty chowa!«

7.

Już kozak drogi do drzewa miał mało,
Kiedy w gęstwinie jeszcze się zaśmiało.
Teraz bezpiecznie szukaj go z latarnią!
Dokoła pusto, wszystko się zciszyło,
Jakby lirnika ni liry nie było;
I kwiat, gdzie siedział, wstał już między darnią.
Stał Ukrainiec i w długim podziwie
Po razy kilka nabożnie się żegnał.
Jeśli to szatan — żeby go krzyż przegnał;
Jeśli szpieg, w starca przebrany kłamliwie —
Żeby mógł znowu dostać go do ręku!
Lecz gdzie go śledzić, że tak wkoło głucho?
Ukląkł, przyłożył do mogiły ucho:
Tętnienie konia słychać w ziemi stęku.
Ha! myśl szczęśliwa kręci się po głowie:
Oko najlepiej z tego dębu powie.
Wstał — ale jeszcze uchem wiatru schwytał,
Raz jeszcze okiem gęstwiny zapytał
I pod mszystemi zniknął gałęziami.

Tu pika błyszczy, kołpak czerwienieje,
A tu, po dębie, coraz bliżej wierzchu,
Gdzieniegdzie gałąź szeleśnie czasami —
Aż oto razem postać zajaśnieje,
Gdzie sam szczyt drzewa tonie w ogniach zmierzchu.

8.

Darmo Nebaba wodzi orlim wzrokiem
Nad różnolistnym gęstych puszcz obłokiem,
Darmo okrąża po polu szerokiem.
Zawsze w pustynie czczości wzrok zapada;
Ani kurzawy po drożynie dziada.
Jak tylko zajrzeć, wokoło tumany,
Snują się jary, wstają w piętrach wzgórza,
Śród nich gdzieniegdzie lasek się zachmurza,
Błyszczy dnia resztą dach zamku blaszany,
Błyszczy na prawo Dniepr, dołem rozlany.
W błędnej z tysiącznych węzłów plątaninie
Liczne się drogi na lewo rozbiegły;
To skrętnym wężem pełzną po wyżynie,
To się, jak wstęga, snują po równinie,
To w paszczach jaru giną niespodzianie —
Aż razem zniknął w dalekim tumanie.
Tak tu wyraźny ten widok rozległy,
Że zliczysz wszystkie przydrożne figury,
A oczy lepsze dostrzec nawet mogą,
Gdzie jaki żebrak ciągnie którą drogą,
Gdzie koło błyska pośród pyłu chmury.
A dnia ostatkiem zachód pozłocony,
Pocieniowany lotnemi obłoki,
Jest jak zwierciadło tej ponętnej strony
Z każdym jej cieniem, z wszystkiemi uroki!

9.

Kogóż ten widok, kogo nie zachwyci,
Kiedy, nad otchłań pognębienia wzbici,

Krążymy po niej spojrzeniem w półbożem,
A bliżsi nieba, czuć wyraźniej możem,
Żeśmy na samem dwóch sfer pograniczu,
W swojej kolebki, w ojczyzny obliczu?
Weselsza dusza żywiej tu promieni,
Jaśniej tu czyta w literach z płomieni,
Któremi Wieczny w tle chaosu cieni
Do swej potęgi dziedzictwa ją wpisał.
Z przed tronu Boga głośniej tu dolata
Spiew, co ją w łonie wieczności kołysał;
Głuszej tu jęczy płacz nizkiego świata;
Na dół, do ziemi, smutku kwef ponury,
Na dół westchnienie, co zawichrza duszą,
Łzy, sercu ciężkie, na dół tu ciec muszą,
Jak nawałnice, i deszcze, i chmury,
Płyną do ziemi od niebieskiej góry.

10.

Co to Nebaba tak myśli głęboko,
Między gałężmi oparty bez ruchu?
Czem tak zasunął rozigrane oko?
Czy dąb, gaduła, szepce w jego ucho
Smutne powieści o klęskach tej ziemi,
Gdy pod jej niebem sęp mordu ponury
Toczył cień trwogi skrzydłami krwawemi,
A z nim Tatarów napływały chmury?
O, nieraz może na tym jego szczycie
Rozwiewały się przestrogi znamiona,
Niejedno może ta z liści zasłona
Przed srogą śmiercią uchowała życie.
Nie! W zadumaniu cichem i głębokiem
Puścił się kozak swoich dni potokiem.
Po jego myślach młody wiek przegania
W kwitnących barwach świetnego zarania.
Co za świat w ciszy rodzinnego sioła,
Gdy dusza grała ogniami jutrzenki,

A wabna przyszłość, jak wróżka wesoła,
W kolej nadziei uchylała wdzięki!
Jak wszystko pełne, jak tam wszędzie miło!
Jak dzień, skąpany w jeziorze rodzinnem,
Cicho, ponętnie w marzeniach świeciło —
Przeszłość i przyszłość, szczęście i niedole.
Życie — koń wrzący; świat — kwieciste pole!
Wzburzenia duszy, cierpkie serca bole —
Wszystko się topi w uśmiechu dziecinnym;
Łzę utrapienia łza rozkoszy strąca,
I struna, w tony rozliczne bijąca,
Leniwiej smutne wesołemi zmienia,
Jak jego umysł, swoje poruszenia.
Albo ten wieczór, ten ogień Kupały!
Po zwierciadlanej Biełozyrja wodzie
Mkną się rybackie z kagankami łodzie;
Niebo ciemniało, szyki gwiazd gęstniały,
Błękitna fala sypała kryształy,
Szum sosen mruczał piosenkę żeglugi,
Muzyczną miarą uderzały wiosła.
Cyt! płomieniami rozgorzał brzeg drugi
I wrzawa dziewic zewsząd się podniosła.
We mgnieniu oka ucichli żeglarze;
Złożyli wiosła, czółna w okrąg płyną;
Już w oczeretach syknęły gadziną.
A brzegi kipią w piosenkach i gwarze,
A tanecznice migającym cieniem
Snują się ciągle przed wielkim płomieniem.
Wtem zaczajona młódź nagle wypada.
Nebaba huknął: »Zdrada, siostry, zdrada!«
»Już po bałwanie! z wianków oberwany,
Złamany, leży. Skończyły się tany,
Ucięto śpiewy, a mściwe dziewczęta
Całusem karzą śmiałego natręta.
A też pustoty!... Gdy wszyscy usnęli,
Widmo kobiety wysnuło się w bieli...

Dziką piosenką serce zaśpiewało,
Blask obłąkania strzelił ze źrenicy.
Kozak na chwilę zniżył skroń ściemniałą,
Jakby chciał przetrwać, aż ucichną pieśni,
Aż mu natrętne widziadło się prześni.
Czyż taka pamięć pieszczot miłośnicy?
Darmo! nie ścieraj z czoła mgłę natrętną,
Nie stawiaj myśli na spojrzenia warcie;
Raz jeden zbrodni wyciśnione piętno,
Jak blask fosforu, czyści się przez tarcie.
Choć w całun duszy twe się oko wprządło,
Zawsze nieczystych miga się w niem żądło.

11.

Inny Nebaba, bo z inną już duszą,
Pomiędzy borów majaczeje głuszą.
Grom namiętności mgłę spojrzeń rozświeca,
Szyderski uśmiech kazi hoże lica;
Wszystko kipiące, od serca począwszy,
Aż do rumaka, co go, gdzie chce, niesie.
Jak w duszy jego, posępno w tym lesie,
Jak żądze jego, kraj tu coraz nowszy.
Z pięter na piętra, z gór na góry drze się;
Za każdym krokiem rosną w nim tęsknice,
Im lasy głuchsze, wyższe okolice.
Aż oto nowa zajaśniala chwila
I cienie troski ciągle mu umila,
Jak noc wieczności zorza zmartwychwstania.
Cóż to za dziwna strona się odsłania?
Tu, pod nogami, na równi poziomej,
Moszen spojrzeniem policzone domy,
Irdyń, drzemiący w spleśniałej głębinie,
Wiecznie z wiatrami sporne oczerety,
Jak rozsypane zielone bukiety —
Drzewa i sady, i gaje w dolinie.
Tam błyskający jasnemi zwierciadły,

Tu w gardła jaru, jak w otchłań, zapadły,
Dniepr tutaj całkiem skrył się w bór ponury,
A tu się znowu wylał z bioder góry.
Dalej piaszczyste, pozłocone morze,
Dalej bór spływa po szpiczastym szczycie,
Podobny strzępnej narodowca kicie.
A jeszcze dalej, i dalej, i bliżej
Góra po górze, bór idzie po borze;
Tysiącem węzłów, tysiącami krzyży
Plączą się, mącą, rozchodzą, zbiegają
Niepoliczoną, nieobjętą zgrają.
Wioski i grody, pustynie i laski,
Jary i góry, i łąki, i piaski.
A coraz dalej stepy piasku bledsze,
A coraz dalej lasy błękitnawsze,
A coraz dalej dymniejsze powietrze,
I nieba niższe, a mgły — a mgły zawsze.
Ileż uniesień, swobody rozwinie
Jeden tu widok, w jednej tu godzinie!
Gdzie ten wiatr wieje, gdzie ten obłok dąży?
Co tam za strony, gdzie w tumany sinie,
Wiecznie drzemiące, fala Dniepru płynie?
Orzeł niech powie, co pod niebem krąży;
On wyżej buja, i jego źrenice
Wyraźniej widzą tamtą okolicę.
O Zaporożu niechaj on opowie,
Jak tam rozlegle panują koszowi,
Jakie tam wiecznie hulanki i wola,
To samo słońce jak tam rozpromienia
Porozsiewane gwarne ich kurzenia,
A tabun pędzi ze rżeniem na pola,
A Zaporożec na swobodnym koniu,
Jak jego myśli, ugania po błoniu;
Jak wicher stepu, jego pieśń tak dzika.
A tam, po Dnieprze, łódka się przemyka,
Lekka i chybka, i szybka, jak fala,

Leci za nurtem po szklanej równinie;
Wpadła na poroh, ze skał się przewala,
Zapadła w głębię... przepadła... aż zdala
Pęka wód kryształ — łódź, jak łabędź, płynie.
»Przeszło, co było! i, co będzie, minie!« —
Ockniony z myśli, ataman zawoła —
»A co być musi, niechaj się już staje!
»Kozacy tęsknią i ogień goreje!«
Spuścił się z dębu na skrzydłach sokoła,
Na szumie wichru przemknął się przez knieje.
Już pod bajrakiem i już hasło daje.

12.

Poznała hasło kozacza drużyna,
W gęstwinie bajraku dotychczas drzemiąca.
Lekkie gwizdnienie biegać wkrąg poczyna
I ciszę zmroku powoli zamąca,
Ale nie głośniej, jak szum między drzewy,
Gdy wstaje chmura nawalnej ulewy.
Prędko, spokojnie wszystko się odbywa,
Bo i pochodu młodzież niecierpliwa,
I atamana rozkaz wykonywa.
Nie śmie złowiony koń zadzwonić w pęta,
Nie śmie stal brząknąć, do boku przypięta;
Natrętna innym, gałązka przydrożna
Kozaczej czapki nie dotknie, ostrożna.
A z jaką ciszą do zbroi się brali,
Z taką, już zbrojni, z lasu wyjechali.
Czekał ataman, kołpakiem omglony,
Pod atamanem kopał ziemię wrony.
Dał znak; mołodcy obwiedli go kołem;
Podniósł kołpaka, powiódł śmiałem czołem:
— »Panowie bracia, czas nam ruszać dalej!
»Droga daleka, gwiazda się już pali,
»A zamek czeka z łóżkiem i wieczerzą!
»Więc z Bogiem naprzód! Niech koń w pęcie dłużej,

»A noże we rdzy niech dłużej nie leżą.
»Szlak wiemy dobrze, choć się niebo chmurzy.
»Aby dłoń sprawna i pika niekrucha,
»To za godzinę do Dniepru popłynie,
»W djable ochrzczona, niewiernych psów jucha!
»Naprzód, Kozacy! spoczniem po godzinie«.
A nie chcąc dłużej rozwlekać się słowy,
Pokazał ręką na ogień zamkowy;
Świsnął, i wprzód się wysunął aż miło,
A wojsku chęci we dwoje przybyło.

13.

Niezbyt daleko jeszcze odjechali,
I widać jeszcze przez mroku zasłonę,
Gdy śpiew się ozwał w międzyleśnej dali.
Zwrócono oczy i uszy w tę stronę:
Pieśni znajome, ich słowy złożone.
Patrzą ciekawi, co się dalej stanie,
Patrzą do lasu; ucichło śpiewanie,
Aż i dwóch jezdnych, szłapiąc wolnym krokiem,
Zamajaczyło między szarym zmrokiem.
Ile w ciemności dopatrzeć się można,
Kozaczą burką opięci się zdają
I długie piki, zda się, w ręku mają.
Ale we wszystkiem trzeba iść z ostrożna.
Na znak Nebaby czterech wyskoczyło
Rozpoznać zblizka, coby to tam było.

14.

Już powrócili; dobrze się sprawiono.
»To niedobitki, ojcze atamanie!
»Wielkie przy Mosznach było krwi rozlanie —
»Tabor tam naszych ze szczętem zniesiono;
»A tym dwum jakoś to trzciny Irdynia,
»To okoliczna pomogła pustynia,
Że się wymknęli, upatrzywszy porę.

»Ale ich serce i dziś na bój gore.
»I, gdyby można, toby jeszcze radzi
»Tu pohulali. A więc z dobrej chęci
»Proszą, by u nas mogli być przyjęci.
»Nam się też zdaje, że to nie zawadzi.
»Przyjm ich, prosimy, do swojej czeladzi«.
Coś pomyślawszy, zezwolił wódz na to,
Bo dwuch, nareszcie, ni zyskiem, ni stratą.
Kozacy, radzi z nowych towarzyszy,
Ruszyli dalej w porządku i ciszy.

15.

Wieczór gęściejsze rozsiewa tumany,
Brudniejszym niebo obłokiem zaciemia,
Z ciemniejszem niebem zasępia się ziemia;
Toczą się szlakiem obłędu bałwany.
Chropawym torem, w ślepiącej ciemnocie
Orężny orszak bacznie się posuwa;
Daleki ogień, co na przodzie czuwa,
Dodaje bodźca wojennej ochocie.
To na zamkowej wieży się paliło.
Kochankom wojny tak go widzieć miło,
Jakby się w oko dziewczyny patrzyli,
Gdy je nadzieja rozkoszy umili.
I dalej hufcem ściśnionym stąpali,
Ciągle milczenie zachowując dzikie,
Nadzieję mordu mając za muzykę,
Za wtór stęk ziemi i brząkanie stali.
Cóż się tam dzieje z myślami Nebaby
Teraz, gdy zemsty dostępuje szczytu?
Musi mu jaśnieć wszystkiemi powaby;
Teraz to musi w rozkoszy zachwytu...
Ej, ile można miarkować po czole,
Po dosłyszanem zazgrzytaniu szczęki —
Znośniejsze serca zdradzonego bole,
Gdyby się pojął, niż te zemsty wdzięki!

Czegóżby marzył po tryumfach noża
O błędnem życiu w stepach Zaporoża?
I czegóż w myśli tak brnąć, że pomału
Jakby w sen zapadł, jakby w śnie się rzucił,
Gdy pistoletu wystrzał go ocucił.
»Kto tam wystrzelił?« — wnet groźnie zawoła.
Pilnie patrzano po sobie dokoła;
To aż w ostatnich szeregach oddziału.
»Droga tak ciemna, koń się spotknął w chodzie,
»Przeklęty kurek, źle trzyma na zwodzie;
»Aby go dotknąć, — to zaraz i pryśnie«. —
»Niechajno każdy pistoletu strzeże!
»Bo, czy to umyślnie, czy to nieumyślnie,
»Raz ja ostatni w ten przypadek wierzę!
»Nie przetrze oczu, jak plunę któremu!
»Hej, kto wie drogę, niech jedzie przed nami!
»Wy z bystrem okiem, biegnijcie stronami,
»A tył oddziału wręczam pod straż temu.
»Wróg — bodaj mara, a wystrzał przestroga!« —
»Pozwól się prosić, ojcze atamanie« —
Podchwycił kozak, co w tej chwili stanie.
»Każda mi znana pod Kaniowem droga:
»Nie jedne wiozłem tu listy, a wprzódy
»Nie raz tu, nie dwa, wypasałem trzody.
»Wybierz mi oczy, jeszczę i w tę chwilę,
»Na krzyż przysięgam, że na krok nie zmylę.«
»Zanadto mowy, lecz kiedyś ochoczy,
»Więc prowadź. Zawsze ku temu ogniowi;
»To nam gospoda«. — Tak Nebaba powie,
A zwinny kozak przed wszystkich wyskoczy;
Westchnie, — przez piersi święty krzyż położy,
A za nim reszta — i dalej, w czas Boży!

16.

Ciemnemi szlaki wywijając kręto,
Nad jar głęboki przerznął się Nebaba.

A już i jasność miesięczna, choć słaba,
Biła ze wschodu w chmurę nasuniętą,
I widzieć w cieniach wyraźniej zaczęto.
Gęstemi trzciny szeleści jar na dnie;
Woda gdzieniegdzie drzemie śród bagniska,
Chwilkę jaśniejszem zwierciadłem zabłyska,
Gdy drobna gwiazda z za chmur się wykradnie
I w srebrnych iskrach na jej marszczki padnie.
»Patrzcie no! co to tem wzgórzem ciemnieje?«
»To powyż jaru podnoszą się lasy.«
»Lasy w tych stronach, a ja znam te strony.
»Może .... Słyszycie ten szum przytłumiony?«
»To aż za Dnieprem biesiadują knieje«.
»Nie, bracia, kłamstwo! to coś jak hałasy.«
Ale gdzież kozak, co przed atamanem
Po błędnej drodze jego hufiec wodził?
Czy w czarodziejskiem kole się ogrodził?
Czy, jak widziadło, rozwiał się tumanem?
Byłże to Polak, przykryty kołpakiem,
By nieostrożnych naprowadzić w siatki?
Badał — i lubo śród przykrej zagadki
Dreszcz, co oziębia, przebiegał po ciele,
Żadnym nie zdradził podejrzenia znakiem;
Tylko zawołał na swoich i śmiele
Puścił się z góry, jak gdyby skrzydlaty.
Podwójny wystrzał błysnął, zagrzmiał w tyle,
I jęk śmiertelny ozwał się za chwilę.
»Stój, atamanie!« — leci jeden z czaty. —
»Zdrada od Lachów! Już nasz jeden zginął;
»Ledwie dał hasło, pod koniem się zwinął,
»Takim go smacznym przywitał nabojem
»Czart, zaczajony w kudły naszej burki;
»A teraz z wojskiem połączył się swojem,
»Co już nam odwód przecięło na wzgórki.
»Słyszysz, czy widzisz, co się to zaczyna?«
Zaledwie skończył złej wieści posłaniec,

Kozacy na dół runęli nawałą,
Aż zastękała w dnie jaru głębina,
A z góry chmurą, gromami nabrzmiałą,
Zwolna bagnetów następował szaniec.
Wpół chmurny księżyc pozierał nieśmiało,
Rzęsne się błyski sypały z oręża,
A szyk doborny, koń w konia, mąż w męża,
W nieprzełamanym i niemym szeregu
Sunął po jarów górującym brzegu.
Tylko szeleści sztandar rozwiniony,
Jak gdyby szeptał już naprzód pacierze
Po duszach, które śmierć za chwilę zbierze,
A czasem trąbka wrzaśnie w przykre tony.

17.

Jak ta na wstręcie zaburzonej fali,
Co przez dnieprowe porohy się wali,
Skała śród szumu stoi niezachwiana —
Tak się wydaje postać atamana,
Kiedy, zepchnięte nieprzyjaciół siłą,
Wojsko się jego dokoła stłoczyło.
»Stójcie!« — zakrzyczał — »podstęp, nie wygrana
»Prawda, że wrogi stoją nam na tyle,
»A dla nas przykre co nie w zamku chwile,
»Lecz tu potrzebne choć bitwy udanie.
»I ani możem wątpić o zwycięstwie!
»Znać nie ufają ni w sile, ni w męstwie,
»Gdy tu, w tej porze, godzą na spotkanie.
»Niechajże z tyłu gotują nam tamy,
»A my na górę przed siebie ruszamy.
»Ciemna noc równie obu wojskom sprzyja.
»Dalej, na góry, gdzie przeprawa czyja!«
Już się wypuścił, aż tu, jednym razem
Burzą wojenną powietrze zawrzało;
Ryknięto w trąby, brząknięto żelazem —
Blade się łuno po nocy rozlało

I gradem śmierci w okrąg zaświstało.
Spojrzał Nebaba i wstrzymał się w biegu —
Tak go gwałtowne objęło zdziwienie;
Polacy stoją na oboim brzegu
I ślą ku niemu ogień bez przestanku,
A on się widzi w płomienistym wianku.
»Zdajcie się, zdajcie! kornym przebaczenie!« —
Na wszystkie głosy Polacy wrzasnęli.
Patrzą po sobie kozacy zdumieli,
Lecz wódz nie daje do myślenia chwili,
Więc ich przykładem i mową posili:
»Nic to, nic, bracia! damy ład wszystkiemu.
»Zaraz tu wszystkich popędzimy w bagno
»W sercach im zatknąć broń, której tak pragną.
»Nic to, nic bracia; huknijcie po swemu!«

18.

Czy duch, co lubi wspierać ludzi zbrodnie,
Śród nocy piekła podniósł im pochodnię
I do ich serca zagrał swą muzyką,
Że takie grzmoty ryknęły tak dziko,
A na świat ciemny, na sklep nieba cały
Tak niezwyczajne błyski się rozlały?
Grobowa cichość nastała po wrzawie,
I oba wojska, w posągów postawie,
Z bezwładną ręką opuściwszy bronie,
Oczy ku jednej obrócili stronie,
Jakby na karku nikogo nie mieli,
I wkrótce dziwniej, niż wprzódy, huknęli.

19.

Jakaż nagłego postrachu przyczyna?
Była to właśnie okropna godzina,
Kiedy wpadł Szwaczka na zamek dobyty,
A pożar zaczął trawić jego szczyty.
Z jaką radością przyjmie konający

Cudem odkrytą zbawienia nadzieję,
Z taką Nebaby wojsko wieść przyjęło,
Że ich pożarem zamek już goreje.
»Ot, i przypadek sprzyja nam niechcący!
»Teraz się szczerze weźmijcie za dzieło.
»Niebo, mołodcy, niebo nam pomaga!
»Jeszcze godzina i stała odwaga,
»A na złość liczbie wyjdziemy zwycięzko!
»Patrzcie, jak jedną strwożeni już klęską!
»Hej, dwóch najżwawszych na lepszych rumakach!
»Skoro staniemy na tym góry grzbiecie,
»Pokłon do zamku od nas poniesiecie,
»Niechaj tam pomną o braciach kozakach.
»A teraz, kiedy Lach się trzyma słabo,
»Dalej, mołodcy, dalej za Nebabą!«
I poszli wszyscy na miecze, na spiże,
I znikli, w walki zakręceni wirze.

20.

Jak gdyby oko zagniewane Boże
Całkiem w płynący ogień się stopiło,
Z taką wściekłością, z tak rosnącą siłą
Wrzało nad zamkiem płomieniste morze.
Pożar, w podziemne zakradszy się lochy,
Buchał, jak z paszczy, kłębami brudnemi;
W skrytych podkopach zapalone prochy,
Jak grom więziony, darły wnętrza ziemi.
Leżały wieże, czarne zionąc dymy,
Jak obalone piekielne olbrzymy;
Jak przeklętego Lucyfera skronie,
Pałały dachy w ognistej koronie.
A echo piekieł, umarłych jęczenia,
A głazy, siłą ciskane płomienia —
Tańcem i pieśnią tej uczty zniszczenia.
Wiadomość zrazu głucho się roznosi,
Coraz głośniejszym rozlega się gwarem:

Nebaba walczy nad pobliskim jarem
I przez posłańców o posiłek prosi.
»Kto wasz wódz?« — »Szwaczka.« —
»Gdzie jest?« — »Na zabawce,
»Przywodzi godne swej woli oprawce.«
Tam, tam, gdzie słychać pośród murów rumu
Razem przekleństwa i śmiechu hałasy,
Szwaczka, na czele rozjadłego tłumu,
Z uporem w rdzawe szturmuje zawiasy.
Jedna tam słaba kobieta się tai.
Już najmocniejsi, jacy są w tej zgrai,
Popróbowali swoich barków siły
I z wściekłym wstydem wracali od pracy.
Aż Szwaczka krzyknął: »Oto mi kozacy!
»A wasby, gnuśnych, baby wydusiły!
»Jeszczeżno plecy naprężą się stare,
»Bo chcę serdecznie ścisnąć tę maszkarę.
»Ale, panowie mołodcy, za karę
»Nikt jej przede mną dotknąć się nie waży!«
Wtem kark barczysty z pod burki odsłoni,
Podsadzi ramię, razem drzwi podważy;
Drzewo zazgrzyta, żelazo zadzwoni —
Przejście swobodne; już wpadną! już po niej!
»Giniecie, bracia! ratuj się, kto umie!« —
Okrzyk przestrachu rozlega się w tłumie
I wnętrze zamku zawyło przestrachem.
Prysnęły głownie, płomienie buchnęły,
Wstrzęsło ścianami, zaskrzypiało dachem —
I dach przetlały runął między ściany.
Jeszcze okrzyki skonania wrzasnęły,
Prysnęły głownie, dymy wybuchnęły,
Wirem się wzniosły ogniste bałwany;
Chwila — i wszystko milczy pod pożogą:
Przetlona głownia cicho dogorywa,
Cicho dym wstaje, płomień się dobywa —
Jakby tam nigdy nie było nikogo!

21.

A w gardle jaru jak wrzały, tak wrzały
Dźwięczące cięcia, ryczące wystrzały,
I zgiełku męży wyjąca muzyka.
Niejeden jeździec zwinął się bez głowy,
Niejeden leżał pod ciężarem konia,
Niejedna z ostrzem rozstała się pika,
Niejeden w bryzgi poszedł miecz stalowy,
Nim, przepełniwszy bagniste parowy,
Powódź się wojny rozlała na błonia.
I któż jest w sile z żyjących na ziemi
Ogarnąć pięcią zmysłami słabemi
Ten taniec mordu, jaki wyprawiły
Wszystkie uczucia, wszystkie człeka siły,
W jedno uczucie, w rozpacz przerodzone?
Dzięki połyskom, co z pożaru biją,
Że czasem nocy uchylą zasłonę!
Większe ciemnościom, że je znów zakryją!
Noc to okropna, noc to piekieł była.
Starzy z powieści prawią o niej siła.
Gdyby nam dzisiaj taka się przyśniła,
Miękkie sny nasze na długoby struła. —
Jedna jej tylko istota nie czuła.

22.

Gdzie wzgórek strzela nad szczyty czaharu,
Do omglonego podobna widziadła,
Nad sceną wojny spokojnie usiadła.
Albo to dziecię śmierci i pożaru,
Albo zbieg będzie ze krwi i płomienia.
Jaśnie w tem świadczą skrwawione łachmany,
Skroń rozraniona i włos rozczochrany.
A że ustawnie podnoszą westchnienia
Tę dłoń, co mocno przyciska do łona,
Musi być biegiem gwałtownym zmęczona.
Pewnie strwożonej grozi losów cisza,

Lub swej niedoli śledzi towarzysza,
Bo tak ciekawie poziera dokoła.
»Ho-hop, Nebabo!« — opętanej słowa,
A w głębi lasu odhuknęła sowa,
I wilk jej wyciem napowrót odwoła.
Że zrozumiana, jakby z tego rada,
Dziwacznie suknię i włosy układa
I, wzrok utkwiwszy w bitwę, co na przedzie,
Dziwny śpiew tonem dziwniejszym zawiedzie,
Nie ludzkim uszom — śpiew piekłu znajomy.
Rosnące w jarze zgłuszyły go gromy;
Za echo wojny ozwało się wycie.
Czekaj na gwiazdy kochanej przybycie!
To nie armaty ogniem śmierci błysły —
To twój kochanek rozsiał swe promienie;
A to nie kule śmiercią obok świsły —
To było znane miłego gwizdnienie.
Oto i on sam, cały z ognia, płynie
W tej chmurze dymu, co mroczy pustynie.

23.

Ostatnim rykiem, ostatnim płomieniem
Buchnął jar wreszcie z rozdartej paszczęki;
Otchłań bezdenna nieskończonej męki,
Dusz potępionych syta złorzeczeniem,
Nie straszniej ryknie przed świata zniszczeniem.
Łuna pożaru, strzelby błyskawica,
Co ten ofiarny djabłom stos podnieca,
Blaskiem południa jaśnieje tu prawie;
Ale w tym zmęcie, w tej dymu kurzawie
Nie można wiedzieć, kto z Lachów, kto z Rusi;
Tylko jednego poznać każdy musi.
Gdzie kilku razem w śmierci bolach jęczy —
Tam atamana żelazo połyska;
Gdzie prze koń jeden, a szereg, jak fala,
Cofa się w kręgu płynących obręczy —

Tam atamana wrony koń się ciska,
Błyskami wojny cięcia swe zapala,
Gromami wojny wszystkie zbiega strony!
Zda się, że z każdą kroplą krwi toczonej,
Co mu dłoń poi pałasz ubroczony,
Serce rozjusza i szablę nastala.
Ale dłoń jedna i jedna odwaga
Nic nie stanowi, albo mało znaczy
Tam, gdzie za mnóstwem przechyla się waga;
Cała tam korzyść — śmierć z chlubnej rozpaczy.
Z dosyć szczupłego Nebaby oddziału
Jeden za drugim ubywa pomału...
Choć przy niewoli, co u Lachów czeka,
Sama śmierć, widna, jest jeszcze powabną.
Z boleścią jednak postrzegł on zdaleka,
Jak szyki jego w nacieraniu słabną.
I wzrok mu zaćmił jakiś zamiar dziki,
I wnet radości błysnął promieniami:
»Krzepcie się, bracia!« — woła, leci w szyki —
»Bóg pomoc niesie, zwycięstwo za nami!
»Patrzcie, to nasi! jak, podobni chmurze,
»Patrzcie przed pożar, suną się po górze.«
Buchnęła walka, zagaśnienia blizka,
I serca znowu mordem zakipiały.

24.

Zadrżał ataman. Cóż to za zuchwały
Natrętną szablą przed oczy mu błyska?
Dwa razy natarł, dwa razy odskoczył,
Dwa razy koniem wokoło zatoczył,
Upatrzył porę, spuścił szablę razem,
I z atamana spotkał się żelazem.
Ostrze na ostrzu zaiskrzy, zadzwoni;
Żołnierz wkrąg strzeli okiem zadziwionem,
Aż szabla gwiazdy błysnęła ogonem
I gdzieś daleko świsnęła mu z dłoni.

Najlepsza tutaj porada przestrachu!
W pole przed siebie puścił się z kopyta.
— »Zmykaj, nie zmykaj, mój ty śmiały Lachu!
»I kary także o drogę nie pyta.
»Jeszcze się żaden przed nim nie wysunął!«
I wiatry w tyle zostawia koń wrony,
A błyskawice pałasz wyniesiony.
Gdyby w biednego żołnierza tak runął...
I on nie taki trwożny, jak się zdało.
Na jednem miejscu zwinął koniem śmiało.
Może on nie chce śmierci przyjąć w plecy?
Bo skądże tutaj nadzieja pomocy?
Od reszty swoich oba tak dalecy.
Jakiś tu zamiar pokrywa cień nocy.
Lotem spojrzenia ataman dobiega,
Gwizdnieniem szabli wpół rozdmuchnie Lacha.
Trzasnął grom skryty — zajęczała płacha
I po powietrzu tysiącem drzazg miga.
Lach dalej świsnął, a koń atamana
Aż ziemię zapruł kutemi kopyty;
Tak lejc go zerwał — i stanął, jak wryty.
A twarz Nebaby jakby jedna rana —
Tak ją strzał opluł, i szabla strzaskana.
A krew kroplista, płynąca zasłoną,
Zbroczyła czoło, opada na łono,
Leje się w usta, przepływa przez oczy,
Gasi spojrzenia, oddechy tamuje.
Darmo trze oczy, darmo usty pluje —
Rumiane źródło falami się toczy;
Darmo dłoń kala, darmo suknie broczy —
To krew niewinnych, nic jej nie zhamuje!
Co przetrze oczy, co ustami splunie,
Krwawa zasłona znowu się zasunie.
Potępionego prawdziwa męczarnia!
A tu Polaków okrzyk się rozlewa:
»Nasza wygrana! posiłek przybywa!«

Teraz już całkiem wściekłość go ogarnia;
Opuścił ręce, schylił na dół skronie —
Jakby śmierć sama mrozem swych piszczeli
Przygłaskiwała do wiecznej pościeli.

25.

»To on, on to sam!« — w dobrze znanym tonie
Cichy się głosek odezwał na stronie,
A wyraźniejszy, gdy się zbliży trocha:
»Przyszedł popieścić... On mię zawsze kocha.«
»Czy i ty!..« — krzyknął, nie mógł skończyć mowy;
Krew mu ustawnie zalewała usta,
Przerywanemi tylko jąkał słowy,
Gdzie się zdradzało zimnej krwi udanie
I niewstrzymanej złości obłąkanie:
— »Djable!... kocham cię!... Ta krew... Kseniu!... [chusta...
»Zsadź mię... przeklęta!... Daj rękę... o, droga!...
»Gdzie serce!... dyable!... gdzie serce, kochanie!«
I na bełkocie skończył mowę całą.
Jak ostrze noża przykro zaskrzypiało! —
I jęk śmiertelny wydała przebita.
Liczne wokoło zagrzmiały kopyta;
Otoczyli go polskie wojowniki.
Poddaj się, poddaj! nie pora do piki;
Już marsz zwycięzki muzyka uderza,
Omdlały kozak z uczuć zaburzenia,
Z przewlekłej walki, ze krwi upłynienia
Upadł na ręce pierwszego żołnierza.

26.

Nastała cisza po hałasie wojny;
Spokojne pola, zamek już spokojny,
A niedotlałym ogniem oświecony,
Prosi przechodniów z każdej świata strony.
Uprzejmie kruki, gęstemi gromady

Krążąc wokoło, wabią do biesiady;
Pobojowiska radzi godownicy,
Wilcy, tłumami ciągną z okolicy.
Zniszczenie nawet, co już w zupełności
Swe panowanie nad zamkiem rozszerza,
Tyle przestrzega bezpieczeństwa gości,
Z takiem te gody sprawia uciszeniem,
Że można słyszeć przelot nietoperza;
Chyba, że zechce przyświecić płomieniem,
To buchnie w żary przetlałym kamieniem.

27.

Przecie Nebaba żywo wyszedł z boju
I łakomego brzydkiej śmierci gardła;
A choć mu rana do dna pierś rozdarła,
I w niej krew czarna kipi jak we zdroju,
I choć posoką umalował skronie,
I wzrok w strumieniu dymiącym się tonie —
Widać po jego spokojnej postawie,
Że odpoczywa po wojennej wrzawie.
Albo też, jeszcze i dotąd męczony
Zuchwalstwem rządcy i Orliki zdradą,
Zboczył, wędrując pomimo tej strony,
By się nacieszyć obmierzłych zagładą.
W tymże kołpaku, w odzieży tej samej,
Zczerniałej trochę pod krwawemi plamy,
Siedział na złomkach wpółzgorzałej bramy
I swoją pikę trzymał na sztych w ręce,
Jakby miał blizkie odeprzeć natarcie.
A wokrąg niego doborni młodzieńce:
Jedni, jak gdyby stanęli na warcie,
Podnieśli piki nad zgorzałą wieżą;
Tylko cierpliwi, że się ani ruszą,
Choć płomień zewsząd dogryza im srogo!
A drudzy w kole gardłem flasze mierzą;
Tylko, że nigdy dopić ich nie mogą!

Inni znów, bardziej snem zmorzeni, leżą;
Tylko, że wiecznie tym snem leżeć muszą!
Musi on całą nasycać się duszą,
Że tak, bezwładny, wpatrzył się przed siebie;
Pewnie on w cieniach pamiątek się grzebie.
Tu każde miejsce tyle przypomina!
Gdzie w stosach żaru kurzy się perzyna,
Ten plac, bywało, uwieńczały spisy,
Kiedy swą młodzież zebrał na popisy.
Miejsce, gdzie trup ten, mordem oszpecony,
Ostatkiem czucia, życia drga ostatkiem,
Gdy mu natrętne zazierają wrony —
Miejsce to uciech nieraz było świadkiem;
Tu szkło dzwoniło, tu grzmiały okrzyki;
Za czyjeż zdrowie? Nebaby! Orliki!
Mściwego samo udręcza wspomnienie.
Aż z pod wnętrzności wydobył jęknienie:
Zemsty, czy śmierci? W tem odgadnąć trudno.
Gdzie zwrócił ucho, by dosłyszeć wtóru,
Co może przypaść do jego czuć chóru —
Tu raz ostatni pieścił się z obłudną;
A dziś, o trupią skłóciwszy się głowę,
Dwa wilki wycia zawiodły grobowe.
Czegóż te ptaki, uderzając w skrzydło
I gniewnie kracząc, grzebią wśród popiołu?
Strawa zapewne warta ich mozołu,
Bo wygrzebali: człowiek, czy straszydło?
Zczerniałe w ogniu, wpół spieczone ciało,
Ale Nebabie rozpoznać się dało!
Nagle ku ziemi czoło mu opadło
I jeszcze naglej wzniosło się do góry.
— »Ho-hop, Nebabo!« — zawył głos ponury
I zpośród ognia wypełza widziadło.
A choć nie wrzeszczy szalonym chichotem,
Chociaż ją taniec nie zakręca chyży,
Bo jej wnętrzności ciężą wpół-wysnute —

I teraz jednak, gdzie się tylko zbliży,
Pląsają iskry wichru kołowrotem,
Wilki przy trupach wyją na jej nutę,
I samo trupów oblicze się zmienia.
»Wody! ach, wody!« Popatrzyła Ksenia;
Głos jej znajomy — i kochanka oko
Na jej się wdzięki rozwarło szeroko,
Jakby w głąb Kseni pragnęło utonąć,
Albo ją w piekło i siebie pochłonąć.
Ksenia się zbliża z mniejszą coraz trwogą,
Oko Nebaby patrzy już mniej srogo;
Już łono z łonem, już z licami lica,
Już się i warga z wargą napotyka...
Pocałowała Nebabę djablica...
Teraz do reszty rozporze ją pika!
Nie — cicho siedzi; tylko mu dreszcz mały
Wyprężył członki, a źrenice zawsze,
Zawsze patrzały, patrzeć nie przestały,
Dla Kseni nawet coraz już łaskawsze.

28.

Na rozburzonem Kaniowa zamczysku,
Długo podróżnym broniący przystępu,
Długo ponęta drapieżnemu sępu,
Szkielet Nebaby lśnił w grobowym błysku,
Jak straż zaklęta w pomieszkaniu mary,
Jak mowny pomnik barbarzyńskiej kary.
Ogień, co wszystko dokoła potrawił,
Z mołodców jego śladu nie zostawił;
Poznana tylko z rany i z odzienia,
Szalona Ksenia leżała na trawie
Jeszcze w modlącej przed lubym postawie;
A w strasznej nocy zamku podpalenia
I topielicy skończyły się pienia.

29.

Gdy duch mój zwiedzał dnieprowe pobrzeże

I na Kaniowa odpoczął ruderze,
Jeszcze tam wkoło wyszukał on ślady
Dnia okropnego ostatniej zagłady.
Jeszcze po ścianach krew się czerwieniła,
Gdzie żona, gnana morderców pogonią,
Mytą w krwi męża chwytała się dłonią;
Żadna wywabić nie mogła jej siła,
Na miejscu startej inna wystąpiła;
Ale nieszczęsne zabójczyni ciało,
W popiół przetlałe, z wiatrem się rozwiało.
W porosłej miękką murawą uboczy
Trafił na kołtun kseninych warkoczy,
Ale w nim drobny gnieździł się już ptaszek.
Obok leżała z Nebaby ratyszcza
Stal, od płomienia w ciemny żużel zlana.
A błądząc długo śród skostniałych czaszek,
Odgrzebał torban między gruzem zgliszcza
I jedną strunę z całego torbana.
Ani lat, ani pogody koleje
Nie mogły przyćmić złotego jej blasku,
A wiatr-kochanek z poblizkiego lasku
Co noc z nią dawne odśpiewywał dzieje.
I jam polubił chrypliwe jej tony,
I, z jej dźwiękami zczasem oswojony,
Gdym nieraz badał pilnie i ciekawie
O całej zamku kaniowskiego sprawie,
Wkońcu rozwikłać mogłem tajemnicę,
Co dało powód do zbrodni Orlice.
Gdy w ciemnej nocy, przez widmy czy czarty,
Czy, jak wieść była, za rządcy namową,
Zdjęto wisielca (odpowiadał głową,
Z pod czyjej trupa uwieziono warty) —
Brat tej dziewczyny był wtedy na straży;
A serce rządcy do Orliki biło.
Życie jej brata w ręku rządcy było.
Lach, nie puszczając pory, co się darzy,

Hardej dziewczynie daje do wyboru:
Tytuł swej żony, lub srogą śmierć brata.
Żadnej przewłoki, żadnego oporu!
Biedne małżeństwo, gdzie djabeł za swata!
I tak dla brata miłość poświęciła,
Rządcy małżeńską zaprzysięgła wiarę;
A dla miłości inną ma ofiarę —
Zabiła męża i siebie zgubiła!

30.

Mijają lata, z latami zdarzenia.
W ostatnim dymie zgasłego płomienia
Wróciły w piekło szatany zniszczenia.
Swietnie przejrzały nieba Ukrainy,
Zabrzmiała śmiało cicha pieśń dziewczyny,
Czas lasem okrył ostatki ruiny.
Gdzie bojowiska czaszkami bielały —
Ulewna burza brózdy tam zorywa,
W skwarny dzień lata złocą się tam żniwa,
Kwiat się tam z wiosną wykluwa nieśmiały.
Złomki szubienic świecą próchnem z ziemi;
Nad zwycięzcami, nad zwyciężonemi,
Trawą usłana, mogiła zapada;
Tam błędny żebrak do snu pacierz gada;
Piekła za wojną zatrzaśnięto bramę.
Znów tenże pokój i zbrodnie te same! —

PRZYPISY.

W powstaniu na Ukrainie w r. 1768, zamek Kaniowski, równie jak kilka innych w tej okolicy, był zburzonym i spalonym przez hajdamaków. Jest podanie, iż żona rządcy, czyli, jak wtenczas nazywano, gubernatora zamkowego, pojmana przez kozaków i już ranna, potrafiła się jeszcze im wymknąć, a uciekając przed ich pogonią po pokojach i wałach zamkowych, coraz słabsza, opierała się o ściany, póki jej nie dognano i nie zamordowano do reszty. Gdzie tylko dotknęła się ścian ręką skrwawioną, zostały ślady; i mówią, że krwawe te znaki nigdy się nie dały zetrzeć i trwały dopóty, dopóki tylko były jakie szczątki murów zamkowych. Te zresztą gruzy dopiero przed kilku laty znikły zupełnie. — Kaniów jest małe i liche miasteczko; mieszczanie jednak jego i magistrat mają jeszcze niektóre swobody i przywileje, nadane im od królów polskich. Leży w prześlicznem położeniu nad Dnieprem, rozrzucone pośród urwistych brzegów jego.

Str. 3. w. 15. Złośliwy obłęd.

Podług mniemania ukraińskiego ludu, nawet zbłądzenie w podróży nie jest dziełem przypadku. Czart, którego tam wszędzie pełno, ściga wędrowców i rozmaitemi sposobami stara się ich w bezdroża uprowadzać; a wicher nocny uważanym jest za pierwsze jego narzędzie do obłąkania i najświadomszych nawet położenia miejsca.

Str. 4. w. 20. Majaczeje.

Wyraz miejscowy. Słowo m a j a c z y ć nie ma odpowiedniego w czystej polszczyźnie; migać w dalekości, ćmić się, ukazywać — tłómaczy jakożkolwiek jego znaczenie. Właściwie, polskie m a j a c z y ć co innego wyraża.

Str. 4. w. 23. Janczarka.

Rodzaj strzelby tureckiej.

Str. 5 w. 5. Luba puszczyka siedzi naperzona.

Rozmowa puszczyków, jak i cała myśl prologu, jest osnuta na wyobrażeniu gminu, iż dyabli wybierają noce ciemne i burzliwe do wyprawiania swych pustot i że puszczyki dlatego się śmieją, iż widzą wszystkie harce i dokazywania tych istot, które nasza mitologja gminna wpół strasznemi, wpół komicznemi wystawia. Prócz poetyczności pomysłu, autor miał i tę pobudkę wprowadzić rozmowę puszczyków w swój czarodziejski prolog, że takowe pożyczania mowy ptakom często się natrafia w pieśniach i dumach ukraińskich, a właśnie jego zamiarem było korzystać ze wszystkich skarbów gminnej poezji naszej.

Str. 8. w. 1. Otumanili kozaka.

Otumanić: obłąkać, zaćmić zmysły.

Str. 11. w. 21. Łuno.

Zwykle i w słowniku Lindego: łuna lub łona. Autor tak zawsze używa tego wyrazu.

Str. 12. w. 16. Tam nieszczęśliwy, znikły we złym wichrze,
Czerwony upiór, i t. d.

Są to wszystko wyobrażenia ukraińskiego ludu. Według mniemań jego, wiatr, kręcący się po polu, który wreszcie po tutejszych nieobejrzanych płaszczyznach nierzadko widzieć, jest coś niezmiernie złego. Opowiadają przykłady ludzi, których wicher ten spotkał na swojej drodze i którzy odtąd nie wiedzieć gdzie zniknęli. Inną razą nóż poświęcony, rzucony w słup kręcącego się wichru, upadł na ziemię w tem miejscu, krwią obryzgany. Do tego wyobrażenia stosuje się wiersz w »Marji« Malczewskiego:

Ale że czart na stepie tumany wyprawiał.

Spadająca gwiazda jest, podług ich mniemania, latawiec (rodzaj powietrznego złego ducha). O jego miłostkach z kobietami często posłyszeć można. Myślą także, iż zmarłe bez chrztu dzieci błąkają się w powietrzu, jęcząc i narzekając, póki kto nie ośmieli się ich przywołać i chrztu udzielić.

Str. 12. w. 18. Z odźwierka.

Toż samo co Odrzwi.

Str. 12. w. 20. Cyrka.

Cyrkać, wyraz miejscowy, znaczy: skrapiać, tryskać.

Str. 12. w. 24. Cyt! ho-hop, ho-hop! — odgłos smutny, znany.

Wprowadzona tu osoba topielicy Kseni jest także myśl, pojęta w duchu miejscowych wierzeń i uprzedzeń. Nic się w Ukrainie ważnego nie stanie, czegoby nie przepowiedziało nadzwyczajne zjawisko — coś dziwnego, coś tajemniczego. Bunt ukraiński, który tu nazywają k o l i s z c z y z n ą, i szczególniej rzeź humańska; o której nawiasem wspomnimy (są współczesne i przez świadków pisane poemata i opisy, zapewne nędzne pod względem sztuki, lecz ważne jako najwierniejszy obraz tej krwawej dramy n. p. Cały niemal obraz tych wypadków zamyka się w poemacie pod tytułem: »Rzeź Humańska«. Napisał go niejaki Darowski, który był wówczas uczniem i całą rzeź przesiedział w kopule farnego kościoła. Szacowny ten dla swojej autentyczności zabytek w rzadkich bardzo rękopisach krąży po Ukrainie. Czytałem go w takim wieku, że go jeszcze ocenić słusznie nie umiałem) miała także być zwiastowaną przez nadprzyrodzone widzenia: między innemi, przez dziwną, obłąkaną kobietę, czy opętaną, która z hukami i niezrozumiałą mową przebiegała sioła Ukrainy. Nie mam ja tu myśli tłumaczyć albo usprawiedliwiać pojęcia autora; zwracam tylko uwagę na miejscowy koloryt obrazu.

Str. 14. w. 18. Bajdak.

Gatunek łodzi, używanej na Dnieprze.

Str. 14. w. 23. Seledec.

Kozacy ukraińscy noszą krótko strzyżoną głowę, z długim na boku kosmykiem włosów, który zwykli uplatać we wstążki, miłosne upominki swych dziewic.

Str. 17. w. 16. Czy się spodziewać starosty przybycia?

Mikołaja Potockiego, dziedzica tych włości.

Str. 23. w. 2. Czerepianym dzbankiem.

C z e r e p i a n y, toż samo co gliniany.

Str. 25. w. 11. W czaharze.

C z a h a r: las drzew rozmaitego gatunku.

Str. 25. w. 12. Szwaczka.

Jest to prawdziwe nazwisko kaniowskiego mieszczanina, który tamże robił powstanie w r. 1768.

Str. 25. w. 23. Leć do starosty. On śród Bohusławia
Poi gromady, rozstrzeliwa baby.

Mikołaj Potocki, banit, starosta kaniowski i bohusławski.

Jest to jedna z osób, żyjących w podaniach gminu. Jego życie, bezprawia, później pokutę opowiadają w tysiącznych szczegółach. Są pieśni o nim, o jego miłostkach i okrucieństwach. Jeszcze teraz można znaleźć starców, którzy go znali osobiście, a powieść ich, lubo nie w tak dalekie przenosi czasy, ale w jakże dalekie od nas obyczaje i zdarzenia!

Starosta kaniowski leży w Poczajowie i jego ciało pokazują ze szczególną atencją, miejscowi księża Bazylianie. On to wskutek pokuty za nabrojone w Ukrainie sprawki pyszny ten klasztor wydźwignął i nadał.

Str. 26. w. 24. — — w dalekim futorze.

Futor: zagroda na łące, lub pośród lasu, w pewnem oddaleniu od wioski.

Str. 29. w. 13. Już ja się pewno toi nie napiję.

Toja: u botaników — tojad mordownik. Własności jego narkotyczne uważa lud pospolity za lekarstwo na smutki.

Str. 34. w. 14. Bajrak.

Znaczy to lasek zarosły śród wąwozów.

Str. 34. w. 34. — — krętym jarem wloką.

Jar: wąwóz.

Str. 40. w. 21. Pan wojewoda z Gontą kończy dzieło;
Wkoło szubienic stawia tysiącami.

Wojewoda Stempkowski poskromił bunt ukraiński. Trzeba wyznać, że kary nie ustępowały w srogości zbrodniom przestępców; one rozjątrzyły jeszcze bardziej, niż przestraszyły, lud ukraiński.

Str. 43. w. 33. A głos watażki.

Watażka: herszt.

Str. 49. w. 11. Niż wieża Ławry.

Ławra pieczerska, czyli klasztor przy pieczarach albo grobach wielu świętych i błogosławionych w Kijowie.

Str. 52. w. 6. — — rzuć ratyszcze.

Ratyszcze: spisa, włócznia.

Str. 57. w. 25. O, nieraz może na tym jego szczycie
Rozwiewały się przestrogi znamiona, i t. d.

Jest to szczegół, dochowany tradycyą. Podczas ciągłych nabiegów tatarskich, kiedy lud okolicy wiedział, że horda w pobliżu

koczuje, dla bezpieczeństwa zostawiał jednego ze swoich na jakiej wyniosłej i panującej mogile lub na wierzchu wysokiego dębu, aby upatrywał Tatarów i dawał znać o zajrzanych wywieszeniem białej chorągwi lub chustki. Lud, pracujący po polach, skoro zajrzał bielejące znamię popłochu, uciekał w znajome sobie kryjówki. Ukraiński telegraf!

To mi napomina drugi szczegół. Słyszałem od mieszkańców pamiętnego w naszych dziejach miasta Czehryna tak tłumaczony początek zwyczaju, powszechnego w Ukrainie, a zwłaszcza w tej okolicy, zbierania się ludu, szczególniej chłopców i dziewcząt, na środek sioła, który oni nazywają ulycia, ulica, dla śpiewania różnych pieśni, co się nieraz daleko w noc przeciąga. W czasie koczowania hordy w tych stronach, lud wiedząc, jakie klęski ponosi, kiedy na śpiących natrafią Tatarzy, żeby zawsze miał przytomność i gotowość chronić się w razie niebezpieczeństwa, na noc zbierał się razem i dla odpędzenia snu śpiewał narodowe dumy i pieśni. Zwyczaj został, chociaż niebezpieczeństwo, co mu dało początek, minęło. Dalsze wiersze oddają sprawiedliwą zapłatę zasługom cienistych dębów Ukrainy, które w ciągłych zaburzeniach i wojnach zapewne niejednemu chroniącemu się śmierci były pewniejszą opieką niż ściany własnego jego domu.

Str. 58. w. 14. Albo ten wieczór, ten ogień Kupały!

Zwyczaj palenia ogniów w wilję św. Jana (polskie Sobótki) zasięga dalekiej starożytności; on się i w Ukrainie przechował. Nazywają go tu Kupało. Pospolicie, kiedy dziewczęta wiejskie zaczną swój obrzęd, do którego i kąpanie się należy, młodzież płci drugiej wybiera te chwile, żeby na nie niespodziewanie napaść; wtedy cicha nocna scena zmienia się w najtłumniejszą: krzyki, śpiewy rozlegają się w powietrzu. W 1826 roku autor widział podobną scenę na rzece Taśminie; tu ona się odbywa przy jednej z najpiękniejszych wód w Ukrainie. Jezioro i wieś Białozor leży blizko Śmiły, w rozległych sosnowych lasach; znacznego ogromu szyba, jasna, błękitna, zwierciadlana, błyszczy śród rozstępu siniejących lasów; wieś prawdziwie ukraińska, ogromna, dobrze zabudowana, ludna, mająca zapewne do 2000 samych dusz męskich, rozciąga się prawie wkoło jeziora. Obraz świateł rybackich na jeziorze, wspomniany w tekście, powtarza się tu każdego wieczora i tworzy prześliczną wodną iluminację.

Str. 58. w. 25. Już w oczeretach — —

Oczeret: trzcina.

Str. 59. w. 27. Cóż to za dziwna strona się odsłania? i t. d.

Widok ten jest prawdziwie rysowany z natury. Zaraz za mia-

steczkiem Moszny ciągną się, na szerokości może trzech wiorst, bagna i trzęsawiska, nazywane Irdyń. Najpewniej jest to stare łoże Dniepru. Prawy brzeg tych bagien otoczony jest wysokiem pasmem gór, wznoszących się piętrami, rozciągnionych szeroko i okrytych gęstym lasem. W tem miejscu, to jest na pośredniem pasmie, hrabia Woronców, właściciel miejsca, założył pałac i zwierzyniec, na ośm wiorst rozciągniony po górach. Pałac otoczony jest zabudowaniami wiejskiego gospodarstwa; wszystkie proste, lecz najgustowniej urządzone, a każdy dziedziniec ze swemi zabudowaniami składa najpiękniejszą fermę angielską. Dziedzińce ubrane w drzewa i krzewy, mury domów — w porozpinane gałęzie akacji białej i płaczącej; schody, ganki, balustrady itd. — w kwiaty i różnokolorowe pachnące powoje. Lecz samo położenie piękniejszem jest nad wszystko. Z jednego punktu trochę wyżej za pałacem jest szczególny widok, prawdziwie nieogarniony. Jest to cypl jednej góry — nie najwyższej jeszcze — pod nogami masz widok pałacu i kwiecistych dziedzińców, schody gór okrytych lasem; dalej pierwszym planem obrazu są bagna Irdynia, zarosłe oczeretem i gdzieniegdzie olchą; za niemi widok miasteczka Moszen; dalej jeszcze rozciąga się Dniepr, jakby siną wstążką — a tam, z drugiej strony, nizkie, piasczyste brzegi, wsie, miasteczka i monastyry już Połtawskiej gubernji. Oko ma zewsząd otwarty widok na promień siedmiu lub ośmiu mil wokoło.

Str. 60. w. 30. — — ich kurzenia.

Kurzeniami nazywają poziome chaty kozackie i strażnicze szałasy, z których dym, nie mając oddzielnego dla siebie otworu, wychodzi całą powierzchnią słomą krytego dachu.

Str. 62. w. 28. Wielkie przy Mosznach było krwi rozlanie.

W istocie wojska polskie pierwszy raz doścignęły powstańców w pobliżu Moszen, na Irdyniu. Zdarzyło się autorowi, iż, będąc w tej okolicy, słyszał właśnie na miejscu opowiadanie o tem spotkaniu przez czerńca, dozorcę młyna, należącego do poblizkiego monastyru, naocznego świadka. Tu Irdyń nie jest tak grzązki, w suchą porę daje się przejeżdżać; w większej części zarosły olchami niepospolitej wielkości, gdzieniegdzie tylko biją zdrojowiska i stoją wody. Wszędzie po lasach sosnowych, od Śmiły aż do Moszen, były kurzenia hajdamackie, i tradycja pokazuje te miejsca.

Tu właśnie jest miejsce powiedzieć, jak potrzeba żałować, że nie mamy ani dobrej mapy starożytnej, ani szczegółowej gieografji, ani zbiorów żadnych historycznego interesu, choćby historycznej ciekawości. Uczony metropolita kijowski, Eugeni, za pomocą należącego do siebie duchowieństwa i odezwy do obywateli krajowych, zaczął zbierać te drogie zabytki przeszłości, lecz nie

wiemy, jaki skutek wezmą jego starania, zależące od osób, po większej części lub obojętnych, lub nie znających ceny tych walających się w pyle ich nóg pamiątek. Dziś jeszcze za każdym krokiem napotykają się nierozorane do szczętu mogiły pod trawą i lasem, ostatki zamczysk polowych i słyszeć można ciekawe o miejscowych wypadkach podania. Ale my to puszczamy mimo oka i ucha; tymczasem wiek mija, pług równa dzieło czasów minionych, pokolenie po pokoleniu wymiera, a my tracimy skarby, których nawet nie znamy wartości.

Str. 73. w. 17. — — zajęczała płacha.

Płacha: klinga, lama.

PRZYPISEK WYDAWCY: Zamek Kaniowski, napisany w latach 1826—27 (w Leszczynówce i Aleksandrówce), drukowany był poraz pierwszy osobno w Warszawie u N. Glücksberga 1828 r. w 8-ce, str. 160, z pewnemi opuszczeniami.

SOBOTKA.

Z powieści p. n. »Kościelisko«.

Pół słońca pała na nieba sklepieniu,
A pół zagasło w polskich puszcz błękicie.
Czerwcowy wieczór na smereków cieniu
Po wzniosłej Wyżni osuwa się szczycie.
Z niebios podhalskich uchodzi ulewa,
Jak nieprzyjazne wojsko z pól pogromu;
Sztandarem tęczy od Pienin powiewa
I coraz bledziej wypuści strzał gromu.
Podhalska ziemia, zdyszana po burzy,
Kiedy niekiedy grzmotem z głębi runie,
Kiedy niekiedy z lasów mgłą zakurzy
I, jak westchnienie, po górach ją sunie.
Na wszystkie strony uciekają chmurki
Łódkami wiatru, przez lasy i wzgórki;
Milczkiem wypełzną, przemykają rączo
I z wodzem-burzą na wschodzie się łączą.
Wolnieje potok, co przed chwilą szalał,
Las rzęsno płacze kroplami dżdżowemi,
A cały przestwór, od nieba do ziemi,
Jasny, jak żebyś kryształem go nalał.

Luby góralom ten wieczór czerwcowy!
Na piersiach Wyżni spłonie stos Sobótki.
Brzmią długie trąby, przygrywają dudki,
Krociami dzwonków igrają parowy,
Pod biciem siekier jęczą ciemne lasy,
Pod trupem jodeł wzgórza się wzdrygają,
Nucą juhaski, hukają juhasy —
Wszystko wre gwarem i górałów zgrają.
Drogi góralom ten wieczór czerwcowy!
Na piersiach Wyżni, nad przejrzystą wodą
Wzniosą stos wielki, dwunastojodłowy
I roczną ucztę do ranka zawiodą.
Święty góralom ten wieczór czerwcowy!
I Wyżnia święta góralską ponętą:
Góra nad góry na Sobótki święto.
Wyżnia postawą Kluczek nie dosięga,
Wyżnia w obłokach głową nie ustrzęga;
Ale na Wyżni półodkrytem łonie
Wabiąca woda lustrem nieba płonie,
A z jasnych skroni las płynie stu wzory;
Tu brzozy puszcza, jak włosy dziewicze,
I, jak włos, Wyżni ocienia oblicze —
Tam na pierś lekkie zarzuca ubiory,
Lub z nizkich krzewin, lub drzew jasnolistych,
A z piersi spada puszczą gęstą, czarną,
Jak pełne fałdy strojów uroczystych.
Do Wyżni zewsząd potoki się garną
I wiecznym szumem grają u podnóża;
Do Wyżni zewsząd zbiegają się wzgórza
I wiszą wkoło zasłony łańcuchem,
By wiatr zimowym nie wiał na nią dmuchem,
By wschód zawczesny nie drażnił jej oczu.
Wyżnia, jak pani, patrzy ze stolicy
Na gród olbrzymi olbrzymki-Łomnicy,
Co błękitnieje w południa przezroczu.
Pomiędzy Wyżnią a nawałnic miastem,

Pod wałem z głazów, gdzie puszcze są chwastem,
Pod wieżycami, gdzie z granitu dachy,
Osada z gromów, a z orłów szyldwachy —
Lśni Nowotarskiej doliny opona,
W srebrnych potoków węże zapleciona,
Tatrzańskich borów cieniem narzucona.
Wysłana lasem głęboka dolina,
Po której stopniach nurt Łopusznej schodzi,
Cały ten widok w jeden promień spina
I do nóg Wyżni w hołdzie go przywodzi.

Jeszcze, ot! jedna chmurka przeleciała.
Las ciemny przejrzał, wystrzeliła skała;
Na skale jodła — i pięciu leżało.
Leniwy tuman oblał im podnóże;
Oni leżeli widziadłami w chmurze
Jakby w powietrzu z jodłą i ze skałą.
Brodate twarze, odzież ich jednaka:
Czerwono szyta guńka na opaszki,
Rzęsno jarzące szkiełka u kołpaka,
Kołczan na plecach, sążniowe watażki,
Szerokie pasy, za pasem topory.
Włos, pokręcony w obfite kędziory,
Tu wisiał, w krasne wstążeczki ujęty,
Tam w skrzydła wiatru plątał swoje skręty.
Jak orle skrzydła, gdy za łupem świszczą,
Jak orle oczy, gdy nad łupem błyszczą,
Tak groźne, bystre i twarze i oczy
Gości, co Wyżnię szpiegują z uboczy.
Rozbójnik Janosz spoczywał za niemi,
Głazem, co z wieków wjada się w pierś ziemi,
Najgłębiej skryty w jodłowem zacieniu.
Znać go po wzroście, znać go po wejrzeniu.
Żaden mu góral w niczem nie zrównywa;
Słynie, jak Krywan. O nim Ludek śpiewa:

Janoszu! dzielny góralu!
Skąd ty wziął się na Podhalu
Taki rosły, taki wdzięczny,
Taki silny, taki zręczny?

Ty wysoki, jak Łomnica,
Jak lawina, twa prawica,
Jako Tatry, twoje barki,
Jak lot gwiazdy, bieg twój szparki.

Zatrzymasz orła w obłoku,
Gdy mu utkwisz oko w oku;
Ty obejmiesz ten buk w borze,
Co go objąć trzech nie może.

Janoszu! dzielny góralu!
Skąd ty wziął się na Podhalu?
Nie kobieta, ale skała
Zrodzić nam ciebie musiała.

A dziś dnie jego życiem zbójców płyną;
Lód i przepaście jego dziś dziedziną.
Po ciemnych jamach z puhaczami mieszka,
Trop dzikiej kozy zwykła mu dziś ścieżka.
Co o nim prawią, w głowie się nie mieści,
Jak o straszydle, krążą o nim wieści:
Tutaj ze mgłami spada na doliny,
Tu duchem zbiega nietknięte wyżyny,
Tutaj, od strzelców odważnych naparty,
Znika w szczelinie, tak wązko rozdartej,
Że się zaledwo gadzina prześliźnie.
Z wierzchów, gdzie kamień na proch się rozbryźnie,
On żywo zleci, jakby skrzydłem ptaka,
Albo, jak kozioł, huśta się u krzaka.
Głos ludu twierdzi, że kochanka jego,
Którą jak stracił, nikt wiedzieć nie może,
Przeobrażona w ducha niedobrego,

Tajemnie nad nim czuwa w każdej porze.
Bo trudno wierzyć, ażeby tak młody
Przebył bez duchów tak wielkie przygody
I jedno imię wdział, jak nawałnicę,
Grzmiącą a ciemną, na całą ziemicę.
Ten sam dziś przyległ lodem do kamienia
I wbił przed siebie źrenicę zmartwiałą.
Pojrzyj mu w oczy, a w głębi spojrzenia
Masz jego sławę, jego duszę całą.
»Oj biada, biada! tym górom, tej głowie!«
Wstrząsł wreszcie głową i ze skargą powie:
»Jakże tu wszystko poszło na pustkowie!
Wiecie? to pole, gdzie młodzież zebrana
On stos buduje, one stawy jasne,
On bór świerkowy — to moja polana!
Kiejsi to wszystko było moje własne.
W górę, na lewo, niedaleko wody,
Między brzózkami stały me chałupy;
Dziś, na ich miejscu, przegorzałe słupy.
Wprawo od chałup leżały zagrody;
On staw był kiejsi czysty, jak krynica;
Jedyna kąpiel i ryby bez miary.
Statku nie mogły pomieścić koszary;
Wszem smakowały mój ser i żętyca.
Największy płomień jarzał z mej bacówki,
Najgorsze kundle strzegły mojej trzody.
Janosz był pieśnią na podhalskie ludy.
Kasia najradniej szła tu na borówki.
Naprost za wodą, gdzie tam owa brzózka,
Pierwszegom dostał od Kasi całuska,
I tak mi serce schwycił ten całunek,
Żem odtąd przy niej, jak przy owcy dzwonek,
A ona przy mnie. — — Odtąd trzódki nasze
Razem do koszar, razem szły na paszę.
Ona śpiewaczka, jam gracz niepośledni;
Co zaśpiewała, jam wygrał na flecie.

Długo, ach! długo, żyli my tak w świecie,
Jakby my w świecie żyli tylko sami.
Raz my nad wieczór rozbiegli się biedni;
Kasia coś rwała pomiędzy świerkami,
A ja usiadłem u owego buka,
Co tam na prawo, a pod nim zdrój płynie.
Ja gram i śpiewam, Kasia ku mnie huka.
Wtem przeraźliwie wrzasnęło w gęstwinie,
A już się znacznie zgęścił mrok wieczoru.
Blada ze strachu, leci Kasia z boru:
»Mnich! mnich!« — krzyknęła; serduszko jej bije,
Drży, jak blask w stawie, a ściska mi szyję.
Źle! — pomyślałem, alem ją pocieszał;
Mówiłem śmiało, a język się mieszał.
Dobrzem ja wiedział, że nigdy daremno
Mnich nie nastraszy. A tymczasem ciemno,
Kasi do domu wypadała droga;
Nielza już było puszczać pod noc samej,
Więc się potokiem razem przebieramy
Aż pod wieś prawie, do dziwożon jamy.
Pocałowała mię jeszcze nieboga,
Kiedym odchodził; prawi, że bezpieczna
I że nazajutrz znowu ze mną będzie.
Nazajutrz czekam, doczekać nie mogę.
Com się nie pytał, com nie szukał wszędzie!
Przepadła z wieścią; tajemnica wieczna
Skradła bez śladu wszystko moje drogie,
Najdroższe w życiu. Ach! jakem ją kochał!
Blizkie już były nasze zaślubiny.
Jakem ja bolał dla jednej dziewczyny!
Na jej spomnienie, jak dziecię, ja szlochał.
Stwardniałem wreszcie i płakać przestałem;
Wszakżem już nie mógł być, czem byłem przódy.
Nic się nie wiodło w gospodarstwie całem:
Owies nie rodził, wymierały trzody,
Grad łąki trzepał, w gumna bił grom boży.

I coraz gorzej, coraz było gorzej.
Gdziem się nawinął, nie przeszło bez zwady,
Tak żem już nie śmiał wyjrzeć między żywe.
Cóż było robić? Nie znalazłem rady,
Tylko porzucić miejsca nieszczęśliwe.
Więc resztę statku puściłem na wolę,
Na wieczny odłóg przekląłem to pole,
Spaliłem chatę, zwaliłem szałasy
I tak, jak stałem, puściłem się w lasy.
Myślałem sobie: ha! jak zbójca, może
Miedzy halami głową gdzie nałożę.
A jednak żyję! a po co? o Boże!«
Tak się rozwodził Janosz w słowach rzewnych,
Złamane ręce sparłszy na kolana. —
»Ode dni kilku jakaś w duszy zmiana,
A w sercu ulga; jakaś chęć do krewnych,
Do ojcowizny. Idź, idź na Sobótkę —
Ciągle coś szepce; pójdę na Sobótkę —
Rzekłem. Haj! pójdę! zobaczę raz jeszcze
Swoją polanę, zręby swojej budki;
Może Bóg dobry chce skończyć te smutki,
Może tam Kasię znajdę i popieszczę.
Teraz Bóg tylko świadom, co mię czeka,
Czy blizkie szczęście, czy śmierć niedaleka!«
Zachód mdlej coraz śniegi hal pozłaca,
Ostatni odblask z cichych wód ucieka,
Spada na ziemię wieczoru powieka;
Ale na Wyżni rośnie gwar i praca,
Pnie się ku górze święty stos wspaniały.
Dwanaście jodeł, z gałęzi odartych,
Zetkniętych wierzchem, spodem rozpostartych,
Szpiczastą wieżą ku niebu powstały.
We wnętrzu jego jeży się chróst suchy;
Czterech górali głownię rozżarzyli,
Rozkołysali, chróstem upowili,
Podęli razem silnemi podmuchy.

Grają płomyki jak żądła wężowe,
Wyjrzą co chwila z ogniska paszczęki;
Nagle rozjadły ogień wznosi głowę,
Rzuca się błyskiem na sterczące sęki,
Na niższych zrazu czepia swe sztandary,
Oblata kłody, wyziera przez szpary,
A jad pod korę zapuszcza tymczasem!
Aż gdy zranione drzewa zapiszczały
I w jasnych gwiazdach smolną krew polały,
Ogień wzdłuż stosu posunął z hałasem,
Chwyta się szczytu, siada na stolicy,
Wyrzuca na świat setne dymu kręgi,
Potrząsa w niebo płomieniste wstęgi
I już panuje całej okolicy.

Radosna wrzawa i huczne oklaski
Przyjęły zewsząd pierwsze ognia blaski.
Na bór, daleko, spadła ćmów zasłona;
Młodzież góralska, od płomieni prędsza,
Stoi już, w koła tańczące spleciona,
Jak obraz, z cieni urodzony wnętrza.
Dziewice w kwiatach, chłopcy z długim włosem,
Gęśle i kobzy, fujarki i dudki, —
Wszystko to naraz uderzyło głosem
I grzmotnym krokiem do tańca Sobótki.
Zalśniły widzom źrenice ciekawsze,
Ciekawszy Janosz wychylił się z cienia,
Westchnął, podumał i rzecze z westchnienia:
»Hej! hej! dla czegóż ja nie ten sam zawsze,
Ażebym dzisiaj, o moja rodzino!
I ja ze swoją wystąpił piosenką?«
Zgrzytnął: »o, bodaj wieczną cierpiał męką,
Kto potępienia mego jest przyczyną!
Niech wieczne wieki piekło łzami gasi
I nigdy łaski niebieskiej nie zyska,
Jak ja nie mogę bez mej lubej Kasi

Do górskiego przysiąść się ogniska!«
Żal tak łający, gorzki był jak piekła;
Zaświadczy jemu łza, co z ócz pociekła.
Lecz towarzysze skarg tych nie słyszeli,
A choć słyszeli, to nie rozumieli,
Jakby to można przez jedną dziewczynę,
Za życie zbójcy oddać swą dziedzinę
I jednym smutkiem, smutkiem po kobiecie,
Struć swoje szczęście, zabić całe życie.
Jak rozkochani, w stos patrzali oni;
I Janosz, gorzką łzę z lica otarszy,
Za tancerzami weselszy wzrok goni.

Szerzej i jaśniej płaszcz ognia monarszy
Przejrzyste poły wokoło rozkłada.
W osobnym tłumie zebrali się starce;
Głos ich poważny, roztropna biesiada,
A oczy żywsze przy brzęczącej czarce.
Z niemi matrony i dzieci zasiadły
I czujne kundle przy nich się układły.
Dokoła stosu mniejsze ognie świecą,
A każdy nową uciechę rozpala,
A każdy głośną opasany zgrają.
Półwidne kształty za kształtami lecą
To ćmą, to blaskiem, jak płynąca fala.
Plączą się koła, ogniska mrugają,
Połyska w ogniu topór tanecznika,
I zręczny skoczek ogniem się przemyka.

A wtem od starców głos o posłuchanie.
Kiczora mówi — głowa dawno siwa —
Zamożny gazda na wielkiej polanie,
Co ku wschodowi w piękne niwy spływa
Z góry, przezwanej mianem jego rodu.
We czci on wielkiej u swego narodu.
Na jego okrzyk błyśnie, mówią ludzie,

Więcej watażek, niż ma owiec w trzodzie.
Dzisiaj już tańczą jego praszczurzęta.
A chociaż sprawy odwieczne pamięta,
Jednak nikt dotąd nie postawi śmiało
Swojego karku przed jego dłoń wprawną.
Raz Janoszowi tylko się udało
Rozbroić starca, gdy ten z butą dawną
Przysiągł oczyścić góry od tej zgrozy,
Napadł go w lesie i chciał wziąć w powrozy.
»Dzieci!« — zawołał — »taniec ja wasz chwalę,
Chwalę te pieśni; ależ wy górale,
Wy dzieci Tatrów, co u wszystkich w sławie;
Wstyd zapominać swej ziemi w zabawie.
Znam wiele świata; widział ja za młodu
Niemało ludzi, niejedną opokę,
Kiedym przemierzał szlak do Carogrodu,
Gdzie się już morze zaczyna głębokie;
Lecz niema nigdzie gór, jak nasze hale,
Ani góralów, jak nasi górale.
Owóż o halach zaśpiewajcie, dzieci,
Na nutę, co to od skał nazad leci.
A swemu kiedyś nasze plemię powie
To, co wam wasi śpiewali ojcowie.«
Roztropnym słowom radzi wszyscy prawie,
I chętnie skłonni ku cichszej zabawie
I ci i owi zbiegli się w gromadę,
I, coby śpiewać złożyli naradę.
Po krótkim gwarze rozwarło się koło;
Wyszły trzy dziewki ze wstydu rumieńcem;
Kobzy i dudki obległy je wieńcem,
Kobzy i dudki przegrały wesoło,
A gdy skończyły niedługą przegrywkę,
Dziewki z kolei zawiodły tę śpiewkę:

Strzeżcie się, o, matki!
Tulcie wasze dziatki.

Pod okienkiem mara
O zdobycz się stara.
Czapeczka czerwona,
Kosa rozpuszczona —
Ach! to dziwożona.

Jako śmierć złośliwa,
A jak wiatr, pierzchliwa,
Podsunie się skrycie,
Ukradnie wam dziecię
I zniknie zdradziecko.
O, matko! strzeż dziecko,
Czyha dziwożona.

Góralko nadobna!
Nie biegaj zosobna
W zarosłej ustroni,
Strach stracha tam goni.
Czapeczka czerwona,
Kosa rozpuszczona —
Ach! to dziwożona!

Jako śmierć złośliwa,
A jak wiatr, pierzchliwa,
Pochwyci cię w lesie,
Pod ziemię zaniesie;
Bez Tatrów, bez słońca,
Zostaniesz do końca,
Jako dziwożona.

Niebogo! sieroto!
Włosy ci rozplotą,
Czapeczkę nasadzą,
Słodyczkę jeść dadzą;
Dla twego serduszka,

Za drużkę, za drużka
Będą dziwożony.

Dziewczę, biada tobie!
Ty przed śmiercią w grobie.
Tańczą z tobą mary,
Twe hale, pieczary.
Jak Krywań wysoki,
Tak twój świat głęboki,
Skoroś dziwożoną.

Ucichły kobzy, ucichły i dudki,
A ledwo skonał dźwięk ostatniej zwrotki,
Gęśl zadzwoniła i śpiewanie dzikie
Zlało się w cichszą i milszą muzykę.

Szczęśliwe oczy, szczęśliwe kroki,
Co świat dziwożon nawidzieć mogą;
Alabastrowe wszystkie opoki,
Najdroższy kamień leży pod nogą.

Wszystkie tam wody płyną kryształem,
Każda kropelka spada perełką;
Mosty ze złota w państwie ich całem,
A z dyjamentu każde światełko.

Wielkie, pod niebo, są nasze skały;
Perłami rosy toczą się nasze,
Nasze potoki, jako kryształy;
A, jak noc, świeże bory i pasze.

Bo u dziwożon nasz się kraj kluje;
Bo u nich każdy zdrój się poczyna,
Bo je wypieszcza, bo im wartuje
Dzika, podziemna, lecz hal rodzina.

»Słyszycie« — Janosz rzekł do towarzyszy —
»Jaką tam gędźbę wyprawiają dziwy?
»Słyszycie, bracia?« — powtórzył strwożony.
I miał przyczynę, bo we wdzięcznej ciszy,
Która śpiew pieści, podniosły się wrony
I rozpuściły nagle krzyk chrapliwy;
Gacki pisnęły, w gwałt huknęły sowy,
Ponurych wilków rozległo się wycie,
Ciężkich gałęzi kołatnęło bicie,
Jak żeby wicher przeleciał zimowy:
I echem śpiące szczeknęły parowy.
Janosz rozgląda, słucha, duchem trwoży,
A nie zmiarkuje, co ma trzymać o tem.
Słuch to do drzewa, to na głaz położy;
Drzewo brzmi w głębi, skała drga łoskotem,
Jakby gdzieś końskie kowało kopyto.
Nierad ze słuchu, oka w pomoc wzywa;
Chce powstać z miejsca, ale nagle siada
I już nie słucha, nie słucha, nie bada,
Tylko zdumiały, wpatruje się w dziwa,
Które nie zawsze, nie wszystkim odkryto.
W cieniach zarośli, na granicach blasku,
Jakby na ramach jasnego obrazku
Żyjących twarzy, głosów mile brzmiących,
Skał zrumienionych, jezior pałających
I ugwieżdżonej ogniami polany
Powstaje wkoło widok półpodziemny:
Duch tam lub człowiek mignie naprzemiany,
To duch półjasny, to człowiek półciemny.
Między pnie świerków, między cienia smugi
Snują się gęsto postacie kobiece:
Czapki na głowach, w nieładzie włos długi,
Rozwiana odzież, okopciałe lice;
U czapek sterczą bezkwietne paprocie,
A oczy świecą, jak w ciemnościach kocie.
Czasem się skupią, czasem się rozbiegą

I tu i owdzie, badają ciekawie,
Niby nierade i rade zabawie;
W ich niepokoju coś dziwnie strasznego.
Wilki pod krzami czają się gromadą,
A w gęstwie wyższej nocnych ptaków stado.
I wszyscy w płomień wpatrują się święty,
Jakby go w oczy na cały rok brali.
Opodal wężów różnobarwe skręty.
Świeci odblaskiem zwierciadlanej stali,
Większy nad inne i cudnej piękności,
Wąż, co ma grzebień złocistej jasności;
Królem on wężów zwany u górali.
A w większym mroku widziadła człowiecze
Na widmach końskich, mkną się lasem chyżo;
Strzały na plecach, u bioder ich miecze.
Czasem nad brzegi lasu się przybliżą
I grożnym wzrokiem strzelą przez drzew szpilki.
Oko ich wązkie, jako ślad iskierki;
I pierś i głowa, jak w owcy kołtunach.
Gdzie się przybliżą, odezwą się wilki,
Sowa ciekawie zaziera przez świerki,
I wrony krążą w śmiertelnych całunach.
Tu się pokażą, tu nikną w mrok głuchy,
A zawsze szybko i cicho, jak duchy.
Nieżywa głowa skacze wślad za niemi;
Z okiem rozwartem, z ustami ściętemi,
Zdaje się ciągle szpiegować ich ruchy.
To długie włosy, jak skrzydła, roztoczy
I bystrym ptakiem zagwiżdże w gęstwinie,
To znowu w skrzele długie włosy zwinie
I rybą idzie w podziemne głębinie,
Aż znów z podziemi, jak z wody, wyskoczy.
Ależ bo wówczas, ziemio staroświecka!
Dzisiejsze dziwy dziwami nie były;
Grały widomie niewidome siły
I pilnowały człowieka, jak dziecka.

W powietrzu, w drzewach, w kamieniu, pod wodą
Krewne spółczucie ludzie znajdowali,
Bo nie gardzili naówczas przyrodą,
Bo ją, jak matkę, znali i kochali.

Ścichła powoli dziwnych głosów walka
A koło stosu powstał okrzyk: »Salka!
Salka nam teraz zaśpiewać powinna!«
Na to wołanie wybiegła góralka
Smukła, jak jodła, niby sarna, zwinna.
Żywe jej oko gra nurtem płomienia,
Spiew jej słowiczy dzwoni od niechcenia,
A jednak skały zdaje się przeszywać,
A jednak światłem zdaje się rozlewać.
Cóż, gdy dla śpiewu strun gęśli poruszy?
Wtenczas myśl pieśni, smutna czy wesoła,
Wylata kształtem czarta lub anioła,
Porywa serce i tańczy po duszy.
Salka gęśl wzięła; przygrywek jej krótki.
Siada przy starcach, pojrzy po drużynie:
»Cóż wam zaśpiewam? O chmurnej dolinie!«
I tak zaczęła, bez kobzy i dudki:

Rozkoszna, jedyna
Pochmurna dolina,
Dla całych Tatrów ponęta;
Lecz lasy i skały
Wkrąg ją opasały,
I bramą z głazów zamknięta.

Rozkoszna, jedyna
Pochmurna dolina,
Od całych Tatrów kochana;
Lecz na niej mgły gęste
I deszcze w niej częste.
Dolina często spłakana.

Bo w skalnej siedzibie,
W Dunajcu kolebie,
Panuje straszy duch-potwór.
Zgrzybiały zazdrośnik,
Dunajca miłośnik,
Wciąż patrzy za nim przez otwór.

Poczwara złośliwa
Szaleje do dziwa,
Jak tylko weźmiesz mu wody.
Za kroplę stąd biedną
Piekielne bezedno
Potopem wre niepogody.

Siedziba szatana,
Skarbami zapchana;
W niej srebro, złoto, jak śmiecie.
Nie złota duch patrzy,
Od złota skarb rzadszy
Tam leży — wieczne tam życie.

Kto dosyć wytrwały
Aż w głębię pójść skały
I na strach mocną ma głowę,
Ten za swoją dzielność
Ma tam nieśmiertelność
I bierze skarbów połowę.

Lecz ducha złość wściekła
Zatrzęsie dnem piekła,
Jak tylko drzesz się pod skałę;
Opada ulewa,
Wiatr lasy wyrywa,
Głaz pęka, Tatry drżą całe.

Cudnie śpiew dzwonił w zasłuchanem gronie,
Cudnie się błąkał echem rozbudzonem.
Same niebiosa przychylały skronie,
Rzęśniej gorzały licem ugwieżdżonem.
Ogień Sobótki, jak południe, pała;
Na szczycie nieba północna drży zorza;
Rozdźwięk strun zagasł, spoczęła młódź hoża,
Poważnych starców rozmowa ustała.
I było chwilę, jakby śmierć powiała,
Jakby świat dumał północną modlitwę.
Tylko Janosza spojrzenie się rwało
Duszą w spojrzeniu, w niepokoju całą;
Rwało na duchów tajemniczą bitwę.
Kędy pod lasem, w przymroczonej łunie
Król wężów świetnie złoty grzebień jeży,
Tam, głębiej, potwór na koniu się sunie.
Stanął, przez chwilę śledzi okiem węża,
Potem łuk bierze, naciąga i mierzy.
Wąż się podnosi, łeb w górę wypręża,
Połyska wieńcem i groźnie zasyczy.
A w tem u łuka struna zaskowyczy;
Strzała zniknęła, dumny wąż upada.
Padając, świsnął. Od onego świstu
Z drzew przelęknionych leci chmura listu,
A zewsząd wężów i gadzin gromada
Z liści, z pod liści wysuwa się błyskiem,
Pnie się na konia ze sykiem i piskiem,
Dosięga jeźdźca, chwyta w sto obręczy —
I wszystko razem w dół się obaliło.

Krótko koń wierzga, krótko jeździec jęczy:
Zniknęli oba pod wężów mogiłą.
Pisk, jęk, gwizd, łoskot! Przykra to muzyka
Dla ciszy, którą dźwięki strun wypieszczą.
Dziewicze koło ciaśniej się zamyka,
Wstrzęśli się męże mimowolną dreszczą,

Popłoch po wszystkich obleciał widomie.
Cyt! po gęstwinie znowu się coś łomie.
Niepewne oczy w gęstwinę patrzały:
Szelest się zbliża, z gęstwy trzej wybiegli,
Każdy na szczudle, jakie czasem służy
Tutejszym ludziom do prędszej podróży.
Radośnie klaśli ci, co ich postrzegli:
»To Ludek, Ludek, długo nam żądany!«
»Haj! haj!« — zawołał Ludek, syn Michała.
Z rodu Garoszów; pierwszy, gdzie są tany,
Rej wszem pieśniarzom, Podhalanom chwała,
A młody dziedzic na miłą polanę,
Gdzie skały, zamkiem zakopiańskim zwane.
Wieść o nim biega, że przy wody szumie,
W którym się huśta Dunajec maleńki,
Znalazł dźwięk i myśl do pierwszej piosenki;
Dziś setne śpiewać i sam składać umie.
Piszczałkę jego słychać śród tysiąca,
Piosenka jego tak w serce idąca,
Że starce nawet z łzami myślą o niej,
Że samo echo przeciąglej nią dzwoni.
Każdy rad, każdy słucha go ciekawie,
I on też chętnie przytomny zabawie,
Kędy za stare dzieje odśpiewane
Łzy i oklaski może wziąć wzamianę.
Wszyscy w głos wielki witali go radzi:
»Cóż Ludek powie? Skąd ich Bóg prowadzi?«
Niepokój biega w spojrzeniach pieśniarza:
»Niech wam Bóg szczęści!« — pomieszany powie —
»Ja wraz z Maniowej. Licho nam zagraża;
Tatar na nasze następuje zdrowie:
Bądźcie bacznemi. Na mocnym Czorsztynie
Ode dni kilku przez rozkaz starosty
Kazano czuwać zamkowej drużynie;
Zawarto wszystkim i bramy i mosty!«
Starzy dumali, lecz młodzi górale

Toporki w górę cisnęli zuchwale
I zawołali: »Co? w halach Tatarzy?
Któż to na nasze hale się odważy?
Kto się odważy na te bory, głazy,
Na te topory, bodaj na te razy?«
I groźnie wstrzęśli zaciśnione pięście.
Ale Kiczora, co rzecz widzi zdrowo,
Do serc gorących to powiedział słowo:
»Powoli, dzieci! wielkie to nieszczęście
Ten dziki Tatar, brzydszy od szarańczy.
Już on nie dzisiaj, jak świat wielki, tańczy.
Kiedy z państw przegnał Kingę świątobliwą,
To i przez nasze wąwozy przejść zdoła!«
»A czy z nich wyjdzie?« — odparła młódź żywo.
»Bawmy się lepiej!« — wołano dokoła —
»Ludek też naszej pomoże ochocie.
Przy ich śpiewaniu zapomnim o trwodze.
Ludku, śpiewajcie!« Pieśniarz był w kłopocie,
Przystał nakoniec: »Spieszno ja przechodzę,
Ale, co mogę, zostawię po drodze.
Strachem was witam, w strachu was porzucę;
O mnichu, bracia! o mnichu zanucę:«

Gaśnie zachód na obłokach,
Gwiazdy łamią się w potokach,
Kwiaty zroszone do snu opadły,
Lasy ściemniałe dumać zasiadły;
Drzemie ziemia cicha,
Nic nie uśpi mnicha.

Przez sen mówią śpiące góry,
Lśni księżycem głaz ponury.
Próchno się ogniem umarłym błyszczy,
Sowy hukają, nietoperz piszczy;
Ślepa ćma się snuje,
Wszystko mnicha czuje.

Mnich posuwa lotem kozy
Po przepaściach, przez wąwozy;
Na sam szczyt drzewa śmignie wiewiórką,
Krzaki najgęstsze przemknie jaszczurką,
Z głazu mchem wyśliźnie,
Z wód łososiem bryźnie.

Na wyżynie, na głębinie,
W wązkiej, jak włos, rozpadlinie,
W promyku rosy, w fijołka woni
Wytryśnie widmo, wiatrem pogoni;
Gdzie nie pomyśl, zajdzie —
Gdzie się nie skryj, znajdzie.

Nie pamięta żaden żywy,
Kiedy wszczęły się te dziwy.
Kiedy się skończą, któż zgadnąć może?
Potłum to licho, prosimy, Boże!
Mocą krzyża swego
Zasłoń nas od niego.

»Oj, dzieci! z mnichem nie trzeba żartować!«
Rzekła Plewina, staruszka ostrożna. —
»Kogo przydybie ta mara pobożna,
Lepiejby temu żmiję pocałować.
Spotkanie mnicha tego narobiło,
Że Janosz żyje, Bóg wie po jakiemu!«
»Jakże to było? jakże to tam było?
Powiedzcie, matko; będziem radzi temu.
Tej całej sprawy niejeden z nas nie wie.«
»Ludek nam powie! — rzecze Salka żywa —
»Oni go nieraz spominają w śpiewie.
Oni to znają. Niech Ludek zaśpiewa.«
Na błagające spojrzenia dziewczyny
Na zaklinanie skupionej drużyny

Ludek, rad nie rad, ku ognisku wrócił
I z wtórem kobzy tak znowu zanucił:

Ranna jaskółka na juhasów woła,
Pstrokacieją Wyżni boki.
Czego Wyżnia tak pstrokata?
Czy jaki wicher dmie w Giewont wysoki
I na sztuki go rozmiata?
To Janosz swój statek rozpuścił dokoła,
Dzwoni fujara, i śpiewek na drzewa
Idzie górami w sto śpiewek.
Któż te cudne pieśni składa?
Czy za górami sto góralskich dziewek
Stu góralom odpowiada?......

Tu pieśniarz uciął; pod palcem kobziarza
Pękły z dalekim jękiem wszystkie druty.
Ze środka lasu wypadł wicher luty:
Wyrywa jodły, słupem liści tarza,
Płomienie stosu kręci wichru śrubą,
Mroczy polanę chmurą dymu grubą....
Każdy się tulił, wszyscy się pytali:
»Czem struny pękły? Skąd ten wicher luty?
Czyście slyszeli, jak coś jękło w dali?
Byłoż to echo, kiedy pękły druty?«
Wszyscy pytają, a nikt nie odgadnie.
Lepiej to widzi Janosz ze swojemi.
Zaledwie wicher z pod lasu wypadnie,
Jak przed gadziną, skoczył on od ziemi,
Wrzasł przykrym jękiem, zbiegł na brzeg opoki,
Wyciągnął palec, rozwarł wzrok szeroki:
»Czy wy widzicie, widzicie w kapturze?«
Opryszki milczkiem spojrzeli mu w oczy,
Potem po sobie z uśmiechem spojrzeli,
Bo nie widzieli, tylko wielką burzę,
Tylko słup wichru, co liściami toczy;

To niema dziwu, że się w duchu śmieli.
Janosz umilknął; drżały w piersiach słowa,
Oczy w słup stały, zawsze w jedną stronę:
Widziadło stąpa, liściem otulone;
Pod wielki kaptur całą głowę chowa;
Na piersiach leży długa broda siwa,
A trupia głowa siedzi na ramieniu.
Widziadło wichrem stąpa ku płomieniu.
Głowa z ramienia ptakiem się porywa,
Leci ćmą w ogień, uderza piorunem,
I stos rozwala; widziadło brodacza
Stos rozburzony poważnie przekracza,
Wlecze za sobą dym i skry całunem
I burzą coraz dalszą w lasach znika.
Wszystko ucichło. Janosz się odcyka
Jak po śnie strasznym; przeciera powiekę,
Niepewnie wokrąg poziera i słucha,
I sam do siebie przemawia po cichu:
»Czyż to ty byłeś? ty, nieszczęsny mnichu?
Ciebież widziałem? Haj, widziałem ducha.
Nieszczęście niesie, blizkie, czy dalekie!
Biada nam! Komu? mnie, czy im? Pobiegę,
Polecę do nich, zawołam, ostrzegę:
Niech do dom idą, niech będą gotowi.
A będąż wierzyć? Komu? opryszkowi?
Bajce o strachu? Hej, Janoszu! w drogę,
Tu niebezpieczno. Czekajcie! nie mogę,
Nie możem odejść! ich tutaj coś spotka,
A spólna dola zawsze, zawsze słodka!«
Usiadł i czeka: niechaj, co chce, będzie.

Popłoch górali przewiał w burzy pędzie.
Straszny to wicher, ale wżdy przeminął.
Stos gore znowu. Gdzież to Ludek zginął?
Czy nie ze sobą burza go porwała?
»Gdzież tam!« — ktoś woła — »gracz to syn Michała.

On rad, że wreszcie od was się wywinął.
Zaledwo wicher ognisko rozmiotał,
On się na szczudłach co żywiej wydźwigał,
Aż zatrzeszczało, tak dalej pośmigał,
Zawołał: »reta!« a pewno chichotał.«
»Niech sobie lecą na szyi złamanie;
Jakoś i bez nich będziem mieć śpiewanie«
Zawoła Salka. — »Niechaj lecą sobie,
Ja wam na oko, jak tam było, zrobię;
Wy też, Magiera, świadom rzeczy całej.
Ja będę Kasią i wedle tej skały
Będę zawodzić i jagody zrywać,
A wy, Magiera, pod bukiem usiądźcie;
Będziemy sobie wzajem przyśpiewywać.
A wy, Nasieka, starym mnichem bądźcie.
Skryjcie się w gąszczu i, jak strach na Kasię,
Wpadnijcie na mnie; ja powiem o czasie.
No, pamiętajcież!« I w zaroślach ginie.
Antosz Nasieka w gunię się ubiera,
Jak w kaptur mniszy, i siada w gęstwinie,
A z pod buczyny tak nuci Magiera:

Cobym ja dał! cobym ja dał!
Żebym we dnie i we mroku,
O zachodzie i o świcie,
Żebym całe, całe życie
Miał cię, Kasiu, przy swym boku.
Pół mej trzody jabym dał!

Magiera przestał i dudą wygrywa,
A za drzewami dziewczę się odzywa:

»Miej dla siebie trzody swoje,
O bydło nie stoję «

»Cobym ja dał! cobym ja dał!

Żebym twoje piersi białe,
Jako wzgórki uśnieżone,
A, jak puszek, wypieszczone,
Mógł dotykać życie całe.
Jabym ci polanę dał!«

Spiewak znów ucichł i przygrywa w dudy,
A dziewczę z gęstwy nuci, jako wprzódy:

»Miej dla siebie łąki swoje,
O trawę nie stoję.«

»Cobym ja dał! cobym ja dał!
Żebyś u tego zarzewia,
Na to łóżko, jak w kolebkę,
Złożyć chciała ciałko gibkie,
Jako pręcik kosodrzewia.
Jabym siebie tobie dał!«
Długo śpiew krąży po przestworzu cichem,
Aż od gęstwiny leci głos ze śmiechem:

»Nie chcę trzody, nie chcę pola,
A twoja bądź wola.«

Pieśń się skończyła; starzy lubowali;
Młodzież to piosnkę, to pieśniarkę chwali;
Wszyscy czekają, co nastąpi dalej.
Ot! i mnich wreszcie podnosi się, mruczy.
Nagle dokoła zatętni, zahuczy.
Salka wypada, krzyczy, co tchu staje,
Utraca siły i mdleje śród drogi.
»Dobrze udaje!« —krzyczą — »jak udaje!«
Ale wnet radość wrzasła gwarem trwogi.
Stęknęły głazy, trzasnęły konary
I jezdne zewsząd suną się poczwary;
Suną się błyskiem, zawodzą ponuro

I nakrywają góralów strzał chmurą,
»Tatarzy, przebóg!« — zagrzmiał głos Kiczory.
Watażki w rękę! do góry topory!
Górale, do mnie! kto zdolny na opór.
Za mnie tu! za mnie! kobiety i starzy!«
Wystąpił naprzód, trzykrotnie zaśwista,
Wypuści w górę, jak głownię, swój topór.
Półkołem obok staje młódź barczysta,
A naprzód lecą i wrzeszczą Tatarzy,
Po owczych kudłach otuleni nocą,
A ognie stosu po szablach migocą.

PRZYPISY AUTORA DO »SOBOTKI«

Strona 87 do tytułu (wstęp do pierwszego wydania w »Ziewonji«, Lwów 1837):

Przedmiot powieści, z której wyjęta jest niniejsza Sobótka, odnosi się do czasu napadów tatarskich za Bolesława Wstydliwego. Sama powieść opiera się na podaniu następującem. Część Tatarów, plądrujących Polskę, uderzyła na Tatry. Mieszkańcy ustępowali przed liczniejszym wrogiem aż do doliny, znanej dziś pod nazwiskiem Kościeliska; skorzystali z położenia: osadzili góry, co ją otaczają, ludźmi i przygotowali na wierzchołkach kłody drzew i wielkie kamienie. Skoro zaślepieni Tatarzy weszli na dolinę, górale łatwo przecięli im odwrót w jedynym, bardzo wązkim przystępie i w tejże chwili zaczęli na nich walić drzewa i glazy. Tatarzy tym sposobem do szczętu byli zniszczeni, a dolina od mnóstwa ich szkieletów (kościelisk) otrzymała na zawsze nazwisko Kościeliska, jakoby doliny szkieletów.

Ślady równej porażki widać jeszcze dzisiaj na dolinie, zwanej Biała woda, leżącej pod Giewontem, przy drodze z Zakopanego do Kościeliska. Wistocie, wielkie mnóstwo rozrzuconych po niej ludzkich kości daje do myślenia każdemu, ktoby nie wierzył w powyższe podanie górali.

Strona 87 do tytułu:

Uroczystość ludów słowiańskich, znana w różnych plemionach pod różnemi nazwami. Sięga najdawniejszych czasów, a w niektórych stronach trwa dotąd. Przypadała 24 czerwca. Mieszkańcy jednej lub kilku osad gromadzili się w pewne miejsce, nakładali wielki ogień, tańczyli około niego, śpiewali, czynili rozmaite wróżby, to skacząc przez płomień, to wianki na wodę puszczając. Były to istne słowiańskie igrzyska, lub święto ognia, odziane uroczystą

tajemniczością religji i całym urokiem poezji. Pojąłem ją w tym duchu i wystawiłem w niniejszej poezji. O sobótce wspominają nasi kronikarze; z powodu sobótki są pieśni Jana Kochanowskiego, które jednak, przez naśladownictwo cudzoziemskiej literatury, nie dają o niej żadnego wyobrażenia. Jeszcze jedna uwaga względem sobótki nie będzie zbyteczną. Zdaje się, że sobótka, w czasach przynajmniej późniejszych, znaczyła to samo, co dzisiejszy, obcy wyraz: wigilja. Sobota była dniem, poprzedzającym największe święto, jakiem jest niedziela, wcale więc logicznie nazwano dzień przed mniejszemi świętami sobótką, czyli małą sobotą mniejszych uroczystości.

Strona 87 w. 4. Po wzniosłej Wyżni osuwa się szczycie.

Wyżnia, góra w pasmie, leżącem nad Nowotarską doliną, równolegle do skalistych, najwyższych Tatrów. Stoi ona na gruntach wsi Łopusznej. Jej obraz w powieści wiernie jest wzięty z przyrody.

Strona 87 w. 5. Z niebios podhalskich uchodzi ulewa.

Tatry najwyższe, co są na granicy Węgier i Galicji, noszą u mieszkańców tamecznych nazwisko Hal od hal, czyli pastwisk, znajdujących się między niemi; dla tego podnóże Tatrów zowie się Podhalem, a jego mieszkańcy — Podhalanami. Nazwisko to odnosi się do niewielu wsi, leżących pod samemi Tatrami.

Strona 87 w. 7. Sztandarem tęczy od Pienin powiewa.

Pieniny, najwyższa góra skalista w temże pasmie, co Wyżnia. Leży nad samym Dunajcem. Słynie jako przytułek św. Kunegundy w czasie tatarskich wojen, oraz szczątkami jej zamku.

Strona 88 w. 7. Nucą juhaski, hukają juhasy.

Nazwisko pasterzy u tatrzańskich Słowian.

Strona 88 w. 16. Wyżnia postawą Kluczek nie dosięga.

Kluczki, góra na granicach łopuszańskich, najwyższa w swojem pasmie po Pieninach. Niepospolitej rozległości widok ją otacza. Na dniu pogodnym można z niej widzieć Kraków, o mil jedenaście oddalony.

Strona 88. w. 34. Na gród olbrzymi olbrzymki-Łomnicy.

Łomnica — najwyższaw Tatrach góra. Widać ją w całej okazałości od strony Węgier.

Strona 89 w. 4. Lśni Nowotarskiej doliny opona.

Nowotarską doliną zowie się kilkunastomilowa przestrzeń pomiędzy Tatrami od leżącego na niej miasteczka Nowego Targu.

Strona 89 w. 8. Po której stopniach nurt Łopusznej schodzi.

Łopuszna jest to właściwie potok, utworzony z kilkudziesięciu mniejszych; źródło jego na szczycie Kluczek, a ujście w Dunajcu pod wsią Łopuszną.

Strona 89 w. 34. Słynie jak Krywan.

Krywan, znajomy nam mniej więcej, po Łomnicy najwyższy szczyt w Tatrach. W Galicji widać go tylko ode wsi, Suchy-ząb zwanej.

Strona 91 w. 15. To moja polana.

Każda łąka w górach między lasami.

Strona 91 w. 23. Statku nie mogły pomieścić koszary.

Górale tatrzańscy, choć najwięcej do Krakowiaków zbliżeni, mają przecież mnóstwo oddzielnych, właściwych sobie wyrazów. Między innemi bydło zowie się u nich statkiem: rogate-gruby statek; nierogate-drobny statek; domowe ptastwo-gadzina, i t. p.

Strona 91 w. 24. Wszem smakowały mój ser i żętyca.

Góry Karpackie w ogólności słyną z tego nazwiska serwatki. Jest to właściwie mleko wszelkiego rodzaju, pomięszane i zwarzone przy ogniu.

Strona 91 w. 25. Największy płomień jarzał z mej bacówki.

Bacówka — buda pasterska w górach.

Strona 91 w. 28. Kasia najradniej szła tu na borówki.

Jagody leśne na drobnych krzewinach, zwane gdzieindziej czernicami.

Strona 92 w. 11. Mnich! mnich! — krzyknęła.

Widziadło mnicha, grającego w tej powieści znaczną rolę, objawiało się w samej rzeczy w tych okolicach przed laty jeszcze kilkudziesiąt. Powstawało najczęściej z wody. Inne o niem szczegóły zawarte są w samejże powieści.

Strona 92 w. 20. Aż pod wieś prawie, do dziwożon jamy.

O dziwożonach sama powieść obszernie mówi, a zawsze na podstawie podania. Widziałem pod Łopuszną ich pieczarę, od lat kilkunastu zawaloną kamieniami.

Strona 93 w. 19. Rzekłem: haj! pójdę —

Haj! — u górali słowo twierdzenia: Tak, tak jest!

Stona 94 w. 22. Gęśle i kobzy, fujarki i dudki.

Niektóre z tych narzędzi dotąd się znajdują się między góra-

lami, innych używanie przeminęło, alem je wprowadził, bo myślałem o wieku XIII, a wprowadziłem je podług ich opisu z dawniejszych czasów. I tak: dudami zwała się wprawiona dudka w skórzany mieszek, który dla wydania głosu przyciskał się pod pachą; kobza — rodzaj gitary z kilką drucianemi strunami; fujarka — piszczałka pasterska — flet; dmie się w otwór u wierzchu; fletnia — z boku; gęśl tylko pozwoliłem sobie wyobrazić taką, jak ją dziś widujemy.

Strona 95 w. 30. Zamożny gazda na wielkiej polanie.

Gazda — w djalekcie góralskim to samo, co u nas gospodarz, kmieć.

Strona 95 w. 32. Z góry, przezwanej mianem jego rodu.

Kiczora — góra, łącząca Wyżnię z Kluczkami; pośrednia między obiema co do wysokości, zowie się inaczej Ciaski.

Strona 96 w. 1. Więcej watażek, niż ma owiec w trzodzie.

Watażka, siekierka góralska, na długiem drzewcu osadzona, służy razem do podpierania się; zowią ją także ciupaga.

Strona 96 w. 16. Kiedym przemierzał szlak do Carogrodu.

Przemysł i handel zawodzi górali w dalekie kraje.

Strona 96 w. 33. Dziewki z kolei zawiodły tę śpiewkę.

Powinienem raz na zawsze upewnić czytelników, że wszelkie podania, wyłożone w powieści, są wiernym przekładem podań, krążących pod Tatrami.

Strona 97 w. 30. Słodyczkę jeść dadzą.

Jakie to ziele, które dziwożony bardzo lubią, o tem przekonać się nie mogłem.

Strona 99 w. 2. Jaką tam gędźbę wyprawują dziewy.

Gędźba — stary wyraz, to samo, co dziś muzyka.

Strona 99 w. 7. Gacki pisnęły, w gwałt huknęły sowy.

Gacek — nietoperz.

Strona 100 w. 12. Królem on wężów zwany u górali.

Podług górali wąż ten istnieje rzeczywiście. Ma mieć barwę nadzwyczajnej piękności, a na głowie grzebyk, do korony podobny. Napastowany, wydaje gwizd donośny, a tysiące wężów przybywa mu na pomoc.

Strona 100 w. 25. Nieżywa głowa skacze w ślad za niemi.

Ta głowa bez reszty ciała, obrosła bardzo długiemi włosami, błąka się do dziś dnia po łopuszańskich polach.

Strona 101 w. 20. Cóż wam zaśpiewam? O chmurnej dolinie.

Kościeliska dolina ma dzisiejsze nazwisko dopiero od porażki Tatarów, wprzódy więc inne mieć musiała; dowolnie nadałem jej miano: pochmurna, z przyczyn w pieśni wyłożonych. Ze źródła o którem pieśń spomina, wypływa Dunajec Czarny.

Strona 104 w. 13. Gdzie skały, zamkiem Zakopiańskim zwane.

Nieraz można między górami trafić na masę opok, wyobrażających w całości swojej obwarowane miejsce. Do rzędu takich zjawisk należą skały w Zakopanem, i z tego powodu zamkiem zakopiańskim nazwane. U ich podnóża wytryska w kształcie kilkosążniowego wodospadu źródło Białego Dunajca.

Strona 104 w. 27. Cóż Ludek powie? Skąd ich Bóg prowadzi?

U wielkiej części pokoleń słowiańskich zaimek, użyty w trzeciej osobie liczby mnogiej, znaczy uszanowanie dla tego, do kogo się odnosi. Górale służą za przykład tego.

Strona 104 w. 30. Ja wraz z Maniowej —

Ogromny garb tego nazwiska w temże paśmie, co Kluczki i Pieniny. Wieś Maniowa leży niedaleko tej góry, na drodze z Czorsztyna do Nowego Targu.

Strona 105 w. 12. Kiedy z państw przegnał Kingę świątobliwą.

Jest tu mowa o św. Kunegundzie, uciekającej przed Tatarami do Węgier.

Strona 107 w. 6. Czy jaki wicher dmie w Giewont wysoki.

Giewont — góra, uderzająca kształtem nagiej ściany, leży między Zakopanem a Kościeliskiem.

Strona 109 w. 5. Zawołał: »reta!« a pewno chichotał.

Reta — to samo, co gwałtu; wyraz ludu polskiego.

Strona 110 w. 13. Złożyć chciała ciałko gibkie, jako pręcik kosodrzewia.

Kosodrzew — rodzaj krzaczystej sosny. Rośnie w najwyższych roślinnych sferach. Ściele się po ziemi tak gęsto, prętami tak giętkiemi, że, jak w sieć, można się weń uwikłać.

PRZYPISY WYDAWCY.

Pierwotny plan »Kościeliska« według notatek znalezionych w papierach pośmiertnych.

Wstęp. Szwedzi są pod Nowym Sączem. Wieść o zdobyciu Sącza rozchodzi się wokoło i przeraża wszystkich. Na Kościeliskiej dolinie zgromadzają się górale z trzodami. Nadchodzi wędrowny kobziarz z kilku śpiewakami; ugoszczają go pasterze, wypytują o Szwedach i nie kryją przestrachu. Kobziarz za całą odpowiedź śpiewa im porażkę Tatarów w owych miejscach. Zaczyna się powieść od sobótek [1]).

Kasia [2]) objawia się Janoszowi, kującemu grotę zbójców ponad Kościeliską doliną. Kasia jako topielica.

Mnich, powieszony od Tatarów i przeszyty stu strzałami, rozmawia z puhaczem wód Białki i przez niego zgromadza dziwożony do narady.

Charakter Kasi, jako dziwożony, tajemniczy, dziwaczny, wietrzny i posępny. Przywiązanie do gór rodzinnych, gdzie ich (dziwożon) państwo podziemne. Dalekowidzenie. Kocha Janosza wspomnieniem swojej miłości za życia; kocha jak duch, jak ducha i dlatego chce jego śmierci. Dziwni są kochankowie dziwożon jako: mnich, król wężów, głowa upiora i t. d.

Janosz żegna chmurną dolinę, oczekując dziwożony, która go zaprowadzi do źródła Czarnego Dunajca.

Janosz wykuwa w pieczarze swojej okienko; przebił je na wylot, opatrzył cudowny z niego widok na chmurną dolinę i zmordowany, usnął nad źródłem pieczary. Wtedy widmo kochanki. Janosz, jakby przeczuwając widzenie się z kochanką, bierze dawno zarzu-

---

[1]) Tu więc było miejsce, przeznaczone dla »Sobótki«. Jak widzimy, miała to być opowieść »minstrela« tatrzańskiego. (P. w.)

[2]) Postać wspominana przez Janosza w »Sobótce«. (P. w).

coną dudkę, przygrywa chwilę, a potem zanucił piosnkę: Tam na Wyżni mój szałasek.

Na wieść zbliżania się Tatarów górale opuszczają swoje siedziby dla udania się w głębie gór z całym dobytkiem. Przytem zachodzą rzewne sceny pożegnań z ukochanemi górami... W tym czasie zebranie się dziwożon pod ziemią. Cichość. Pieśń Salki brzmi w podziemiach, powtarzana od echa. Pieśń ta rozrzewnia dziwożony i pobudza je do obrony górali sposobami nadprzyrodzonemi. Narada i jej skutki.

Górale zbierają się przy kościołku św. Anny pod Nowym Targiem, gdzie im przewodniczy odwiecznym zwyczajem starosta kościelny [1]).

Pieśń 2-ga. Bitwa na Wyżni. Kiczora zgromadza góralów, staje na czele i dowodzi utarczką z Tatarami; tymczasem kobiety, dzieci i starcy gęstwami uciekają do wsi. Janosz gwizdaniem zgromadza 20 swoich i czeka wątpliwej chwili boju. Gdy ta nadeszła, rzuca się z boku na Tatarów, sprawia w nich ogromne zamieszanie i rzeź. Zostaje ranny kilku strzałami, ale Tatarzy ustępują. Kiczora także ranny. Kiczora posuwa się na Kluczki, tam staje obozem i daje stosowne do prowadzenia dalszej wojny rozporządzenia.

Pieśń 3-cia. Narada dziwożon przy trupie węża. Dziwożony płaczą nad trupem węża, potem naradzają się o sposobach zemsty nad Tatarami. Staje na tem, jak się zemścić, i ubolewają, że nie mają dosyć siły do zemszczenia się. Wchodzi mnich. — Siostry, dosyć żałości. Niech każda do swoich uda się zatrudnień. O zemstę nie troszczcie się; jest ona złożona w moje ręce, ale wszystko musi pójść swoim porządkiem, przepisanym od Najwyższego sędziego, a kara będzie pewniejsza. Teraz przestańcie płakać, bo jeszcze nieraz zapłakać wam przyjdzie, nim się rozradują wasze serca. Ja to wam powiadam. Najwyższy sędzia polecił wykonanie swojego wyroku względem napastników. Obejrzyjcie pobojowisko; kto ranny mniej niebezpiecznie, wyssijcie ranę, bo strzały tatarskie jadem są napuszczane, niech żyje. Młode dziewki i dzieci zabierzcie z sobą. A Dziwożona z Kramnicy niech weźmie na siebie ciało najpiękniejszej dziewicy, jaka się znajdzie między trupami na poboisku, niech zajdzie jak najprędzej drogę Tatarom, którzy się błąkają po lesie i, udając ucieczkę przed niemi, zaprowadzi ich nad potok Buszydło, ażeby się dostali w ręce Kiczory.

— Potężny duchu! Ty nasz pan, ty więcej wiesz od nas. Powiedz, jak się to skończy.

---

[1]) W dalszym ciągu pomysły się powtarzają ze zmianami. Dopiero Pieśń 2-ga (podana niżej) i następne wydają się już dalszym ciągiem powieści po skończonej »Sobótce«.

— Chociaż więcej wiem od was, tego jednak powiedzieć wam nie potrafię. Wiecie o tem, że człowiek ma wolę swoją, a ta ziemia i jej sprawy do niego należą. Koniec każdego dzieła od jego woli zależy. My choć mu nie podlegamy, ale mu nie rozkazujemy; nam tylko zlecona opieka nad nim, a kierunek jego woli zostawił sobie Ten tylko, co go stworzył; do nas więc należy wszystko robić z jego korzyścią, do niego korzystać z naszej pracy, on odpowiada za swoje czyny, on też niech robi, co mu się podoba.

— Potężny duchu! Kasia z Łopuszyny w wielkiem utrapieniu. Powiedziałyśmy jej, że Janosz był na sobótce, a ona przyjść nie mogła na ziemię, bo jej dusza czystsza od naszych. Pięć razy dziewicza krew trysnęła z jej ciała, ona domyśla się wielkiego nieszczęścia dla Janosza. Niech się nie lęka. Janosz pięć razy był ranny, ale jest bezpieczny. Wyssano mu jad z ran, a towarzysze jego już go dawno ponieśli na chmurną dolinę. Kasia chciałaby go widzieć, ale choć nie jest pod twoją władzą, nie może na siebie wdziać żadnego ciała, bo wszystkie są w twojej mocy. Kasia go zobaczy. Pocieszcie ją; powiedzcie, że Janosza wielkie przeznaczenie, jeżeli nie zejdzie z drogi, na którą wszedł wśród spotkania się z Tatarami, jeżeli dusza jego utrzyma się do końca w tej wysokości, na jaką wtedy wyleciała. Powiedzcie Kasi, że ja sam więcej jej opowiem, bo wyrok najwyższy oddał ją na czas pod moją wolę. Czyście dobrze jej ciało zachowały? — Nie zmieniło się w niczem od chwili, jakeśmy ją zdjęli z Kasi. Bo go niebawnie będzie potrzeba.

Nadlatuje głowa trupia: Cóż tam słychać? co tam widać? — Tatarzy pod Sączem podzielili się na dwie ordy, a obie różnemi drogami zmierzają ku Nowemu Targowi.

. . . .

Wielkie siły, wielkie niebezpieczeństwo. Za dni cztery niezawodnie już tu będą.

»Leć nazad, nie odstępuj ich na krok, a na posłańców możesz tych ptaków użyć!« I zawołał na drapieżne ptastwo, które okryły pobojowisko i rozrywały ciała trupów. »Do mnie tu, do mnie, orły, sępy, wrony, kruki z najszybszemi skrzydłami, z najbystrzejszemi oczami, porzućcie na ten raz Wyżnię, lećcie za trupią głową, ona was zaprowadzi na obfitsze biesiady. Tatarzy tu ciągną. Krążcie nad niemi czarną chmurą, bo to wasza potrawa, mniejszemi stadami ulatujcie nad mniejszemi oddziałami, największe stado niech pilnuje głowy wodza, bądźcie czarnym sztandarem, po którymbym poznał każdy ruch Tatarów. A ty, trupia głowo, jak będziesz miała co ważnego donieść, przysyłaj jednego z tych ptaków do mnie.

»A ty, Kasiu z Kramnicy, wybierz sobie ciało najpiękniejszej dziewicy z ciał, co leżą na pobojowisku, ubierz się w nie i idź, hukając po lesie, ażeby zwabić Tatara, jeżeli jaki błąka się po

lesie, i prowadź 'go na Kluczki, gdzie Kiczora koczuje ze swoją gromadą. A wciąż hukaj.

»A wy, inne dziwożony, pamiętajcie, co wam zaleciłem, a śpieszcie się, bo górale przybędą tu wkrótce sprawiać pogrzeb swoim.«

Stało się wszystko podług jego słów. Ptaki pociągnęły za głową trupią, jak za orłem skalnym, jak czarny ogon komety, z gwarem zwołując na wszystkie strony swoją rodzinę. Dziwożony poczęły się krzątać na poboisku, a mnich ku Kluczkom się udał.

Pieśń 4-ta. Kluczki. Świta. Na Kluczkach stoi Kiczora z gromadą łopuszańską. Rozporządzenia, jakie poczynił Kiczora. Orężem po zabitych Tatarach ubrał część górali. Wezwał z Łopusznej i ze wsi poblizkiej wszystką młodzież zdatną do boju. Kilka oddziałów posłał w różnych kierunkach na zwiady i wytępianie Tatarów, gdyby się gdzie pokazali rozproszeni. Wysłał także do starosty czorsztyńskiego, czyby w zamku nie mogli znaleźć przytułku ci mieszkańcy, którzy są do boju niezdatni. Do innych wsi rozesłał z wieścią o tem, co zaszło, z zastrzeżeniem, aby się mieli na baczności. Wszystko to po naradzie z mnichem. Nadto po górach słupy, oblane smołą, zaleca stawiać, ażeby ostrzegały o zbliżaniu się Tatarów. W czasie, kiedy Kiczora opowiada Cystersowi, co zrobił, słychać hukanie. Cysters radzi, ażeby wysłać kilkunastu ludzi do schwytania Tatarów. Zrobiono to. Tatarzy. przyprowadzeni i badani, wyznają, co wiedzą. W skutku tego Cysters radzi, co poczynać, a Tatarów każe odesłać do Nowego Targu, ażeby nowotarżanie dowiedzieli się od nich, czego mają się obawiać, i stosownie postąpili. Nakoniec uchwalono pogrzeb poległych. Pogrzeb. Koniec części pierwszej.

Źródło Czarnego Dunajca. Janosz otrzymał na Wyżni kilka ciężkich ran, które mu nie pozwalają walczyć jawnym bojem z Tatarami. Na niego więc przypada obudzenie sił nadprzyrodzonych w pomoc cofającym się góralom; do tego potrzeba udać się aż do źródeł Czarnego Dunajca, skąd ma powstać wielka burza, ale życie musi stracić. Janosz przystaje na to.

Odbywa tę podróż pod przewodnictwem swojej kochanki. W tej podróży opisać całe podziemie czyli krainę dziwożon i wszystkie tyczące się nadprzyrodzonych góralskich istot dziwy.

Wchodzą w miejsce, skąd się Dunajec po raz pierwszy wydobywa z pod ziemi. W tej drodze Kasia tłumaczy mu wszystkie tajemnice podziemia. Droga do Ducha jest prawdziwym labiryntem. Korzeń Łomnicy, Krywanu — Morskie Oko i źródło Białki — jaskinia mnicha, jego skała i powieść o nim. Pogrzeb króla wężów. Coraz wychodzą na jakiś szczyt i widzą poruszenia górali, zmierzających ku dolinie, i skutek swojej podróży — burzę

gromadzącą się w miarę tego, jak się zbliżają do gmachu Ducha Dunajca.

Kasi pierwsze objawienie się jest w jej własnem ciele (bo duchy nie mogą pokazywać się i wchodzić w bezpośrednie stosunki z ciałami ludzkiemi, tylko w postaci ludzkiej), wygląda więc jak trup, utopiony w całej swojej okropności. Pod postacią duchową widzi ją Janosz dopiero po swojej śmierci.

Przed śmiercią żegna się z towarzyszami i z górami, poczem odprawia swoich towarzyszy do obozu góralskiego.

Pożegnanie to przed drugiem umówionem nadejściem Kasi. Trzydziestu towarzyszów dokoła, Janosz żegna góry, drzewa, ptaszki, kwiaty, odzywającą się dudkę, każe jeszcze raz odprawić tańce i biesiady, potem zaśpiewać zbójecką piosnkę; poczem całują go wszyscy w kolej, podnoszą płacz powszechny i odchodzą do góralskiego obozu.

W jaskini Dunajca odpoczęli w pierwszym ustępie, bo Janosz czuł się coraz słabszym. Wstali. Kasia szła naprzód. Brnęli długo, długo wązkiem korytem przeciw pędowi wody; koryto zwężało się, rozszerzało po razy kilka; minęli kilka sklepień, aż przyszli do ogromnego podziemia; na środku jezioro, z boku pod ścianą łódka, a woda na jeziorze to wybuchała, to się kryła. Siedli na łódkę i czekali, aż przepaść cmoknie; w tej chwili woda pochłonęła całą łódkę i wtedy Janosz zginął. Janosz, zalany wodą, utracił zmysły; kiedy się ocknął, zdziwiony był bardzo. Leżał śród światłości i życia, jezioro było z podobnym wirem jak pierwsze, ale woda leciała do niego wodospadem; był to już świat dziwożon. Kasia jaśniała pięknością, bo łódka z jej i Janosza ciałem odpłynęła na świat ziemski.

O, wielką przebyliśmy drogę; dzięki Bogu, wszystkie największe niebezpieczeństwa przeszły! Janosza rany zniknęły, czuł, jakby się dopiero narodził, tak był wolny od bólu, tak był rzeźwy, zdrowy i silny.

Janosz idzie z Kasią jako duch, nie wiedząc o tem, że już umarł (śmierć jego taka lekka, bo ginie dla swojej ojczyzny); stąd dziwi się, obejmując okiem daleko więcej i słuchem dalej sięgając, niż kiedykolwiek: dla jakiej to przyczyny? Nie może jeszcze przenikać ziemi i innych materji, bo dusza po śmierci nie odrazu, ale stopniami przychodzi do tej dzielności, tem prędzej, im człowiek żył poczciwiej na ziemi.

Dowiaduje się o tem dopiero przy samym końcu powieści, po spełnieniu wszystkiego, co przyrzekł, po zwycięstwie górali.

— Kasiu, moja Kasiu! o, dlaczegóż to się tak prędko skończyło? Nie nacieszyłem się z tobą, a tu trzeba się znowu rozłączyć. Ja myślałem, że nie wyjdę żywy, o bodajem był umarł!

— Janoszu, nie, my się już nie rozłączymy, już ty mój, a ja twoja na wieki.

— Jakto, ty wrócisz na ziemię, znowu ożyjesz?

— Ja na ziemię nie wrócę, ja nie ożyję znowu, ale ty już umarłeś!

— Ja już umarłem?

— Patrz, twoje ciało leży tam pod skałą.

— To ja umarłem, kiedy myślałem, żem zasnął? Ach, nie wiedziałem, że śmierć tak lekka.

— Nie każdemu. Najlżejsza temu, kto swoje życie kładzie za życie drugich. Dlatego, mój Janoszu, tak lekko umarłeś.

— A moje zbójowanie czy je Bóg przebaczył?

— Zabijałeś drugich, aleś umarł za drugich. Twoja dusza czysta; przebaczyły ci dusze tych, które pobiłeś.

— O, jakiż ja szczęśliwy, moja Kasiu!

FRAGMENTY PIESNI ZACZĘTYCH
Z »KOŚCIELISKA«.

(Według autografów w papierach pośmiertnych).



Niemasz jak są nasze Tatry,
Niema nad naszych górali:
Nogi polotne, jak wiatry,
Ciała twarde, jak ze stali.
    Naszych górali omijaj zostrożna,
    Z naszych góralek wodęby pić można;
    Piersi bielutkie, jak śniegi Krywana,
    A kibić piękna, jak pręt kosodrzewu.

NARADA DZIWOŻON.

Między górami noc padła głęboka
I nasadziła strachów po parowach.
Tam z drzew wygląda, jak starzec, opoka,
Suchy świerk sterczy niby kościeliska,
Jak co żywego skacze liść pod nogą,
Tylko robaczek świeci nade drogą,
Tylko gwiazdeczka między liśćmi błyska.
Nad wsią Łopuszną, nad Łopuszną rzeką
Garbi się góra, Małogóra zwana,

W jej drapie jama — widać ją daleko —
W krzaki jałowcu, w siwy głaz odziana,
Lube i stałe dziwożon mieszkanie!
A dziwożony potężne są panie;
Kraj się ich ciągnie popod całe hale,
W ich mocy skarby, co je ma hal łono.
Podziemne domy w marmurach, w krysztale
Rozlicznych kruszców ozdobami płoną,
Całe tam skały, jak na wierzchu ziemi,
Stoją ukute ze srebra i złota;
Jak tu na ziemi, stoją ich osady
I dróg tysiące bieży między niemi,
A od nich tysiąc drzwi na światło ziemi.
Gdybyś ty poszedł do której pieczary
I zapaść w głębię był dosyć szczęśliwy,
To własnem okiem ujrzałbyś te dziwy.
Czasem tam paproć zasłania czczość szpary,
I szparka tobie zda się bardzo mała,
Czasem nieznacznie leży z boku skała,
Czasem napotkasz nakształt lisiej jamy.
Niechby Bóg pomógł przebyć te przeszkody,
A wszedłbyś nagle pod olbrzymie bramy,
W nieobejrzane podziemne przechody,
Stanąłbyś nagle w dziwożon dziedzinie.
Niezawsze ciemne więżą je jaskinie,
Na światło słońca wychodzą niekiedy
Dla dobra ludzi, najczęściej dla biedy.
O piękność rodu swojego troskliwe,
Czatują pilnie, gdzie są położnice,
By zmienić dziecię za piękne — płaczliwe,
Dorosłe nawet chwytają dziewice.
O swoje skarby nad wszystko się boją.
Nieraz spuszczone przez nie wody zdroje
Zalały długie górników roboty;
A niech Bóg strzeże od ich mściwej psoty,
Jaką wyprawią, gdyby kto był śmiały

Ruszyć, co one pod swą moc zabrały.
Stań między niemi, a zadrżysz z przestrachu,
Jaki skwierk słychać w ich podziemnym gmachu.
W wielkiem podziemiu, w głębi Małogóry,
Gdzie iskry światła nie zna cień ponury,
Chyba dziwożon oczy nietoperze,
Gdzie nigdy wiatry nie zawiały świeże,
W odwiecznych ścianach uroszonej skały
Liczne dziwożon gromady siedziały.
Na naszym świecie była noc na schyłku,
A dla nich pora nocnego posiłku.
Siedziały w kupkach i słodyczkę jadły,
Kiedy się nagle od otworu strony
Dał słyszeć hałas, jakby grzmot dławiony,
I towarzyszki pomieszane wpadły.
»Biada nam, siostry! biada, towarzysze!« —
Krzyknęły tłumnie swojej płci zwyczajem,
»Oto w tej chwili jakowiś przybysze,
»Odmienni mową, dalecy stąd krajem,
»Ważą się gwałcić macierzystą ziemię,
»Przyszli wygubić rodzime nam plemię.
»Która chce widzieć, niechaj się potrudzi,
»Co tam pobili najmilszych nam ludzi,
»Jak nasze ciche państwo zaburzyli,
»Nas pobudzili grzmotem swoich gromów,
»Nakładli trupów blizko naszych domów,
»Nam najpiękniejsze łąki krwią splamili;
»Cośmy nasiali, cośmy zbierać mieli,
»Wszystko końskiemi kopytami ścięli!
»Niweczą wszystko, wdzierają się wszędzie!
»Gdzież się podziało nasze panowanie?
»Z naszemi skarby co się dalej stanie?
»Z nami, o siostry, cóż to dalej będzie?«
I pojedyńczo i tłumne odgłosy
Długo się, długo przeraźliwie darły.
Oneby mogły przedrzeć niebiosy,

Gdyby ich wieczne skały nie zawarły.
Zebrać się w radę stanęła uchwała:
Jak się toczyła, jaki skutek miała,
Tego nikt z ludzi światu nie odkryje,
Bo też tam ucho nie sięgnie niczyje.
Tylko na końcu okrzyk był słyszany:
»Biada przybyszom dalekiej krainy,
»Co śmieli napaść nasz lud ukochany,
»Co się łakomią na nasze dziedziny!
»Biada przybyszom!« — Jeszcze raz krzyknęli
I w różne strony z wrzaskiem polecieli.

JANOSZ I DZIWOŻONA.

A w głębiach ścichło, jakiś czas dźwięczało,
Jak w uchu, kiedy blizki piorun strzeli.
Dźwięk zakrętami podziemia przepływa,
W setne zasklepy głucho się rozprasza,
Dochodzi jamy, gdzie Garasz [1]) spoczywa,
I bije w ucho śpiącego Garasza.
Budzi się ze snu, patrzy rozespany:
Kobieca postać przy nogach mu stoi.
Przeciera oko: czy wino się roi,
Czy senna mara, czy cienia bałwany?
A blask ogniska na nią właśnie pada,
Ubiór — jak ubiór góralskiej dziewczyny,
Włos czarny w długie skręty się układa,
Na głowie miała czerwoną czapeczkę,
A na czapeczce wieniec z florecyny.
Garasz się dziwi, ale patrząc lepiej,
Porwie się, oczy obłąkane wlepi
I głos podnosząc, wykrzyknie: »To ona!
»Kaśka, ach moja! umarła czy żywa?«

[1]) Pieśń ta pisana widocznie przed »Sobótką«, bo imię bohatera Janosza, nie jest tu jeszcze ustalone. Tutaj figuruje on jako Garasz. P. W.

I z rozpostartem objęciem się zrywa
I leci ku niej, czy z piekła czy z nieba.
Ale kochanka szybko go odpycha,
Zlekka odskoczy: »Cyt!« — przemawia zcicha —
»O nie, nie — rzecze — wprzód pogadać trzeba,
»Wprzód pomówimy. Już ja nie ta sama,
»Już nie ta sama i ty nie ten samy!
»Twoim dziś domem rozbójnicza jama,
»My się dopiero na nowo poznamy!«
»Kasiu, ty nie znasz, nie kochasz Garasza?«
Zdumiony Garasz w półgniewie zapyta.
»Nie wiem« odpowie zjawiona kobieta.
»Co było kiedyś, to się śniło tylko,
»To sen dla mojej dzisiejszej przyrody,
»Teraz się może zacząć miłość nasza.
»Lecz po cóż w długie wdawać się wywody?
»Ja dziś dla ludzi jestem dziwożoną;
»Mnie mimowolnie porwano, zmieniono...
»Ale, człowieku, co z tobą się stało?
»Gdzie twoja chata, gdzie twoje koszary?
»Gdzieś twą majętność przemarnował całą?
»Straszysz po nocach, podobny do mary,
»Jak zwierz rozbijasz po twojej dziedzinie,
»Niewinnych ludzi krew po tobie płynie.
»Wieleż ócz trupich patrzy z twego oka!
»Dusza — jak piekło, serce — jak opoka!
»Boisz się równo i światła i nocy,
»Nie masz pociechy na ziemi i w niebie,
»Jeszcze urągasz i sióstr moich mocy!
»Kto ci pozwolił do snu tej pieczary?
»Za to, Garaszu, przyszłam skarać ciebie«.
A krew Garasza, jak rozdęte żary,
Podniosła serce, oczy zaiskrzyła.
»Szalona dziewko, jabym twojej kary
»Miał się obawiać? Nie twoja to siła!
»Sprowadź tu jeszcze wszystkie siostry twoje

»I tak sam jeden jeszcze wam dostoję!«
»O, jakie męstwo bić się z kobietami!«
Odpowiedziała smutnie dziwożona. —
»Idź, gdzie Suderman wita piorunami,
»Nie daj mu szarpać twej rodziny łona!
»Wtedy, pozwalam, będziesz się przechwalał...«
I cichy, niemy płacz resztę słów zalał. —
»Lecz twoje szczęście być puhaczem lasów,
»A męstwo — łupić bezbronnych juhasów.
»Nie tak, Garaszu, nie tak ciebie znałam,
»Nie taki byłeś, kiedy cię kochałam!«
»Ha, teraz wierzę, żeś dawna kobieta,
»Teraz przyjmuję twoje ukaranie.
»Oto, chcesz widzieć moją pierś przebitą?
»Patrz więc!« — I noża zza pasa dostanie;
Lecz dziwożona, pełna pomieszania,
Leci i sobą jego pierś zasłania.
»O, nie! to nie dość umrzeć śmiało z żalem!
»Nie takiej żądam od ciebie pokuty,
»Cała twa kara — być dobrym góralem.«
»Czegóż chcesz po mnie? Pójść na Sudermany?
»Pójdę natychmiast i moich zabiorę.
»Niechaj tam na nas całe piekło gore,
»Niech w pierwszym kroku padnę cały skuty,
»Pójdę natychmiast, tyś mi świadkiem, Boże,
»Jeśli to kara i złączyć nas może!«
Błysły radością oczy dziwożony,
Szyję Garasza objęła goręcej:
»Teraz mi, teraz przeszły świat wrócony,
»Znów się kochamy, nie żądam nic więcej.
»Ni tyle nawet nie pójdziesz na wroga,
»Tylko twą czeladź góralom poślemy;
»Na zamku Turniów jutro się ujrzemy,
»A dzisiaj — bądź zdrów: każda chwila droga.«
I od radości rękami klasnęła —
»Ach, jakie szczęście, jaka dla mnie chwała!«

A Garasz, wesół szczęściem tajemniczem,
Patrzał w kochankę i długo i czule.
»I cóż, ta radość skończy się na niczem?
»Ty nie zcałujesz, ja cię nie przytulę?«
»Dobrze, Garaszu« — dziwożona rzekła,
»Ale mi wprzódy na wszystko przysiężesz,
»Ze, kiedy zechcę, pójdziesz aż do piekła!«
»Na co przysięgi? Jak żadną przysięgą,
»Pocałowaniem nazawsze mnie zwiążesz.«
»A więc cię wiążę w tem pocałowaniu
»Wielką, tajemną dziwożon potęgą,
»A na znak tego noś moją roślinę.«
I florecynę w czapkę mu wetknęła,
Mocny całusek do ust przycisnęła.
»Na zamkach Turniów pamiętaj o świcie« —
Rzekła i wiatrem wionęła w szczelinę.

MNICH.

Ha! ha! Kto jestem? — mnich odpowiada —
Każdy odrazu z moich ócz wybada!
A strasznie patrzał upiora źrenicą.
Kto jestem, to mnie dzisiaj tajemnicą...
Mój zakon dziwny, mój klasztor wspaniały!
Jam jest — i wskazał na tatrzańskie skały.
Kiedy się podniósł, nie pamięta ziemia.
W wielkim ołtarzu orzeł się rozplenia,
Po jego gzymsach kozioł rogi czepia.
Kiedy dzień zniknie, to go noc zasklepia,
Kiedy noc widna, to on oświetlony:
Ogromna lampa, świateł milijony.
Kiedy noc zniknie, wszystkie świece gasną,
Za to ogromne, a jedno je zmienia,
Jedno, ogromne, i bardzo z niem jasno.
Dziwne, nabożne usłyszysz tam pienia:
Po rozpadlinach, szczytach i załomach,

Jak wieczne chóry, wieczny wicher śpiewa,
Jak na organach, gra obłok na gromach,
Niebieską wodą pokrapia ulewa.
A ja, okryty wieczną tajemnicą,
Ubrany w habit, z tą ot księgą-duszą
Siedzę nad ciemną moją kropielnicą,
Gram z piorunami, śpiewam sobie z burzą,
Widzę świat z góry i śmieję się zcicha,
Gdy mówią: patrzcie na skalnego mnicha!
Bo ja zakonnic jestem kapelanem.

TATRY.

Ziemia, księżyca światłem osrebrzona,
Leżała nago pod niebios błękitem,
Jakby miłosnym ogniem rozpalona,
I nie taiła wdzięków swego łona.
A święte Tatry, jako nocy gmachy,
Nieporuszone czerniały w błękitach
I srebrne wody, jako srebrne blachy,
Snuły się w krętych, świecących korytach.
. . . .
Co to za góra, co stoi osobno?
To garb... Widzę, jak się zgina;
Całych on wieków ciężar dźwigać musi,
Każdy rok nowym lodem go przydusi.
Czasem się wstrząśnie; aż runie lawina,
Czasem spotnieje biedak spracowany,
A wtedy staną tak gęste tumany,
Że orzeł w miejscu, jak leciał, tak stoi,
Że kozioł kroku posunąć się boi,
Ale zuchwalec człowieczego rodu
Ginie z długiego i zimna i głodu.
— A tenże dalszy i równy pierwszemu,
Co to jak schody prowadzą ku niemu?
— To... (Brak wyrazu, P. W.) a to jego palce.

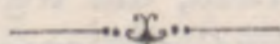
W wiecznej z chmurami zostaje on walce;
Niech tylko która przybliży tam łono,
Olbrzymie palce natychmiast w niej toną
I bez litości szarpią je i porą,
Aż krew dżdżu wyżmą, by członki olbrzymie
Góry nasycić, a zmarła na poły,
Omdlała chmura opada w rozdoły,
Lub jak martwica rozlewa się w dymie.
. . . .
A tej nazwisko, patrz ku zachodowi,
Co tak rozparta i na wierzchu chmury?
Przeklęta Baba! nad wszystkie złośnica,
Matka niepogód.
Chciałaby rządzić okolicą całą,
Choć jedna z mniejszych. Biada tej krainie!
Skoro się w czepek z obłoku owinie,
Będzie płacz złości, co grozi nawałą.
. . . .
Tam na południe, tam, gdzie księżyc blady
Te srebrne blaski rozpostarł tak cudnie
Po nagich turniach — masz Giewontu ścianę,
Z obu stron spodem biegą na południe
Piękne doliny, mało komu znane.
Tam w cieniu borów, pośród opok żłobu
Płyną Dunajec i Czarny i Biały;
Czarny tam z dalszej, masz tu łoże obu;
Droga w doliny ponad obydwoma,
Nad Czarnym lepsza i lepiej wiadoma.
Druga bliższa — gorsza,
Lecz kto się skrada, dla tego jedyna;
Jest tu już węższa, już szersza dolina,
Przez dunajcowe przerznięta koryto.
Mieszkań, szałasów ciągle jak nabito,
A z lewej, z prawej, jak cieśnina duża,
Zarosłe bory i ogromne wzgórza.

URYWKI.

Już nadchodziła jasna chwila świtu,
Ale świat we mgłach wyglądał pochmurnie;
Chmury się wiły u Ormuka szczytu,
W chmurach się kryły groźne Smytin turnie,
W chmurach staw Smerczyn rozdrzemany leżał,
W chmurach podwójny potok Pysznej bieżał, —
Na ziemi, niebie, na dole, wyżynie
Mgła i spokojność na całej dolinie.

Do jaskini otwór ciemny, wązki;
Jaskinia była w marmurowej skale,
Świerk tam w zasłonę rozwiesił gałązki
I jarzębiny płoną tam korale.
Listek poziomki jagódkę piastuje,
A głaz granitu przy progu wartuje.

PRZYPISEK WYDAWCY. Sobótka napisana w r. 1833. Drukowana poraz pierwszy w »Ziewonji«, Lwów 1834, str. 179—220. Plan i urywki z dalszych części poematu p. t. Kościelisko, którego Sobótka miała być częścią składową, ogłosiłem w »Kurjerze Warszawskim« 1900 r., Nr. 296, 297 i 298.



ANNA Z NABRZEŻA.

I. POWIEŚĆ WSTĘPNA.

Znane wam Jana Kazimierza lata;
Burza z polskiego nie schodziła świata,
Grom bił po gromie, a ciągła nawała
Lała dżdżem krwawym lub nim zagrażała.
Czasami jednak z tej to z owej strony
Błysnęły niebios wdzięczniejszych zwierciadła,
Jasność pokoju to tu, to tam padła
I wolniej westchnął naród pokrzepiony.
Takiej pogody zaświeciły gwiazdy,
Gdy mir z Szwedami zamknął ich najazdy.
Jak po przelocie martwej mrozów pory
Powietrze wiosny roi się pszczołami,
Tak się roiły wojenne tabory
Na wszystkie strony zbrojnemi mężami.
Leciał syn boju w rodzinne zagrody
Pogrzać się chwilkę przy własnem ognisku,
Pokrzepić ducha w kochanym uścisku,
Łzą ócz kochanych opłókać pierś krwawą —
Leciał ku szczęściu, ze szczęściem, ze sławą
A leciał szybko, z wieściami w zawody,

Aż skrzydło zbroi wiatrami gwizdało,
Aż się proporca drzewce podawało,
Bo krótka chwila tej drogiej swobody,
A dziki odgłos wojennego rogu
Może go jeszcze zawróci od progu.
Mieszkańcy zamków bądźcie w gotowości,
Warowne bramy szeroko otwórzcie,
Zwodzone mosty zawczasu połóżcie,
I śpieszcie najprzód z powitaniem gości,
Ledwie ujrzycie, że się szlak zapyli,
Aby gość drogi nie stracił i chwili,
Bo dziki odgłos wojennego rogu
Może go jeszcze zawróci od progu.
Na długość zamków, zastawiajcie stoły,
A uczta wszemu ludowi niech służy;
Niechaj lud cały używa wesoły.
Kto wie, czy taka radość się powtórzy?
I krocie zamków otworem już stoją,
I biesiadnicy tłumami się roją,
I usta ogniem pieszczoty goreją,
I serca w ogniach miłości topnieją,
I łzy rozkoszy z ócz tysiącznych płyną,
I tchnienie szczęścia nad całą krainą!
Na jednym tylko zamku nie podziela
Jedna myśl tego całego wesela:
Mgła smutku leży na Anusi czole,
A radość wszystkich zaostrza jej bole.
Cóż tak dolega biednemu dziewczęciu?
Całe jej szczęście leży w jej objęciu.
Ojciec, pan zamku i rozległych włości,
Głośny przed laty dzielnością bułatu,
Dziś, jako wojski, opiekun powiatu,
Czuwa nad córką okiem opatrzności:
Szczęście jej ceni nad wszystkie dostatki.
Matka Anusi — to matka nad matki:
Z jaką rozkoszą poczęła to dziecię,

Z taką gotowa poświęcić mu życie.
Czas wiosną jeszcze chucha na ten kwiatek —
Anusia nie ma siedemnastu latek.
Jak jedynaczkę, przyroda ją kocha;
Tysiąca dziewic okrutna macocha,
Tysiącu dziewic wyrządziła szkody,
Aby z niej stworzyć pieścidło urody.
Cóż bo to za wzrok ze swem niebem modrem!
Co za płeć jasna, co to za rumieniec!
Co to za bujny ciemnych włosów wieniec!
Jaki tam stanik, a nad jakiem biodrem!
Jaka ust pełność, jaki zębów sznurek!
Jaka tam szyjka, jaki piersi wzgórek!
Gdzie dotkniesz, czujesz aksamitu pyłek,
Gdzie okiem rzucisz, dojrzysz wszystkich żyłek.
Smukłą jej kibić ująłbyś w pierścionek.
Z marmuru każdy utoczony członek,
Kropla bez śladu spłynie ciałkiem gładkiem.
Motyle krążą nad nią, jak nad kwiatkiem;
Głos jej, jak miła piosenka, gra w uchu;
Czarami tańca chwyta w każdym ruchu.
Kto ją zobaczy, ten mówi do siebie:
Nie! to aniołek, ukradziony w niebie!
  Czegóż się smuci twa dusza dziewicza?
Patrzaj! Nabrzeże leży tak uroczo,
Dokoła taka rozkoszna skał dzicza,
Zbruczowe fale tak wdzięcznie bełkoczą!
Kraj taki cudny w ich się lustrze pławi.
Tak cudnie w ogon roztacza się pawi,
W lasy tak ciemne, w tak zielone pola,
W tak śmiałe wzgórza, w jary tak zapadłe,
W wioski bez liku, tak gęsto nasiadłe,
Że masz pod okiem cały wdzięk Podola!...
O! darmo ojciec, darmo matka pieści,
Darmo ją urok otacza niewieści,
Darmo świat cały wesołem obliczem

Leży przed okiem i sercem dziewiczem;
Dla ócz i serca świat cały jest niczem:
Anusia kocha! — Słuchajcie powieści.
  Anna nie rosła, jak kwiatek na puszczy.
Znane sąsiedztwu Nabrzeże ustronne,
Jak pszczołom łąki kwieciste i wonne.
Nie brakło Annie na zalotnej tłuszczy,
I to oddawna, jeszcze w owe czasy,
Kiedy na dziewczę patrzą, jak na dziecię.
Bo Anna dziwo! dzielny kwiat jej krasy
Przed czasem pączka odrzucił zawicie,
A jej słoneczko, zaledwo poranne,
Skwarem południa duszom dopiekało.
Tylko jej serce o tem nie wiedziało:
Z serca i z myśli poznasz dziecko-Annę.
I czem dla wiatru hołd polnych zapachów,
Tem dla niej były hołdy wszystkich gachów.
Byłaż to płochość? O, nie! lecz do duszy
Czerstwej i polskiej żaden nie przystawał:
Ten, junak, marsem udanym się puszy,
Tamten mdlącego, bladego udawał;
Ten ją szturmuje półłokciowym wąsem,
Tamten chce podbić wdzięcznym w tańcu pląsem;
Ten, ufny w lice, jak lice dziewczynki,
Muska się, mizdrzy, stroi czułe minki;
Ten rwie jej kwiatki, ten motylki chwyta,
Ten znów, poeta, sielanki jej czyta.
A Anna na to? — O, jej dowcip dziarski:
Choremu swata starą babę wróżkę,
Tanecznikowi chwali tan tatarski,
Wymuskanemu ofiaruje muszkę,
Poecie pilnie nadstawuje ucha,
A ku kraczącej wronie mruga oczkiem;
Kwiat oskubała, na motylka dmucha,
Popod wąs groźny przesuwa się boczkiem;
Figlarny ukłon śle zalotnej rzeszy

I z pustym śmiechem popędziła dalej.
W trop za nią jeździec Pegaza, choć pieszy;
Zhamuj się, biedny poeto, nie szalej!
Jeśli ją dziwi na świecie rzecz która,
To bisurmańska w poecie natura:
Niedosyć jemu na haremie Feba,
Przebiega wiecznie i ziemię i nieba,
Biedne piękności, jak korsarz, ugania.
I na co? — Żeby miał przedmiot wzdychania.
O! jakiekolwiek twoje przedsięwzięcia,
Co cię przykuły do śladów dziewczęcia,
Wróć się, poeto — nie dla niej sielanka.
Goreje, żyje poezją jej dusza,
Lecz ta poezja całkiem nie pastusza.
Popatrz w tę duszę, zobacz tam kochanka,
Co go stworzyły z własnego płomienia
W kryjówkach serca własne jej natchnienia:
Postać dorodna, gibka, okazała,
W pogodnem oku rycerski żar pała,
A na dnie oka widać duszę nagą,
A duszę silną, wzniosłą, kochającą;
Twarz kwitnie zdrowiem, jaśnieje odwagą,
W każdym oddechu serdeczne gorąco,
Siła i urok w każdym piersi dźwięku,
Każdy ruch pełen i siły i wdzięku;
A na nim zbroja błyszcząca, husarska,
A pod nim konik rwie się, tańczy, parska,
Bystry, jak iskra, łagodny, jak jagnię,
Do każdej myśli rycerza się nagnie,
Jak małżonkowi uległa niewiasta.
Trzebaż go widzieć śród krwawej gonitwy,
Rycerza Anny! — Tam to on podrasta
Całą pięknością, całą zgrozą bitwy.
Tam to duch Anny buja, jak poeta.
Widzi go; sunie świetny, jak kometa,
Za nim huf jego, jak komety miotła,

Wtórzy ich krokom głuchy odgłos kotła;
A z drugiej strony ćma wrogów ponura,
Straszna, szumiąca, jak gradowa chmura.
Przez chwilę cichość — zagrzmiały okrzyki —
I w jeden obłok zmięszały się szyki,
W obłok, pokryty kurzawy całunem.
On tylko widny swej duszy ogromem,
Bojową chmurę rozpruwa piorunem —
Wróg się rozpryska, gdzie uderzy gromem,
Jak lekka woda pod upadkiem skały;
Gdzie zwróci okiem, gdzie pałaszem skinie,
W tę stronę ogrom jego wojska płynie,
Jak się za wiatrem toczą morskie wały.
Cały bój przy nim, cały bój przez niego,
Jak słup kurzawy koło wichru swego.

Takiego Anna tworzy sobie wiecznie,
Takiego tylko snami serca kocha.
Męża rycerza trzeba jej koniecznie,
Coś jak Czarniecki, gdyby młodszy trocha
I nieżonaty! — Ah! co to za szkoda!
Co to za szkoda, że jeszcze tak młoda,
Że o lat tyle na świat się spóźniła!
Pewnie już dzisiaj byłaby Czarniecką —
Ojciecby w córce witał hetmanowę.
Lecz ufność w Bogu — jest rycerzy siła...
Tak sobie marzy lube, puste dziecko,
Na jednem ręku pochylając głowę,
A drugą łapiąc w dziecinnej zabawie
Cienie, któremi gałązki brzozowe
Za falą wiatru biegają po trawie.

Baw się, o dziecię! przeczuwaj, prorokuj!
Nikt nie podejrzy, nikt tu nie podsłucha —
Dokoła ustroń zarosła i głucha;
Chyba wiatr błędny zamięsza jej spokój.

Było to miejsce za okopem zamku,
Nad brzegiem rzeki, na skały ułamku,
A wystrzelone w szczyt przykry, wysoki;
Kolczatym krzewem jeżyło swe boki,
A głowę w brzozy stroiło posępne;
Miejsce zaledwie dostępne dla kozy,
A co dla kozy, to Annie dostępne.
Baw się więc, dziecię; przeczuwaj, prorokuj!
Zniknęłaś światu w cieniach twojej brzozy.
Niełatwo w życiu o podobny spokój.
Kto wie, czy spotkasz kiedy taką chwilę,
W myślach sny takie, w sercu ciszy tyle!
Coś pieśń podobną szeptać jej musiało,
Bo tak używa zmysłami wszystkiemi
Czarów ustronia i duszą tak całą,
Że zapomniała o wszystkiem na ziemi.
Naraz od zamku głos hukania leci,
Za pierwszym idzie i drugi i trzeci,
A każdy coraz bliżej, silniej dzwoni;
Wkrótce jednemu kilka towarzyszy,
A wszystkie błądzą dokoła ustroni.
Anusia słucha, imię swoje słyszy,
Skała wyraźnem odbija je echem.
Znane to głosy, ale w ich rozdźwięku
Jest coś dziwnego, coś dziko złowieszcze.
Sercem Anusi wstrząsły trwogi dreszcze.
Zrywa się, zbiega ze skały z pośpiechem,
I już na służby zamkowej jest ręku.
A okrzyk wszystkich: do zamku, co żywo!
I w zamek bladzi, przestraszeni biegą.
Skąd ten strach nagły? Co to jest takiego?
Czy widzicie, tam! tę tłuszczę straszliwą
Co, jak noc czarna, wali się ku rzece?
Widzicie w ogniach całą okolicę?
To nowe bunty, nowa rzeź dokoła.
Chmielnicki znowu wzburzył wszystkie sioła;

Całą Ruś podniósł wicher hajdamaczy.
Za lada chwilę Nabrzeże osaczy
Szalonym tłumem rzezi i rabunku.
Godzina później — Anna bez ratunku
Mogłaby zginąć — ale, dzięki Bogu,
Już jest bezpieczna, już w zamkowym progu.
Niemarne były słowa wiernej służby,
Prędko się w pewność zmieniły jej wróżby.
Zaledwie wojski, żołnierz doświadczony,
Miał czas przyrządzić zamek do obrony,
Już tłum kozacki, jak rój rozdrażniony,
Snuł się i huczał wkrąg zamkowych szańców.
Nieliczna była załoga zammkowa,
Lecz bój nierówny dla niej rzecz nienowa —
Nieraz dowiodła tego z ćmą pohańców —
Zwłaszcza, gdy w sprawie wojski ma kierunek;
On równie dzielny głową i rękoma.
Zresztą, pokrzepi niebieski ratunek.
A więc na murach, jak mur, nieruchoma,
Niema i groźna, jak nabite działa,
Spokojnie chwili napadu czekała.
Cóż tam na wieży i w tym okna brzęku,
Że wszyscy patrzą przez chwilę w tę stronę,
A najgroźniejsze lica rozjaśnione?
Anna, ich dziecię, błysnęła w okienku.
Nad cały zamek podniesiona wieżą,
Owiana śnieżną, fałdzistą odzieżą,
Odmalowana na ciemnem tle ramek,
W blasku urody, w modłów zachwyceniu,
Podobna była świętemu zjawieniu,
Któreby brało w swą opiekę zamek.
Dąży ku niebu ręką i źrenicą,
Po chwili oczy i ręce w dół zniża,
Usta coś szepcą, dłoń robi znak krzyża
Nad służbą zamku! Blogosław, dziewico!
O błogosław im! bo bije godzina

Straszna, stanowcza — szturm się rozpoczyna.
Dziki, wyjący okrzyk poszedł tłuszczą,
Spisy pomknęły nieprzejrzaną puszczą,
Jak jeden człowiek, ruszył się tłum cały;
A wtem go gromy zamku powitały.
Anna skoczyła, zadrżała pobladła,
Zamknęła oczy i na klęczki padła.
Niejedno ona zna niebezpieczeństwo,
Lecz nigdy jeszcze nieprzyjaciół tyle
I śmierci w takiej nie widziała sile,
Nic więc dziwnego, że niewieście męstwo
Z młodego serca uciekło na chwilę.
Kiedy nanowo powieki otwarła,
Bitwa z całego ryczała już garła
Szczękiem żelaza, grzmotem samopałów,
Jękami śmierci, mordu okrzykami —
Wiła się żmiją naokoło wałów,
Zewsząd mur gryzła żelaznemi kłami,
Ale jej głowa i ciało olbrzymie
Ukryte oczom w kurzawie i dymie.
Podobny widok wędrowce ciekawi
Mają niekiedy na wysokiej górze,
Gdy jej wierzchołek w pogodzie się pławi,
A spód w nawalnej zatopi się chmurze:
Widok doliny ginie wtedy oku,
Chyba że piorun przedrze pierś obłoku.
Tak pod nogami Anny bitwa wrzała,
Dymem pokryta — a wrzała już długo,
Gdy na raz jeden zaryczały działa
I rozkroiły chmurę strzału smugą,
I pole walki na chwilę odkryły.
Ten strzał, jak wicher, w tył wroga odrzucił;
Ale po chwili urósł w nowe siły
I z podwojoną wściekłością powrócił:
Cały się teraz wytężył ku bramie.
Dzielne jest wojska zamkowego ramię,

Ale wróg także równy mu uporem,
A większy liczbą. Brama pod toporem
Jęczy, chwieje się, wkrótce się rozłamie.
Szczęściem, że Anna nie wie o tej trwodze:
Jej oko, jej myśl gdzieindziej zwrócone.
Za wsią, od wschodu, wstaje pył na drodze,
Toczy się szybko, prosto w zamku stronę;
Kiedy niekiedy strzelą z niego gwiazdy.
Zawisł nade wsią, po chwili, opadszy,
Odkrywa oku oddział zbrojnej jazdy.
Duszą, niż okiem, Anna więcej patrzy
I prawie pewna, że to oddział braci.
Dostrzegła nawet wodza ich postaci,
A na nim zbroja błyszcząca, husarska,
A pod nim konik tańczy, rwie się, parska.
Wtem wyskoczyło trzech jeźdźców z szeregu,
Każdy z nich do wsi inną stroną wpada;
Przebiegli wioskę w całym konia biegu
I powrócili — widać, że to zwiada.
Szyk się natychmiast rozłamał na troje
I różną drogę wziął każdy odłamek,
Lecz bliżej zamku każdy drogę swoję,
Choć z innej strony, skierował na zamek.
Anna do wodza oko swe przykuła,
Jej serce ciągle nad jego oddziałem.
Póki się droga gęstwiną wsi snuła,
Ten zastęp lekkim pomykał się cwałem,
Ciągnął się kosą komety jaskrawą;
Ale jak tylko na błoniu stanęli,
Co czystem polem wieś od zamku dzieli,
W jednej się chwili wyprężyli ławą,
Trąby i piersi wrzasły w przykre tony
I miecze spadły w tłum, szturmem zjuszony.
A w tejże chwili w odpowiedź zagrzmiały
Z dwóch stron przeciwnych dwa drugie oddziały
Tutaj zupełna zmiana w bitwy scenie:

Schwycona zewsząd za karki znienacka,
Struchlała zrazu tłuszcza hajdamacka,
Wydała głuche, urwane stęknienie,
Jak człowiek, nagłym ciosem ugodzony,
I od napadu przeszła w stan obrony.
Obrona trudna: tam, od murów strony,
Rzęsny, piekielny grad postrzałów siecze,
A tu, od pola, tną husarskie miecze.
Obrona trudna — ale jej konieczność
Zmieniła popłoch w rozpaczy waleczność,
A zaufanie w liczebną przewagę
Skrzepiło jeszcze na chwilę odwagę.
Bezsilna rozpacz, marne ich nadzieje!
Bo kędykolwiek tłum w obłok zgęstnieje,
Wódz polskiej jazdy z piorunem bułata,
Z wichrem konnicy we środek się ciska,
A obłok tłumu krwawym deszczem pryska
I mgłą na wszystkie strony się rozlata.
Darmo się koza między góry miecie,
Kiedy jej orzeł usiądzie na grzbiecie;
Wszelki tam opór na nic się nie przyda,
Gdzie raz husarska może dosiąć dzida.
Dawno już, dawno, jak sokół popłochu,
Nad chwiejącą się okrąża gromadą;
Upadł nakoniec w pośrodek motłochu
I rozproszył go, jak gołębie stado,
I gnał bez ładu, jak stado gołębie,
Przez lasy, pola i zbruczowe głębie.
Na bojowisku tylko martwe ciała,
Tylko pieśń jęku ponuro stękała —
Tylko zwycięstwem grzmiały zamku działa.
Anna, co z swego wzniosłego okienka
Widziała walkę, a teraz gonitwę,
Podnosi ręce, do modlitwy klęka;
Ale niepokój mięsza jej modlitwę
Myślą światową — — Ach! ona się lęka,

Może ta jazda, zamku zbawicielka,
Może nie wróci ze swojej pogoni;
A jej ciekawość, jej wdzięczność tak wielka!
Kto oni tacy? Jak tu przyszli oni?
A ich dowódca? To coś nadzwyczajne,
To coś takiego, jak sam święty Jerzy
Lub niezwalczony ruski wojewoda!
Ach! on uiścił wszystkie sny jej tajne,
On jest już dla niej rycerz nad rycerzy,
I onby od niej miał być niepoznany?
Niechże ją, Boże! nie spotka ta szkoda,
Boby z niej w sercu otwarły się rany.
Radość! on wraca tryumfalnym szykiem;
Surmy zwycięską pieśnią się ozwały,
Zamek radosnym odpowiedział krzykiem;
Pan wojski konno wyjechał przed wały
Na powitanie swych gości walecznych.
Krótkie rycerskie było powitanie:
Ściśnienie ręki, kilka słów serdecznych
Ze stron obydwóch — a więc i poznanie.
Jan — imię wodza, Zapłocki — nazwisko;
Pieczętuje się, od Lecha, Rawiczem;
Odwieczne jego rodziny siedlisko
Wielka włość Zapłot, leży nad Smotryczem.
Ta husarja, nieliczna, lecz chrobra,
A która swoim dowódcą go mieni,
Stanęła z własnej rodzica kieszeni
Dla pospolitej świętej sprawy dobra,
A przeznaczona panu Stefanowi,
Który do pułku swojego ją wcieli;
Bo wojewoda znany ich domowi
I nawet pono jest z nim w parenteli.
Traf tylko, ale traf błogosławiony —
Za co niech będzie chwała Najwyższemu —
O trwodze zamku dał wiadomość jemu
I wczas go jeszcze przywiódł dla obrony.

Teraz rad byłby, jak każe powinność,
Gościńcem swoim puścić się niezwłocznie.
Wszakże chce uczcić wojskiego gościnność
I przez chwil kilka na zamku odpocznie.
Tem chętniej na to przystaje, że rota
Po trudnej sprawie wytchnąć trochę musi;
A może nawet zgromiona hołota
Jeszcze się w zemście o zamek pokusi.
Bądź co bądź, w toku podobnej rozmowy
Wjechał nasz usarz na dworzec zamkowy.
Ujrzał kobiety na zamkowym ganku
I w tejże chwili znalazł się w ich wianku,
Gdzie słów serdecznych i łez wdzięcznych deszczem
Młodego zbawcę oblano nanowo.
Czegóż on zadrżał jakby trwogi dreszczem?
Ach! on zobaczył dziewicę zamkową...
Lecz zostawimy, co doświadczyć zawsze,
Co męską myślą wyobrazić snadno
Przed twarzą ładną, jak anielska, ładną;
Uczucie Anny jest dla nas ciekawsze.
Tam jej własnemi zajrzyjmy oczami.
To on! to ten sam! poznała odrazu,
Jak żeby żywcem wyjęty z obrazu,
Który tworzyła swej duszy barwami:
Postać dorodna, gibka, okazała,
W pogodnem oku rycerski żar pała,
A na dnie oka widać duszę nagą,
A duszę wzniosłą, tkliwą, kochającą;
Twarz kwitnie zdrowiem, jaśnieje odwagą,
W każdym oddechu serdeczne gorąco,
Siła i urok w każdym piersi dźwięku,
Każdy ruch pełen i siły i wdzięku;
Choć ma na zbroi plamę krwi niejedną,
Ta krew rycerskim wdziękiem go upiększa.
Lecz jego lica, to płoną, to bledną;
Bladość przemaga, coraz, coraz większa,

Blask oczu zmierzcha, chwieją się kolana...
»Matko! on ranny! on musi być ranny!«
Szepnęła matce Anna pomieszana.
Serce prorocze, serce, jak u Anny,
Przejrzało, zgadło przez zbroi powłokę:
On miał ran kilka, a rany głębokie.
Nie czuł ich zrazu na bojowem polu,
Potem czas jakiś gniótł je ducha siłą,
Lecz zapał zwolniał, a wnet żądło bolu
Przedłużyło się, w kolce najeżyło
Każdą krwi kroplą i w sercu utkwiło.
Darmo chciał młodzian boleść taką przemóc!
Nie znalazł siły — ze krwią upłynęła.
Już go ku ziemi pochylała niemoc,
Kiedy to Anna postrzegła, krzyknęła,
I bardziej, niżli ranny młodzian, zbladła.
Na ten krzyk pomoc ze wszech stron przypadła.
Tak się poczęło Anusi kochanie,
W ostrej boleści, lecz razem w otusze,
Co pocieszała tą myślą jej duszę:
Przynajmniej dłużej na zamku zostanie!
I wywróżyła, bo przez miesiąc cały
Rany porzucić zamku mu nie dały.
A przez ten miesiąc cały wiek miłości
Anna przeżyła — i we wzajemności — —
Długie to dzieje i niełatwa sprawa
Skreślić ich obraz, choćby nawet wierszem.
Jeśli z was która wiedzieć je ciekawa,
Niechaj kochaniem zakocha się pierwszem
I niechaj cały miesiąc w niem przeżyje,
A będzie mędrsza, niż przez rymy czyje.
Ale, niestety! te tygodni kilka
Przeszły kochankom, jakby rajska chwilka;
Za tym nastąpił drugi wiek kochania,
Ponury, jak noc, przeciągły, jak wieczność,
Wiek samotnego płaczu i wzdychania.

Rycerz wyzdrowiał. — Żołnierska konieczność
Na pola boju i chwały go wzywa.
Koń niecierpliwy bije w bruk podworca,
Wiatry igrają warkoczem proporca,
Zabrzmiała w pochód trąba przeraźliwa;
Skoczył na konia, łzą ku miłej błyska,
Zwraca ku bramie, w sto kopyt odrazu
O bruk uderza, daje ognia z głazu,
Zadzwonił echem o bramy sklepiska,
Jeszcze raz błysnął włóczniami setnemi,
Strzeliła droga obłokiem kurzawy
Na pożegnanie — za chwilę, za chwilę
Wszystko zagasło! Żadnej znikąd wrzawy,
Nie schwycisz jego śladu nawet w pyle;
Zniknął z przed oczu, jakby wpadł do ziemi.
I odtąd żadnej, żadnej o nim wieści,
Najmniejszej wieści od półtora roku.
I jak tu sercu zabronić boleści?
I jak tu można zatrzymać łzy w oku?
Jak się tu cieszyć? Chociażby jak chciała,
To nie potrafi: czkawka, słabość mała,
A nie stłumisz jej, gdy ci piersi naprze —
A zakochanie od czkawki nie słabsze.

II. MODLITWA WIECZORNA.

Już się zasuwał zmrokiem sklep niebieski:
Blaskiem zachodu błyszczy Zbrucza fala,
Wieczorna zorza oczy gwiazd zapala,
Gwiazdami okien błyszczy dwór nabrzeski.

Na głównej sali, przed Marji obrazem
Wojski, pan zamku, wojska, zamku matka,
Anna, ich córka, zamkowa czeladka
Według świętego, starego zwyczaju
Wieczorne modły odśpiewują razem.
A w każdej łezka dla niedoli kraju,
W każdej westchnienie o przytułek w raju
Tym, co polegli z bronią w boju chwili,
O szczęście w domu tym, co bój przeżyli.
Każda się kończy prośbą najgorętszą
O prędki pokój, o pokoju trwałość,
O podźwignienie ojczyzny, jej całość,
O lepsze czasy, o wiarę najświętszą.
  Jako gruchanie wdowy-gołębicy,
Śród wrzawy chóru ptaszego niesfornej,
Tak się wznosiła ku Bogarodzicy
Śród różnotonnej modlitwy wieczornej
Cicha pieśń serca zamkowej dziewicy.
W ciałku Anusi klęczą dwie postacie
I dwie się modlą: Polka i kobieta,
Ale modlitwa nic na tem nie traci.
Kwiatek jej serca w dwa listki rozkwita,
Dwa jej uczucia błyszczą w jednej tęczy,
Dwoma strunami pieśń jej duszy brzęczy,
Jej prośba we dwa skrzydła się rozwija,
Jak na dwóch skrzydłach, ku niebu się wzbija:
Kraj i kochanek swój tam udział mają.
Jedno drugiemu za zgodny wtór służy;
Za krajem usta głośno przemawiają,
Tęskny głos serca cichszym dźwiękiem wtórzy.
  »Nad ziemią naszą zlituj się, o Panie!«
Głośno powtarza modlące się koło;
Anusia także spuszcza w ziemię czoło
I sercem szepce: »Pamiętaj o Janie!«
  »Poległym za kraj wieczne, rajskie życie!«
Woła modlitwa w uroczystym hymnie;

A w piersiach Anny odzywa się skrycie:
»Wróć mi go żywym, jego raj jest przy mnie.«
»Pokój tej ziemi, Panie! pokój błogi!
»Cała już krwawą przesiąkła posoką.«
I łzą niejedno zapłynęło oko,
I wszystkie głowy pod obrazu nogi
Zgiął wiatr modlitwy. Pod jego powiewem,
Jak osiczyny zadrżało listeczek
Serce Anusi, wbiegło do usteczek
I rzewnym, dzikim zawołało śpiewem:
»Przez litość, Panie! mir sercu mojemu.
»Ale bez niego niema miru jemu.«
I zwolna, zwolna postawka jej drobna
Zgięła się czołem aż do zimnej cegły,
Dwie łzy wyjrzały, wprzód każda zosobna,
Potem się zlały i strumieniem zbiegły,
Jak żeby Bogu złożyły na ziemię
Całe nieznośne jej serduszka brzemię.
Która łza wtedy którą zagasiła?
Któż to odgadnie, kto tego dośledzi?
Cóżby nam wreszcie przyszło z tej spowiedzi?
Dosyć, że każda łzą miłości była.
Ledwo ucichła modlitwa wieczorna,
Ledwo powstała czeladka nadworna,
By na dzień przyszły wziąć pańskie rozkazy,
Gdy oto z pismem stanęło pacholę.
Pękła pod palcem pieczątka woskowa;
Pan wojski przebiegł okiem przez wyrazy.
Błysnęła radość na zoranem czole,
Podniósł ku niebu wzrok, ręce i słowa:
»Chwała bądź Tobie, nasz Królu przedwieczny!
»Nareszcie mamy pokój ostateczny.
»Przecież odetchnie i Rzeczpospolita!«
Zwracając potem mowę do czeladzi:
»Teraz na chwilę idźcie w Bogu radzi,
»Z wielką robotą jutro nam zawita,

»Bo z łaski Bożej spędzim je w zabawie.
»Co macie robić, później wam objawię.«
Skinął na czeladź, by go zostawiono,
A gdy sam tylko był z córką i żoną,
Rzekł: — »Mamy pokój i rycerstwo nasze
»Przeciąga tędy na zimowe leże.
»Są tam znajomi, a więc łatwo wierzę,
»Że o nabrzeskie zawadzą poddasze.
»Łaskawy cześnik uprzedza mnie o tem,
»A w swej dobroci niektórych wymienia,
»Co nas nie mają wyminąć z powrotem.«
Pan wojski gadał jakby od niechcenia,
Chodząc wzdłuż izby krokiem zamyślenia,
Lecz w jego myślach jest jakaś zagadka,
Bo na Anusię spozierał z ukradka
I uśmiechał się, jak dobroć, na boku.
Wielkie Anusi było pomieszanie.
Śmiała ciekawość siedziała na oku,
Już było w ustach śmiałe zapytanie,
Ale rozwaga wstrzymywała biedną.
O jej miłości nie wiedzą rodzice;
Gdyby spytała, to pytanie jedno
Mogłoby zdradzić całą tajemnicę.
A gdy jej lica płonęły, to bladły,
Oczy na oczy matczyne upadły
Mimo swej wiedzy; widać, że się zgadły,
Bo dobra matka rozmowę odmyka
I pyta męża: — »Czy pismo cześnika
»O panu Janie nic w sobie nie mieści?« —
— »Nie!« — rzekł pan wojski jakby od niechcenia.
»Rzecz jednak dziwna!« — po chwili milczenia
Zawołał, chodząc — »żadnej o nim wieści
»I od tak dawna!« — I znów się przechadzał
I siwe wąsy w milczeniu pogładzał.
Kiedy niekiedy błysły w stronę córki
Uśmiech, spojrzenie z brwi i wąsów chmurki.

Bóg wie, co wtedy z Anusią się działo;
Serce jej biło, a lice pałało.
Można to pojąć, lecz duszą kobiecą;
Ona wie, co to walka z tajemnicą,
W której los naszej miłości spoczywa,
Gdy ją na samem dnie serca trzymamy,
A ona ciągle wali wszystkie tamy
I na swą zgubę może się wyrywa.
Czy wojski widział ten kłopot dziewczyny,
Czy może nawet dośledził przyczyny,
Czy może pragnął bardziej ją zasmucić,
Czy mękę stanu nieznośnego skrócić —
Nic tego nie wiem — lecz z temi słowami
Stanął przed żoną: — »Mam wiele jejmości
»Mówić o jutrze — jutro mamy gości,
»Trzeba ich uczcić — więc zostaniem sami.«
A twarz Anusi ujął w szorstkie ręce,
Z tkliwą dobrocią w czoło pocałował,
Patrzał w nią chwilkę, jakby się lubował,
I rzekł, ściskając jej rączki dziecięce:
»Teraz Anusia, choć to trochę wcześnie,
»Da nam dobranoc i spać się układnie.
»A co jej miło, niech z tem igra we śnie,
»Aby nam jutro wyglądała ładnie.
»Pewien kawaler jutro tu przybędzie
»Rażny i zacny, mam go w wielkim względzie.
»Choć dotąd jeszcze nieznany Anusi
»Ani osobą, ani też nazwiskiem,
»Ma dla niej wiele czułego respektu
»I wzajemnego pragnąłby afektu.
»Chciałbym, żeby się podobał — i musi.«
Ostatnie słowo wymówił z przyciskiem,
Lecz je złagodził natychmiast nawiasem:
»Bo godzien tego.« — »Idź, córko! tymczasem
»Zdaję cię straży twojego anioła.«
I znów ją w środek pocałował czoła.

III. WRÓŻBY.

Choć to zuchwale i niemoralnie
Do drzwi panieńskich dybać omackiem
I okiem gorzej, niż świętokradzkiem,
Gwałcić bezpieczne dziewic sypialnie;
Chociaż to zbrodnia bezbożna śledzić
Tajnie nagiego całkiem serduszka,
O których nie ma prawa nikt wiedzieć,
Chyba anioł-stróż, chyba poduszka —
Że to poety jednak powinność,
Spełnijmy do dna tę szpetną czynność
I wyśpiewajmy przed ziemią całą,
Co się w komnacie Anusi działo,
Kiedy dobranoc ojca na czole,
A w sercu ciężkie przyniosła bole.
Warowny wieniec murów i szańców
Broni od przygód zamku mieszkańców,
A więc w komnacie okno otwarte.
Bliżej sad bujny trzyma jej wartę,
A jeszcze bliżej — tuż przed komnatą —
Krąży nietoperz ruchomą czatą.
Powietrze ciche, ciężkie i parne;
Zachód, odziany w obłoki czarne,
Ogromną burzę warzy w swem łonie.
Tłumem do okna cisną się wonie,
Dusze tych kwiatów, które deszcz zniszczy.
Uśpione wody dziko bełkocą,
O blizkiej burzy marzą proroczo.
Księżyc pół pełny rajskim dniem błyszczy;
Wprzódy, nim zgaśnie w bałwanach słoty,
Chce na świat wytrząść wszystkie klejnoty,
Jak okręt pewny swego rozbicia.

Wszystko gra tętnem szybszego życia,
Jak przed skonaniem serdeczne bicia.
Dusza też Anny, jak struna zgodna,
Odgrywa światu. Mowa łagodna
Rodzica Anny, jak błysk odległy,
Odkryła naraz jej duszy oku
Przyszłość w okropnym, czarnym obłoku,
Jako te chmury, co tam zaległy.
»Jak to? oddać mnie innemu?
»Mnie innemu przeznaczono?
»I ja mam powiedzieć jemu:
»Już nie będę twoją żoną!...«
Tu załamała drobniutkie dłonie;
Oddech się zaparł w ściśnionem łonie,
Po chwili buchnął łknieniem głębokiem,
Łzy się sypnęły błękitnem okiem;
Główka na piersi zwisła bez ruchu —
Stoi, jak posąg, — lecz nie na długo,
Dziewica ciałem, silny mąż w duchu.
Ją kołysali wojen kolczugą,
Wojna nuciła pieśń jej kołyski,
Jej pączek burze w kwiat rozdmuchały;
To i sprzecznego losu pociski
Mogły je zgłuszyć, lecz nie znękały.
Odważnym rzutem głowę podniosła,
Sprężystym ruchem, zda się, podrosła;
A choć lśnił w oczach klejnot niewieści,
Na czole jednak wyraz boleści
W surową marszczkę śród brwi się zmienia
I dziwne błyski krzesze z spojrzenia:
»Nie! o nie! po tysiąc razy.
»Święte są ojca rozkazy.
»Ale tu... to być nie może,
»Raczej na wieki w klasztorze!«
Jak zapisano to przedsięwzięcie?
Czy dyjamentem na dyjamencie?

Czy w blasku zorzy piórem motylka?
Czy śladem twego lotu, jaskółko?...
Któż to odgadnąć, kto stwierdzić może?
To tylko pewna, że razy kilka
W głos powtórzyła: »raczej w klasztorze!«
I po komnacie niejedno kółko
Kreśliła chodem szybkim, zawiłym;
Może się wymknąć myślom niemiłym,
Może wdzięczniejszą dogonić chciała?
Tak być musiało, bo wkrótce stała
Przy samem oknie i rozważała:
»Po co dzisiaj smutki, płacze?
»Po co się przed czasem dręczyć?
»Któż mi teraz może ręczyć,
»Że miłego nie zobaczę,
»Jutro, może dzisiaj jeszcze?
»Nie daj, Boże, być mi w błędzie,
»Ale jakieś szepty wieszcze
»Mówią mi: twój Jaś przybędzie,
»Tylko chwilę bądź cierpliwa.
»I sroka wróży to samo;
»Cały dzień skrzeczała sroka
»To w me okno, to nad bramą
»I sroka ma wzrok proroka.
»Cyt! nie onże to przybywa?«
Lekko, sprężyście w okno skoczyła!
Siada w niem, głowę o ramy wspiera,
W oko i ucho cała się zbiera,
Zmysły i duszę w zwiady wysyła.
A widok z okna szeroki, długi.
Bo zamek wyrósł w miejscu wysokiem
Nad samą rzeką, a brzeg jej drugi
Leżał doliną przed zamku okiem.
A księżyc blaskiem cudnym przyświeca,
Jak we dnie, wszystko, co wzrok dosięga;
Lśni wstęga rzeki, jak szlak księżyca;

Wprawo most leży, jak czarna pręga;
Od mostu drogi snują się jasno,
W różnych kierunkach ciemniejszem polem,
Coraz mniej widne, a wszystkie zgasną
W lesie, co naprost leży półkolem.
Nic się nie wymknie tutaj spojrzeniu
Te chatki nawet, co w oddaleniu
Świecą, jak duchy w białem odzieniu,
Ich światła nawet, co z lasów mroku
Tleją, jak gwiazdki na dnie obłoku.
A naokoło takie milczenie,
Że w rzece słychać rybki pluśnienie,
W lesie hukanie słychać zająca,
Słychać, jak ziemia oddycha śpiąca.
Ale jest, jest coś między tą głuszą.
Słyszy je ucho kochanki duszą.
Tam! w ciemnych lasów bezdennej dali
Z początku niby lasów szeptanie,
Znów niby tentent, niby brzęk stali,
Czasem się wzmaga, czasem ustanie.
Nagle wiatr powiał tłumnym hałasem,
A gwar przeciąga znaną jej drogą,
I coraz, coraz bliżej — tymczasem
Wszystko ucichło — niema nikogo.
Może nie słyszy, bo serce dzwoni
I pierś wzburzona szeleści w suknię.
Dziewczę się dąsa, serce ofuknie,
Krnąbrne bliźnięta ścisnęła w dłoni;
Daremne dąsy, daremne trudy —
Cicho, jak wprzódy, pusto, jak wprzódy.
Może też łezki wzrok przytępiały —
Więc łzy ostatnie ściągnęła chustką
I znów patrzyła — darmo kraj cały,
Jak leżał pustką, tak leży pustką.
Nie! to złudzenie ów gwar na drodze.
Przeczucie serca skłamało srodze.

Smutnie więc opadł głowy jej pączek,
Splotły się palce bezwładnych rączek,
I dumań rzewnych mglisty obłoczek
Zasępił myśli, zaćmił blask oczek.
»Trawka, snem główkę chyląca,
»Obok swej trawki spoczywa;
»W jasnym promyku miesiąca
»Rosa na rosę się zlewa;
»Listek całuje się z listkiem
»I śpią na jednym konarze;
»Miłość i szczęście we wszystkiem;
»Wszystko przechodzi świat w parze.
»A ja! ja tylko, ach! biedna!
»Młodość mą sama przechodzę,
»Zawsze i sama i jedna!
»Biada mnie! biada niebodze!
»O Jasiu! co ci się stało?
»Tylu już popowracało!...
»Czy go złe spotkało w drodze?
»Może koń nogę wywinął?...
»Lecz tyle koni na świecie,
»Mógł zdrowego dostać przecie!
»Może jechał i pominął — —
»Może już przejechał?
»Może mię zaniechał?...«
Ta myśl przeszyła duszę, jak strzałem,
Dreszcz mimowolny zatrząsł mdłem ciałem,
Przestrachem serca źrenica błysła,
Stanęła prosto główka zawisła:
»Nie! nie! temu nie uwierzę,
»On mię miłował tak szczerze!
»On taki dobry, jak dziecko.
»Onby nie mógł tak zdradziecko
»Gubić niewinnej dziewczyny,
»Bo Bóg wie, że nie mam winy.
»Chyba, że przy pożegnaniu

»Bałam się dać mu całunka.
»A jednak... moja piastunka
»Gadała mi, że w kochaniu
»Można zmienić się czasami
»To przez długie niewidzenie,
»To przez wielkie oddalenie.
»Zresztą kobiet tysiącami
»Stoi w drodze żołnierzowi.
»Żołnierza każda się czepi.
»Co ja roję? co ja roję?
»Lecz jak przegnać troski moje?
»Ha! mój poeta najlepiej
»Wszystko mi zaraz wypowie.«
I sporą książkę dobyła z łóżka*),
Dar pana Jana, nieco zużyty
Widać, że częsta bywała wróżka,
Przeto starannie podwiązką zwity;
Przycisnęła ją do serca silnie
I rzekła z prośbą: »Mój wieszczu wdzięczny,
»Powróż mi dzisiaj, tylko przychylnie.
»A ty świeć jasno, blasku miesięczny!«
W końcu dodała: »Dla niego pierwsza.«
Potem przez chwilę ma oko zwarte,
Potem je spuszcza nagle na kartę
I od takiego zaczyna wiersza:
»Już to próżno, mój ukochany, przyznać się muszę,
»Zraniłeś mi niepomału serce i duszę,
»A nie dałeś mi pociechy inszej w chorobie,
»Tylko tę, że ustawicznie myślę o tobie.«
»Kocha mnie, kocha, o! zawsze kocha!«
Woła radośnie, rękami kleszcze;
I taka była radość jej płocha,
Że całowała poezje wieszcze.
»A teraz dla mnie« rzecze do siebie.

*) Sielanki Zimorowicza.

Podnosi oczy, trzyma je w niebie,
Nagle naoślep książkę odmyka,
Spuszcza wzrok i te rymy spotyka:
»Do ciebie ja przez morze łez mych nie przybędę,
»Choć w okręt, z strzał serdecznych zbudowany, wsiędę,
»Choć Kupido na żagle da mi skrzydła swoje,
»Chociaż Wenus sterować będzie nawę moję.
»Bo wiatr mego wzdychania tak poburzył wody
»I żal mój nagły takie wzbudził niepogody,
»Że niżeli na drugą nadziei mej stronę
»Przyjadę, we łzach własnych, nieszczęsna, utonę...«
Pobladła — czytać dłużej niezdolna;
Książka się z ręki wysuwa zwolna
I pada u nóg. Pierś żalem rośnie,
Płacz ściąga usta, powieki łechce:
»Nie chcę ja tej wróżby, nie chcę!
»To okrutnie, bezlitośnie
»Straszyć serce taką brednią.
»Zmyślasz, zmyślasz, przepowiednio!
»Ale to druga dopiero,
»A między wróżbami dwiema
»Jeszcze żadnej prawdy niema,
»Trzecia zwykle bywa szczera.«
Grożne to bóstwo ta losów skrytość,
A jednak pełne dziwnego wdzięku:
Może śmierć zadać jego nielitość,
Ale i życie ma w swoim ręku;
Z trwogą ku niemu człowiek pogląda,
Jednak je kocha i pojąć żąda.
Z taką to dziwną trwogą, rozkoszą
Nową cześć jemu Anna gotuje;
Ręce ku niebu prośbą się wznoszą,
Spojrzenie w kolej gwiazd zapytuje
O najłaskawszą dla wróżby chwilę.
A niebo wielkie, gwiazd na niem tyle!
Więc przy księżycu jednę wybrała.

Właśnie szła na nią chmureczka mała;
Jak ta chmureczka tę gwiazdkę minie,
Wtenczas prorocze karty rozwinie.
Chmurka nadeszła, gwiazdka zniknęła,
Zwolna mgły kłębek, zwolna się toczy,
Pierś mocniej bije, latają oczy —
Chmurka przechodzi, gwiazdka błysnęła.
A oko padło na rym proroczy:
»Oto ja dzisiaj śmiertelną zasłonę
»Ciała grubego złożywszy na stronę
»Dziwnym a nie ladajakim
»Pójdę na powietrze ptakiem.«
Tu Anna w nowej uwięzła trosce.
Wróżba tak ciemna, zda się, dziwaczy.
A więc nanowo, głoska po głosce,
Czyta proroctwo, bada, tłumaczy.
I nigdy końca nitki nie schwyci,
A trzeba gwałtem końca tej nici!
Wszak to ostatnie kabały słowa.
Jasna tu wprawdzie o locie mowa,
Ale czy można, by ludzkie ciało
Bez piór, bez skrzydeł, jak ptak, latało?
Czemuż nie? Widać, że to być może,
Kiedy aż w książce tak napisano.
Nieogarnione są sprawy Boże!
Tyle już cudów nieraz widziano,
Czemużby Annie latać nie dano?
Annie do tego wiele nie trzeba:
Ona, jak tańczy, nie czuje nóżki,
Ona tak lekka, taka niewielka,
Lada skrzydełko, choćby wróbelka,
Choćby nadwodnej babki, choć muszki,
A, jak skowronek, pójdzie pod nieba.
Co to za szczęście! Pory dopadłszy,
Kiedy nikt w zamku na nią nie patrzy
Ona na okno i prrr —! w powietrze:

Rzuca za sobą ptaszki najletsze,
Niepostrzeżona, świat przepatruje;
Już wtedy Jasia nic nie zakryje,
Znajdzie go pewnie — jak raz znajduje,
Spuszcza się prosto na jego szyję,
Tysiąc go razy ściska, całuje.
Nie, nie całuje — możeby zblizka
Stał kto i patrzył — przynajmniej ściska.
Lecz jej gadano, niema w zwyczaju,
Nawet nieskromnie samej kobiecie
Biegać i szukać gacha po świecie —
Potem, jak znaleźć w tak wielkim kraju?
A potem, nuż się przed ojcem wyda!
Byłaby bieda — a gorsza bieda,
Nuż ją w powietrzu jastrząb napadnie!
Nie, tak nie można — strach i niełądnie.
A jednak trzeba temu poradzić.
Cóż robić?... Oto Jasia sprowadzić.
Czyż nie słyszała od swej Justyny,
Jak raz kochanka czary dziewczyny
Niosły z Warszawy do Ukrainy?
Ślicznie —! Dziś jeszcze, tego wieczora
Jasio, rad nie rad, przylecieć musi;
Dziś jeszcze musi być przy Anusi!
Anna, w pomysłach i czynach skora,
Co zamarzyła, to wnet wykona.
A jak wykona, rzecz ułożona.
Nadzieja w czarach i jej Justynie —
Teraz o pośpiech idzie jedynie.
Zwykły więc ubiór odrzuca szybko,
Tylko spódniczki lotnej tasiemka
Objęła silnie postawę gibką;
Piersi na chwilę błysły z zaciemka
Fałdzistych osłon, co nagle spadły,
Lecz w chmurkę gazy wnet się układły.
Prędko z nóg poszły trzewik, pończoszka,

Natomiast bucik, szyciem ozdobny,
Przylgnął mięciutko do nóżki drobnej.
Czapeczka w czworgran, na bakier troszka,
Siadła na głowie — zpod niej obficie
Falą kędziorów ciemny włos bije
Na białe plecy, piersi i szyję.
I ostateczne zwierzchnie pokrycie,
Kontusik, ciepły miękkiem futerkiem,
Zawisł na srebrnym z ramion kutasie.
Cudnie ten ubiór przystał jej krasie,
Więc chwilkę jeszcze radzi z lusterkiem,
Chociaż przy tępym księżyca blasku;
Potem, jak sarna, przez okno śmiga,
Przemyka, jak blask, po ciemnym lasku,
Z przykrego brzegu, jak kamyk, zbiega
I już nad Zbruczem — tu chwilkę stanie,
Tu krótkie między myślami chwianie:
Czy iść mostem, czy wodą brnąć?
Woda chłodna i zamoczy,
Lecz na moście nuż kto zoczy?
Stanęło na tem: bądź co bądź
Lepiej przez wodę znajomym brodem;
A bród pod samym leżał ogrodem.
I w mgnieniu oka buciki w ręku.
Nowa przeciwność! oto potrzeba
Ugiąć spódniczki — więc pomaleńku
To uginała, to wkrąg patrzała;
Próżna obawa — śpi ziemia cała.
Oko od ziemi biegło przez nieba,
Waha się chwilkę — księżyc na niebie —
Mniejsza o księżyc — co on tam znaczy!
On tak wysoko, nic nie zobaczy.
A choć zobaczy, schowa u siebie!
Zatem brnie śmiało bez żadnej szkody,
Chyba że czasem swawolne wody
Zuchwale w białe cmoknęły udka.

Teraz, jak pianka, prysnęła z rzeki,
Obtarła nóżki, wzuła buciki
I dalej pędzi, jak wiatr, leciutka.
O! nie szczędź, Anno, twej stopki chyżej,
Bo chmura coraz wznosi się wyżej,
A groźne jutro co chwila bliżej.

IV. CHATKA NA KURZEJ NOŻCE.

Pod zachodniem okiem zamku leżało Zazbrucze;
Jego pierwszy wschód kobiercem z łąk i niw zasłany,
A kobierca jedną stronę zbruczowy nurt płócze,
Drugą lasu rozległego ocieniają ściany.
Na granicznej między lasem i polem krawędzi,
Przy dróg węźle, z których główna w nabrzeski most [mierzy,
Stary, szczupły, lecz chędogi, Justyny dom leży.
O tej chatce i mieszkance gmin dziwa gawędzi.
Rzucić mów tych w twarz Justyny nikt się nie ośmieli,
Ale dla wsi wieść pokątna już wiarą się stała,
Że przedniejszej czarownicy nie znajdzie Ruś cała;
Są świadkowie, którzy nawet jej ogon widzieli.
Że jej dotąd nie spławiono, jak innych wiedźm tyle,
To opiece pana zamku jest winna jedynie,
Bo piastunką kiedyś była przy jego dziecinie,
A najwięcej pono winna szatańskich sztuk sile.
Że jest w niej coś niedobrego, to świadczy jej chata.
Stoi ona, jak nagrobek wisielca, osobno,
Przy rozdrożu, pod mogiłą tatarską podobno;
W gruszkę, która nad nią rośnie, grom bije co lata.
I mieszkanie i mieszkanka dobrały się w parę;

I mieszkanie, jak mieszkanka, pochyłe i stare —
I mieszkanie, jak mieszkanka, jest ludziom straszydło.
Gdyby nie opieka boru, pod którym usiadło,
Jak się tuli słabe kurczę pod matki swej skrzydło,
Jużby nieraz, jużby dawno z wiatrami upadło.
Nie szczęściło się w tej chatce długo żadnej duszy!
Jej ostatni dziedzic skończył swój żywot na gruszy.
Mówią, że stawiana była z złym duchem w umowie
I że była założona na poczciwych głowie.
Ale swój zna swego — djabeł nie robi nic wróżce.
Oto chatka, którą wszyscy zwą na kurzej nóżce.
Ku tej to chatce szybko przemyka dziewica
Wązką ścieżką pomiędzy zbożami bujnemi.
Z niebios posępnem światłem księżyc jej przyświeca,
A rosa gwiazdy swoje sypie jej po ziemi.
O! pośpieszaj, korzystaj z pogodnego czasu,
Bo obłok coraz gęstszy występuje z lasu,
Jak oddech zakopcony jego piersi czarnych.
Ponura otchłań borów szumi uroczyście;
Wiatr przegania w powiewach to chłodnych, to parnych,
Obłamuje gałęzie, pędzi stadem liście;
Gwiazdy, jedne po drugich, gasną na niebiosach;
Rosa, kropla za kroplą, stacza się po kłosach;
Wszystko ci zapowiada blizkiej burzy przyjście.
Śpiesz się, jak możesz. Ha! dzięki Bogu,
Już ot! i chatka, już jest przy progu.
Dokoła głucho, w okienkach ciemno.
Anna poczuła trwogę tajemną:
Chce klamkę ująć, nie włada ręką —
I chce i nie śmie puknąć w okienko.
Gdzie krokiem ruszy, niepokój chwyta,
Stoi przez chwilę w miejscu, jak wryta,
Serce uderza gwałtowniej coraz.
Anna się modli, żegna raz po raz.
Ani się można dziwić niebodze
Jej niepewności, jej nagłej trwodze!

Po tak niezwykłej a ciemnej drodze
Nie jest bezpiecznie puszczać się z płocha.
Czuje to Anna. Prawda, że Justynę kocha,
Że, jak własne swe dziecię, kocha ją Justyna
Od czasu, kiedy była przy niej ochmistrzynią,
Lecz ją ludzie o przyjaźń ze złym duchem winią.
Nie całkiem temu wierzy poczciwa dziewczyna,
Bo złość języków wielka, ale wierzy mocno,
Że się czasem sprawami tajemnemi bawi.
A nużby teraz wpadła w jaką schadzkę nocną?
Takie przeszkody trwoga Annie stawi.
Lecz anioł-stróż miłości skrzepił myśl zwątpiałą —
Wszak to jej losy od tej zawisły godziny!
Ha! niechaj, co chce, będzie, wejdzie do Justyny.
Zapukała w okno śmiało.
— »Kto tam?« —
— »Babuniu!«
— »Kto tam?« —
— »To ja, babko!
Otwórz mi tylko.« —
— »W imię i Ojca i Syna!...
Co widzę? A to moja kochana dziecina!
O tej porze — w mej chatce! Cóż to za przyczyna?
Jak ty się wzięła tutaj? Czy deszczową żabką
Zleciałaś z jakiej chmurki? Czy w rosy kropelce
Spłynęłaś z oczka zorzy? W tej porze, w mej chatce?
Mów! czy jakie nieszczęście grozi?«
— »O, i wielce!«
— »O, Boże mocny, komu? tobie? ojcu? matce?
Mów, powiedz, ja tymczasem kaganek zapalę.«
— »O, opowiem, ale, babko, czy sami jesteście?«
— »A któżby miał być ze mną? Lat temu dwadzieście
Może... może! lecz dzisiaj sama, jasny mój krysztale!«
— »To nie palcie kaganka.« — Trzeba jej, jak widać,
Do otwartszych wynurzeń, aby było ciemno.
— »Babko! strąszne nieszczęście zawisło nade mną.

Czy uwierzysz? mój ojciec chce mnie za mąż wydać!«
Justyna się zaśmiała: — »Tyleżby nieszczęścia!
Toż my się, moje dziecię, rodzim dla zamęścia.« —
— »Ale to ma być jutro!« — »Tem lepiej.« — »Tem gorzej,
Bo nie znam tego pana.« — »Niech cię to nie trwoży.
Twój ojciec człowiek mądry i kocha cię szczerze,
Nie zawiąże ci świata, godnego wybierze.«
— »Ah! ja wiem, jakem miła rodzicom kochanym,
Lecz pewno ich wybrany nie jest mym wybranym.
Babko moja! jak księdzu, tobie się spowiadam:
Ja już kocham innego. Wszystko ci wygadam,
Muszę wszystko wygadać — tyś taka kochana!...
Wy znacie pana Jana — kocham pana Jana.« —
Nie mogła mówić dłużej — korzysta z zręczności
Justyna i przemawia: — »To, źle, moje dziecię.
Znam tego pana Jana, godzien on miłości;
Ale kto ma rodziców, nie kocha się skrycie.«
— »To prawda, babko moja, żem bardzo zgrzeszyła,
Nie miłością, ta miłość nic grzesznego nie ma;
Zgrzeszyłam, żem ją kryła przed mamy oczyma;
Zgrzeszyłam, żem się mojej miłości wstydziła.
Ale jutro, o! jutro wszystko wszystkim powiem,
Choćbym tego przypłacić miała mojem zdrowiem
I dla tego przybiegam poradzić się ciebie.
Tyś mię wykołysała, tyś mię wypieściła,
Tyś dla mnie drugą matką, jam ci córką była;
Tyś mi nie odmówiła w żadnej mej potrzebie,
Ratuj mię, ach! zlituj się, jak nad własną córką«
— »Uspokój się, uspokój, o moja przepiórko!
Wszystko może pójść lepiej, niż się tobie roi;
Powiedz tylko, w czem takiem chcesz pomocy mojej.«
— »Chcę widzieć mego Jana — ja go widzieć muszę.«
— »A cóż ja, moje dziecię, mogę w tem poradzić?«
— »Możesz, możesz, Justyno! możesz go sprowadzić.
Ja muszę z nim się widzieć, trzeba go sprowadzić,
Gdziekolwiek jest, jaki jest, choćby jego duszę.

Jeśli tego nie zrobisz, ja sobie coś zrobię.«
— »Ja nie Bóg, moje dziecię, pomiarkuj to sobie».
— »Myślałam o tem długo i chcę tego śmiele —
Justyno! są sposoby — ty wiesz o tem wiele —
Mówiłaś mi to nieraz, jak oczarowany,
Rad nierad, musiał lecieć do swojej kochanej.«
— »Pomyśl, mój klejnociku! to są strachy srogie.
To się nie dzieje świętą chrześcijańską siłą!
Znajdzie człowieka, gdzie jest, choćby pod mogiłą,
Choćby był na kawałki drobne posiekany,
Napół zgniły, i Bóg wie gdzie, porozrzucany,
Ta moc znajdzie go wszędzie, pozbiera go wszędzie
I tutaj przed oczami rzucać go nam będzie.«
— »Umrzeć z strachu, czy z żalu — mnie to wszystko jedno.
Jeżeli dzisiaj z niczem odprawisz mię biedną,
Już mi nie może stać się nic gorszego.«
— »Kiedyż chcesz widzieć kochanka twojego?«
— »Dla mnie śmierć każda godzina bez niego.
Muszę go mieć przed jutrem, w godzinę, za chwilę.«
— »Kiedy już tak chcesz koniecznie,
Zrobię, co będzie w mej sile.
Stanie się po twojej woli,« —
Wyrzekła czarownica poważnie, powoli
— »Ale pamiętaj, że to niebezpiecznie!«

Po ciemku toczyła się cała ta rozmowa;
Cisza, równie jak ciemność, była tam grobowa,
Tylko niekiedy wiatrów silniejsze podmuchy
Biły w chatkę, jak w duszę czarne pokus duchy.
Lecz kiedy wróżka słowa ostatnie wyrzekła,
Błysnęła taka jasna, długa błyskawica,
Żeś widział przy jej blasku, czy z grobów, czy piekła,
Nietylko wnętrze chatki, ale wróżki lica,
A na nich, pod bladością zieloną, grobową,
W taki uśmiech zamarłe ostatnie jej słowo,
Że Anna drgnęła cała mimowolnem drgnieniem,

Jakby przed nadzwyczajnem, nieludzkiem widzeniem.
Błyskawica zagasła — a głos czarownicy,
Znów wolny, uroczysty, tak brzmiał do dziewicy:
— »Zostawiam ciebie samą tu na chwilę.
Ja na mogiłę pójdę — na mogile
Dobrych znajomych duchów się poradzę,
Wezwę ich, by nam pomogły, służyły,
Bo praca ciężka, nad człowiecze siły.
Kto tego nie ma pilnie na uwadze,
Może i głową i duszą nałożyć,
A zamiast dobra, biedę i śmierć pożyć.
Odchodzę — a ty nie trać na odwadze.«
Była to chwila ważna, trudna do przebycia
Ta chwila samotności — próba to niezwykła.
Odwaga Anny wielka, lecz na chwilę znikła.
Nie znała Anna nigdy takiego krwi bicia
W skroniach rozpłomienionych, w piersi wzdętych tętnic.
Wszystkie myśli, uczucia wzburzyły się mętnie,
Walczą wzajemnie, jedne przez drugie się walą —
Tu się w dym rozściełają, tam się ogniem palą.
Wnętrze Anny w tej chwili jak pole bojowe,
Gdzie obie strony w jednym pomięszano tłumie,
A pokonana nie wie, jak unieść swą głowę,
A zwycięzka korzystać z wygranej nie umie.
Jej przedsięwzięcie stoi już w progu ziszczenia.
Gasną jedne po drugich ponęty, marzenia,
A rzeczywistość czynu coraz to wyraźniej
Wysuwa groźną postać przed wzrok wyobraźni —
Duchową swoją grozę ubiera, jak w ciało,
We wszystko, co podówczas Annę otaczało.
Ta gruba, gęsta ciemność, zamknięta w ścian cztery,
To obraz wnętrza grobu, obraz trumny szczery;
Ten tam kot, co iskrami spojrzeń swych przyświeca,
Ten świerszcz, co tak żałobnie ćwierka tam z pod pieca,
Są jak światło, jak odgłos z drugiego gdzieś świata.
Zechce wyjrzeć przez okno — okropność niemniejsza.

Niebo coraz chmurniejsze, a ziemia czarniejsza;
Wicher, jak wściekły, wyje, wkoło ścian oblata.
Strach już znany powraca, Anna nie wytrzyma,
Chce wszystkiego zaniechać — jużby wyszła rada,
Już się ku drzwiom obraca i siły dość nie ma.
Nie wie, co z sobą robić — na chwilę usiada —
A w tejże chwili jakaś krzepi ją otucha:
Jakieś głosy ją doszły, wytęża się, słucha — —
Czy to głosy z mogiły, czy też ze stajenki,
Co u spodu mogiły w tyle chatki stoi?
Bądź jak bądź one krzepią, są to życia dźwięki.
Raz niby koń zaparska, znowu jak brzęk zbroi,
Znów kilka głosów ludzkich — rozmowa niemylnie —
Zdawało się jej nawet słyszeć głos Justyny,
A nawet — nawet, kiedy wytęży słuch pilnie,
Słyszy — tak jest — kochanka! O Boże jedyny!
Prawdaż to czy złudzenie? Gdy tak myśli jeszcze,
Ozwał się niby chichot, ale tak niemiły,
Że ją całą przeniknął jakby coś złowieszcze.
Nie słyszy już nic więcej. Głosy jakieś były,
Ale wiatr nieustanny tak zakłócał lasem,
Z takim dokoła chatki okrążał hałasem,
W tak rozmaite głosy brzęczał, gwizdał, szumiał,
Tak je wzajemnie mięszał i wzajemnie stłumiał,
Że najbystrzejsze ucho ludzkie nie dociecze,
Sąli to głosy wichrów, duchów, lub człowiecze.
  Anna ich nie uważa za czcze przywidzenia.
Spomniała na ostatnie czarownicy słowa,
I myśl, zrazu wątpliwa, w pewność się zamienia,
Że to jest zasłyszana z duchami rozmowa.
Taka pewność na chwilę zwiększa wnętrzną walkę:
Z jednej strony strach w oczy zaziera natrętniej,
Z drugiej obraz kochanka stawi się ponętniej
I ojcowska zapowiedź w duszy groźbą tętni.
Trzeba tu rzucić wolę stanowczą na szalkę.
Rzuciła ją nakoniec — postawi na swojem.

Jak się na to zdobyła? Sama tego nie wie;
Jej siła nie jej własna, wszystko w niej rozstrojem —
Krew żarem się przelewa i wewnątrz zarzewie,
Które ją chmurzy jakimś dymnym niepokojem,
Co zwiastuje skończenie na strasznym wybuchu.
Gorączka w każdej myśli i w każdym jej ruchu.
Niedość postanowienia — ona więcej zrobi,
Ona spełnienie jego przyśpieszy, rozpocznie
I do sprawy nieczystej, co wie, przysposobi;
Więc do zrobienia ognia bierze się niezwłocznie.
Wnętrze tej chatki dobrze było jej wiadome;
Wiedziała, gdzie łuczywo do podpału leży;
W przypiecku pod popiołem znalazła żar świeży,
Rozdmuchała go lepiej, zawinęła w słomę,
Którą po prostu z łóżka baby wysmyknęła;
Węglem tak obwiniętym tu i tam machnęła.
Zaiskrzyło się w słomie, wkrótce zadymiło;
Dym coraz gęstszy, bielszy — naraz zapałało,
Rumiany połysk oblał ścianę chatki białą,
Ciemność pierzchnęła — Annie raźniej się zrobiło.
Zapaliła łuczywo, łuczywem kaganek,
Z pod pieca kilka suchych dobyła polanek,
W ognisko je porządne ułożyła szybko,
Dodała słomy, smolną podpaliła szczepką:
Trzeszczą, piszczą i syczą niedoschłe polana —
Anna je tchem różowych ustek swych poddyma.
Ognisko się zajęło, gore, jak powinno;
Więc rada, siada spocząć, zgrzana i zdyszana.
Chciałaby już Justyny — a Justyny niema.
Niecierpliwa, nie może pozostać bezczynną,
Więc z kądzieli, co tkwiła w ławie u przypiecka,
Smyka kłaków, dwie ludzkie robi z nich postawki
— Znana to u nas wróżka, igraszka dla dziecka,
Ale Anna robi to nie dla czczej zabawki —
Jednej swoje, a drugiej Jana daje miano,
Stawi je blizko siebie w przypiecku, pod ścianą,

Skupia myśl, szczerze westchnie, zaczem je zapali.
Jeśli, gorejąc, jedna na drugą się zwali,
To ślub małżeński złączy miłosne płomienie,
Lecz jeśli na przeciwne strony padną obie,
Zły to znak, zapowiada wieczne rozłączenie.
I już płoną, już zwolna chylą się ku sobie;
Przeciąg wiatru powionął, kukły się rozbiegły
I tlejące, opodal od siebie poległy.
Anna stanęła w zasępieniu cichem,
A za nią w drzwiach otwartych Justyna ze śmiechem.

V. CZARY.

Anusia nie ma ni czasu, ni chęci
Trapić się smutną kukieł przepowiednią;
Jej rozwiązanie stanęło tuż przed nią.
Wkrótce zmysłami dotknie, co się święci
I czasby wybrnąć z tylu niepokoi,
A wprost do tego przystąpić się boi.
— »Kochana babko! długo was nie było.
Na dworze straszno, tu było tak ciemno,
Już mi się samej, Bóg wie co, roiło,
Zrobiłam ogień.« — »I nie nadaremno« —
Rzekła Justyna poważnym znów głosem;
A spozierając badawczym ukosem:
— »Boisz się, Anno?« — »O, już się przebałam...
Widzenie wasze długo się ciągnęło.«
— »Prawda, że długo — bo też ważne dzieło.
Niejeden tam był, nie z jednym gadałam.
Za to pośpieszym — ogień bujny gore...

Cały świat czarny w chmurach, jak w całunie.
Za chwilę może deszcz, jak z wiadra, lunie.
Będziem się śpieszyć — dobrą mamy porę.« —
— »A więc?« — »Stanie ci się, dziecię, jak żądasz;
Nim północ minie, kochanka oglądasz,
Ujrzysz go tutaj i z duszą i z ciałem,
Z koniem i w jego uzbrojeniu całem,
Jeśli złe gorsze nie pomiesza sprawy.« —
Jeszcze raz wszystkie tłumione obawy
Ostatnim szturmem w Annę uderzyły;
Chciała już spytać, czy w tem grzechu niema?
Grzech nie dopuścił, skrępował jej siły;
Ogień gorączki błyskał jej oczyma.
Wróżka raz jeszcze: — »Boisz się?« — spytała.
— »Rób, matko, swoje — nie będę się bała.«
— »Krzepże się, córko! straszno wdać się w czary.
Czy masz przy sobie jakie miłe dary?« —
Anna spłonęła. — »Kilka pamiąteczek.« —
— »Pokaż je.« — Anna dobyła woreczek
Spory, związany tasiemką szkaplerza:
Wróżka dar każdy widzieć, dotknąć musi,
Co każdy znaczy, pyta się Anusi.
— »Ten kawał blaszki to z jego pancerza;
Z jego proporca ten kawał kitajki;
Te kwiatki suche to niezapominajki;
Ta rdzawa sprzączka z jego nakolanka;
Ten strzępek piórka z jego orlich skrzydeł;
Ten listek... rzucił raz na mnie tym listkiem...«
Wróżka zabiera woreczek ze wszystkiem,
Bo dary w czarach mają własność sideł:
Nęcą, chwytają i więżą kochanka.

Lecz tego niedość do skutecznych czarów;
Potrzeba jeszcze tych miłosnych darów,
Któreby były żywą częścią ciała.
Anna zapaśna — a więc wydostała
Z pod lewej piersi złoty medaljonik.

— »To jego włosy, a tę notabenkę
Sam robił, sam mi na palec ją wkładał,
Kiedy pod siodłem rżał już jego konik —
Dotąd w mej ręce czuję jego rękę.
Ażeby o nim, smutnie mi powiadał,
Myśleć dzień i noc, myśleć nieustannie.« —
Wróżka pierścionek oddała znów Annie,
A tylko włosy kochanego wzięła.
— »Mamy już wszystko, co trzeba, do dzieła.
Ja robotę moją zacznę.
A ty przez okno powietrza badaj,
Każdą zmianę zważaj bacznie
I co zobaczysz, powiadaj.« —
Anna, posłuszna wróżki poleceniu,
Idzie do okna, kwaterkę uchyla.
Skupia się w myśli, zmysł wzroku wysila,
Oko jej tonie w powszechnem oćmieniu.
— »Ciemno, straszno tam na dworze!
Okropnie szumi po borze.
Do jednej pogasły zorze.
Cały świat jak jedna chmura,
Jak piekło, czarna, ponura;
Cały świat jak piekieł morze.« —
Pod ten czas wróżka bierze nowy garnek,
A dno i boki garnka wyściela
Suchą wiązanką święconej bylicy.
Potem trzy razy po dziewięć ziarnek
Sypnęła nasion nieznanego ziela,
Wkłada woreczek pamiątek dziewicy —
Szepce nad garnkiem, na ziemię spluwa...
A Anna okiem u okna czuwa,
Każdą odmianę powietrza bada,
I, jak czuje, opowiada:
— »Coraz straszniej, coraz gorzej!
Bór chwilę milczy ponuro,
Grzmot daleki jedzie chmurą,

Błyska, jak gniewny wzrok Boży.
Światło z okna się wykrada,
Na poblizkie krzaki pada —
Krzak posępnie głową kiwa,
Łza z każdego listka spływa,
Ale stoi, jak przykuty,
Jak dusza w miejscu pokuty:
Chciałby wejść tu i nie może!
Coraz straszniej tam na dworze.« —
A wróżka dzieła swego nie przerywa.
Garnek do wierzchu wodą nalewa,
Spodnią od chleba skórką go zasklepia,
Cały wierzch szczelnie gliną oblepia...
Dziwnemi słowy zcicha przemawia,
A na głos Anny ucha nadstawia.
— »Grzmoty bliższe i groźniejsze,
Błyski częstsze i jaśniejsze.
Ustały — dziksze milczenie
I czarniejsze nocy cienie.
Czasem słyszę wichru świsty,
Deszcz poczyna bić kropisty.« —
Wróżka w tej chwili w piecu poprawia,
Rozgarnia żary, drzewek dokłada,
Znowu po cichu do siebie gada:
Szepce nad garnkiem i w żar go wstawia.
A w Anny oku i głosie zmiana,
Wzrok przerażony, mowa urywana:
— »Wszystkie ślady życia znikły;
Władza śmierci świat osiadła.
Słyszę — słyszę dźwięk niezwykły!
Byćże może? To chrzęst zbroi!
Wzrok trafia w same widziadła —
Mrok burzy marami kłębi!
Coś przesuwa się tam w głębi,
Staje — strzela blaskiem zbroi —
Co to? patrzy tu! wciąż stoi.« —

I w tym przestrachu od okna odskoczy,
Zwraca do wróżki przerażone oczy.
Ta, doświadczona, niczem się nie stracha,
Pokrzepia zlękłą spokojnym uśmiechem:
— »To złuda! mara nocnego gacha.
Jak przyszło lichem, tak przejdzie lichem.
On nie przybędzie, aż go zawołamy.
Jakąż go drogą przyprowadzić mamy,
Czy bardzo nizką, czy bardzo wysoką?
Bo czary albo tuż przy ziemi wloką,
Albo wpół miary drzewa wysokiego,
Albo też niosą wyżej, niż wierzch jego.
Powoli pójdzie, kto idzie najniżej;
Jeśli wpół lasu, roztrzaska się czasem;
Ponad las, prawda, straszno, lecz najchyżej.
Jakże ma lecieć?« — »Jużci ponad lasem.« —
— »Dobrześ wybrała, moja wiewiórko!
Wzleci, jak piórko, i spadnie, jak piórko.« —
W tem miejscu wróżka mowę ucina,
Słucha z uwagą — w garnku wrzeć zaczyna.
— »Już siły czarów brać go zaczynają.
Słyszysz te głosy, co tam w garnku grają?
Ale duch jego, trapiony, palony,
Nie wie sam jeszcze, co się z nim dzieje.
Trzeba mu wyryć przez powietrzne strony
Aż do tej chatki dróg jego koleje.«
Wyjęła z bodni wielki nóż święcony,
Jasny, kończasty, w białą kość wprawiony
(Tej kości, mówią, dostarczyły trupy),
Stanęła z Anną pośrodku chałupy.
Nożem, zarytym w glinianą podłogę,
Miejsce, gdzie stały, wokrąg określiła,
Daje nóż Annie i taką przestrogę:
— »Zostań w tem kole, a nie bój się, miła!
Nic w niem nie zrobi żadna moc nieboża;
A nadewszystko pilnuj tego noża.

Teraz wbij w ziemię jego koniuszek;
Im mocniej będzie klekotał garnuszek,
Tem głębiej pchaj go, a zwolna, me kocię!
Można dech zabić żywemu stworzeniu,
Gdyby je bardzo nagliło się w locie. —
Gdy go raz trzeci wezwę po imieniu,
Wbij nóż po trzonek — a wtenczas lecący
Będzie już z nami, chcący — niechcący.
Pamiętaj! gdybyś zapomniała na to,
Do dnia sądnego wisiałby nad chatą.« —
A burza coraz to groźniej się wzmaga,
Nawalnym deszczem po oknach smaga,
Lecą w ślad wichru snopki ze strzechy.
Gwizdania, grzmoty, wycia, płacze, śmiechy,
W szatańskiej piersi aż trzęsą lepianką.
Anna, poleceń wróżki pamiętna,
Drżąca, na jedno kląkłszy kolanko,
Wtyka nóż w ziemię — czeka a słucha.
Ona słyszy puk każdego tętna,
Na klekot garnka nie będzie głucha.
Wzrok swój przykuła do czarownicy,
Okiem i uchem czeka jej hasła.
Dostrzegła uśmiech — a ta twarz zagasła
W uśmiechu takim jest dla dziewicy
Straszna, jak czarny obłok w błyskawicy.
Dzikie jej lice, dzika postać cała.
Stoi przed piecem, jak głaz, nieruchoma,
Z założonemi na głowę rękoma,
Jakby ją walka jakaś łamała —
Wzrok osłupiały w płomień utkwiony,
Usta zacięte, w piersiach mruk stłumiony.
Niekiedy na żar garść soli ciśnie,
A paszcza pieca silniej zabłyśnie,
Czerwieńszym blaskiem zalśni ściana blada,
W zaklętym garnku klekot gniewniej gada.
Komin zahuczał dziwniejszą wrzawą —

Uderzył w skrzydła kogut pod ławą
I śpiew swój zawiódł. Północ zapowiada.
Jakby czekała tej chwili Justyna,
Zmienia się cała licem i postawą,
Wyciąga głowę ku szyi komina
I krzyknie imię Jana z całej siły.
Ledwo umilkła, wnet się słyszeć dało
Silne, gwałtowne we drzwi uderzenie:
Pierwsze drzwi jękły — w sieni zatętniało,
Natychmiast drugie drzwi się otworzyły,
I zbrojny rycerz szybko, jak błyśnienie,
Przez próg przeskoczył, zatrzymał się chwilę
I jakby nie mógł ustać o swej sile,
Upadł na ławę i o wodę woła.
Z ust Anny wyszło półkrzyku, półjęku,
Nóż się wysunął z jej bezwładnych ręku;
Skoczy, lecz kroku posunąć nie zdoła,
Tylko się w miejscu, jak struna, wypręża.
Zdumiała się sama czarownica.
Wtem spadła z głowy rycerza przyłbica
I odkryła twarz nieznanego męża.
Nic w niej strasznego, owszem, życie młode;
Tylko wzrok błędny, a wciąż głos o wodę.
Wróżka też całkiem przyszła już do siebie;
Czuje konieczność, nim się rzecz rozsnuje,
Pomóc bliźniemu w tak nagłej potrzebie;
Więc mu podała wody z garnuszkiem.
Rycerz, jak w otchłań, wlał ją w siebie duszkiem.
Ha! teraz lżej mu, więc szczerze dziękuje:
— »Ależ-bo w piersiach« — powiada — »tak pali,
Jak żeby w serce wbito ostrze stali.« —
Powstaje wreszcie, grzecznie się kłania
Justynie, jeszcze grzeczniej Annie potem,
Która już także wyszła z pomieszania,
Przeprasza bardzo, że tak wpadł z łoskotem,
Że je zapewne potrwożył. — »Przebaczcie!

A teraz, matko, powiedzieć mi raczcie,
Gdzie się znajduję?« — »W Nabrzeżu.« — »O Boże!
A noc jak późna?« — »Północ.« — »Byćże może?
Złoczów! Nabrzeże! Przelecieć mil tyle
W czasie tak krótkim, w jedną prawie chwilę!
Byćże to może mil tyle za chwilę?«
— »Cóż się to stało Waszej Miłości?« —
Zapyta wróżka. — Rycerz, jak ockniony,
— »Przygoda« — rzecze — »dziw nieodgadniony,
A jednak istny — opowiem w szczerości,
Sam ledwo wierząc w prawdę mej przygody.
A najprzód powiem, zacna matko moja,
Że służę w pułku pana wojewody
Ruskiego, jak to świadczy ot! ta zbroja.«
Wstrzęsła, spłoniła Anusię ta wzmianka:
Ten pułk jej miły to pułk jej kochanka.
— »Zowię się różnie, Jan z Woli lub Zwolski.
Mem gniazdem właśnie jest ten kraj podolski;
Włość ma dziedziczna graniczy z Zapłotem,
Szeroko głośnym — ale rzecz nie o tem.«
Tu silniej Anny ciekawość się budzi.
— »Ciągniem, gdzie leża pada nam zimowa.
Mus wypoczęcia dla koni i ludzi
Wstrzymał nas przez dni kilka u Złoczowa.
Moją kwaterą jest mała wioseczka
Tuż pod Złoczowem, a że człek się nudzi,
Więc do kolegów wpadłem do miasteczka;
Tam, prawdę mówiąc, przez niejedno zdrowie
Utraciło się rozumu troszeczka,
A nawet dobrze zaćmiło się w głowie,
Kiedy już k'sobie puściłem się nocą,
Ale w najzdrowszej i myśli i stanie,
Gdy oto nagle, niespodziewanie,
Czuję, że jestem pod jakąś złą mocą:
Na sercu nudno, w głowie się kręci,
Nogi nie służą, nie mam pamięci;

Kraj okoliczny z oczu mi ginie,
Czuję się, widzę w innej krainie.
Co mi się wtedy nie przeroiło!
A najdziwniejsza i trudna do wiary,
Że teraz widzę, com brał za mary:
Jakaś chałupka z jakąś mogiłą.
Mówię, nie kłamię — wierzcie, nie wierzcie.
Tak jest! widziałem — dla mnie to pewna —
Was, dobra matko, i tę piękność wreszcie.
Pewnie to córka wasza? może krewna?«
— »Ani to moja córka, ani krewna« —
Odrzekła wróżka, rwąc nitkę powieści —
»Nie mnie przed Bogiem mieć tyle cześci.
To szlachetnego rodu dziewica,
Jedyne dziecię tych ziem dziedzica,
Znanego pana na zamku Nabrzeskim.
Któż tu nie słyszał o Annie z Nabrzeża?« —
Na te słów kilka postać rycerza
W całej godności głową się skłania,
A dłoń na sercu w zbroję podzwania.
Czołem przed wielkim darem niebieskim!
I dalej ciągnął opowiadanie:
»W takim to byłem niezgadnionym stanie,
Kiedy po myślach dymem powlekło;
Potem się w piersiach nudno zrobiło,
Ciężko, boleśnie, a razem miło;
Potem mię strasznie, strasznie zapiekło —
Gdzieś tam, aż w duszy; potem, jedną razą,
Tak mi nieznośnie serce zabolało,
Jakby kto wepchnął zimne żelazo;
Potem mi w uchu dziwnie zawrzeszczało:
Było tam moje imię i Nabrzeże.
Gdy w uchu ścichło, lekko mi się stało;
Wydało mi się, że porosłem w pierze;
Aż przypadł wicher, nadął mnie, jak żagle,
I na powietrzu ujrzałem się nagle:

Czuję, że lecę, lecę duszą, ciałem,
Z mym koniem w tem ot, uzbrojeniu całem.
Jak lecę? Dokąd? Nie wiem — dość, że lecę
Ponad lasami, na równi z chmurami —
A bardzo szybko musiałem przelecieć,
Gdym nawet nie miał czasu się polecić
Mego świętego patrona opiece — —
W końcu upadłem tu, przed temi drzwiami.»
Opowiadanie szczere rycerza
Wielkim podziwem Annę uderza.
Dziwna przygoda! któż ją wytłumaczy?
Ale daleka jest od niewiary:
Kluczem zagadki są jej własne czary;
Dlatego pilnie w myślach wszystko znaczy.
Rozważyć teraz nie jest jeszcze w stanie,
Bo oto rycerz zanosi żądanie:
— »Lecz mniejsza o to; jak było, to było.
Przynajmniej, dzięki Bogu, nie szkodziło;
Więcej mi dobra, niż złego, zrobiło:
Całe przynajmniej zostały ziobra
I com tu znalazł...« — Tu myśl jakąś ważył,
Lecz skrył ją nazad. — »Nie żal mi, żem zażył
Takiej przejażdżki. — Teraz, matko dobra,
Pozwolisz, że się cokolwiek osuszę
I snem, choć krótkim, posilę mą duszę;
Bo łatwo wierzyć, jak jestem znużony,
A w taką flagę gdzie szukać ochrony?«

I jakby pewny był przyzwolenia,
Jął się rozbierać z swego uzbrojenia.

A w drugim kącie izby, na tapczanie,
Odbyto krótkie, ważne pogadanie,
W którem się Anny utrzymało zdanie.

Prawda, że ledwo nie omdlała z trwogi,

Kiedy tak dziwnie rycerz wszedł w te progi.
Ale jej przestrach zamienił się w radość,
Skoro na miejscu lękanego dziwa
Stanęła postać chrześcijańska, żywa;
Zwykły rumieniec przegnał z lica bladość,
Kiedy dziw stanął, jak piękny młodzieniec;
Żywszym się blaskiem zapalił rumieniec,
Kiedy się rycerz tak szczerze otworzył
I w tak szlachetny sposób hołd jej złożył.
Mimo to swoich nie puszcza zamiarów.
Wszystkiem jest dla niej ostatni cel czarów:
Ujrzeć kochanka chce, jak dotąd chciała.
Tutaj jest węzeł, gdzie się wszystko gmatwa,
I rozwikłanie nie jest sprawa łatwa.
Wie z jednej strony, że niebardzo śmiała,
Że strach z czarami idą z sobą w parze:
Już przez jednego mało nie zemdlała,
A drugi może straszniej się pokaże.
Któż to wie? może już umarł, broń Boże!
Na ten przypadek wiele jej pomoże
Żywego przy tem rycerza przytomność.
Lecz w drugie ucho szepce znowu skromność,
Wstydliwość, sława uczciwa, kobieca,
Niepokalana duszy tajemnica...
Jest nad czem myśleć — ale czasu niema;
Trzeba pomiędzy trudnościami dwiema
Wybrać bez zwłoki. — Dziewica nieboga
Wybrała wreszcie, co podała trwoga:
Z rycerzem zrobią, co zrobić mogą,
A dzieło czarów pójdzie swoją drogą.
Tych myśli wniosek Justynie objawia,
W tę myśl Justyna z rycerzem rozmawia:
— »Przebacz mi waszmość, że nie w mej możności
Być dziś dla jego osoby gościnną.
Z całego serca wszelką razą inną,
Lecz nie dziś, nawet przez wzgląd dla waszmości.

Niech waszmość tego za złe mi nie bierze,
I tegom pewna, gdy mu powiem szczerze,
Że już ta izba na noc zamówiona;
Czekamy właśnie na naszego gościa.
Najuniżeniej przepraszam waszmościa.«
— »Ależ ta izba, matko, dość przestrona,
Moją osobą całej nie zabiorę.
Zgodzim się pewno z spodziewanym waszym.«
— »To prawda, ale — bajką was nie straszym —
Gość to, co w nocną tylko jeździ porę.«
— »Choćby w północną, i cóż w tem strasznego?
Jeżeli ot ta pani się nie boi,
To ja, namiestnik z pułku Czarnieckiego,
Z tą wierną szablą, w doświadczonej zbroi,
Mogę tembardziej nie bać się niczego.
Zresztą, w mem życiu znam już strach wszelaki:
Szwedy, Moskale, Prusaki, Kozaki,
Siedmiogrodziany, Turki i Tatary;
Chciałbym znać stracha i tej jeszcze wiary,
Ciekawym, jak też wyglądają czarty«.
— »Nie są to żarty, nie będą to czarty.
Będę, jak waszmość byłeś nam otwarty;
Ani chcę wątpić, że wiecznie me słowa
Szlachetna jego dusza w sobie schowa.
Gość ten przybędzie znaną i wam drogą,
Którąście tutaj przybyli z Złoczowa.
A że przybędzie, niema wątpliwości;
Sam waszeć doznał, ile czary mogą;
Przyznasz tem łatwiej, kiedy spojrzysz na nie,
Na ten tam garnek, na tę śliczną panię.
Zdaje się, jasno mówię dla waszmości.« —
 Usarz te słowa przyjął duchem kornym.
Uznał, że dłużej niewolno być spornym,
Pojął rzecz całą, przysiągł tajemnicę,
Nie badał więcej, a tylko uprasza,
By mógł przez chwilę skorzystać z poddasza,

Nim wiatr przepędzi pierwszą nawałnicę,
Poczem natychmiast o inną gospodę
Będzie się starał; dodaje zarazem,
Jeżeli miesza w czem panny swobodę,
Wnet wyjdzie — słowo jej będzie rozkazem.
Korność rycerza, szlachetna i miła,
Trafia w myśl Anny, bardzo ją niewoli.
Stanęło właśnie, jak sobie życzyła —
W każdem zdarzeniu pójdzie po jej woli.
Wie on już wszystko — przy podobnym świadku
Mogą iść czary, a we złym przypadku
Jego moc, męstwo będą jej obroną.
Odejdzie, skoro nastąpi konieczność
Dalszy bieg rzeczy przeciągnąć zasłoną.
    Podziękowała mu Anna za grzeczność,
Przyjmuje chętnie jego przedstawienie,
Do pozostania daje przyzwolenie,
Przy sobie jednak, rozumie się, zawsze
Nieokreśloną zostawując władzę.
    Wróżka, z swej strony, po krótkiej rozwadze
Podała nowe warunki łaskawsze:
Spomniała sobie na swoją stajenkę:
Jest ona dosyć dobrze opatrzona,
W największą słotę pewna z niej osłona,
A usarzowi będzie dziś na rękę,
Skoro zobaczy, że dla wszystkich lepiej,
Gdy wyjdzie z chaty i snem się pokrzepi.
Nie szło tak szybko, jak się opowiada.
Powieść rycerza, a później narada
Wzięły dość czasu, a przynajmniej tyle,
Że ogień przygasł i w garnku ucichło.
Widzi to wróżka, chociaż już nierychło;
Szczęście, że czarów nie stracone chwile,
Jej kogut jeszcze nie śpiewa świtania;
Zresztą robota tylko do odgrzania,
Ogień naniecić i garnek przystawić.

Na to nie trzeba wiele czasu strawić.
Jakoż to wszystko zrobiło się szybko.
Ale tymczasem — »Moja złota rybko!« —
Wróżka do Anny na stronie mówiła —
»Starość nie młodość, opuszcza mię siła.
Trzeba mi przysiąść, bo nogi nie służą,
Może i zdrzemnę, bo oczy się mrużą.
Młodsza, silniejsza, serce masz ochocze,
Będziesz czuwała, ogień podniecała;
A gdy usłyszysz, że w garnku klekocze,
Zbudź mię natychmiast — jeżelibym spała.«
To rzekłszy, kądziel w przypiecek zatknęła,
Siadła, wrzecionem kilkakroć furknęła;
Wkrótce wrzeciono wymknęło się z dłoni,
Głowa obwisła, tu i tam się kłoni —
I w kąt zapadła — już śpi, aż chrapnęła.

VI. KUSICIEL.

Burza szaleje w całej swej potędze;
Sporne żywioły zmieniły się w jędze
I zagrażały wszystkiego przewrotem;
Błysk gasł pod błyskiem, grzmot głuchnął pod grzmotem.
Czarna pierś burzy, jak burzy bezedno,
Zajęła cały obszar ziemi stropu;
Każdy grom walił jej zastawkę jedną,
Po każdym lunął silniej deszcz potopu.
Niekiedy taki wicher się poruszał,
Że szum ulewy i grzmoty zagłuszał.
Pod ten czas wnętrze chatki ciche było,
Jakby zaklętą określone siłą;
Ciche i straszne, straszniejsze, im cichsze.

Każda tam groźba, co zawyła w wichrze,
Każda, co w gromie zawarczała z głucha,
Wstrząsała ciałem, wnikała do ducha.
I Annę czemuś dziwnie niepokoi.
Spokojnie ona przed ogniskiem stoi,
Na garnku niby wzrok jej i uwaga,
W twarzy, w postawie pewność niby męstwa,
Ale od serca daleka odwaga.
Gdyby też zdolną rozważyć się była,
Zobaczyłaby, że niebezpieczeństwa
Największe dla niej nie w żywiołów sporze;
Ale przeszkadza temu złego siła.
Kto raz jej szeptom ucho swoje poda,
Kto się raz wciągnąć da w dzieło nieboże,
Już nie dla niego jasność i swoboda,
Póki zagona czartu nie doorze,
Póki w swym czynie sam się nie postrzeże,
Że nie to zrobił, co sobie zakreślił,
Że nie tam zaszedł, dokąd zajść umyślił,
Dopóki sam się nie wyzwoli szczerze,
Co bywa czasem śmiertelną boleścią.
W głębi zaś chatki, gdzie kąt drzwiom przeciwny,
Siedział oparty na stole gość dziwny,
Wciąż z należytą dla Anny cześcią.
Chowając pilnie i ściśle umowę,
Swe ruchy, nawet wzrok na wodzy trzymał;
Był, jakby nie był, jak widmo stalowe.
Przez chwilę nawet zdało się, że drzemał;
Lecz nie mógł usnąć — może burzy wina,
A może inna, wewnętrzna przyczyna —
Otworzył oczy i długie spojrzenie
Przykuł do Anny, a w niem najprzód było
Jakby dla tylu wdzięków uwielbienie,
Poczem tajemnym ogniem zaiskrzyło,
W czole błysnęło jakieś umyślenie —
Wyprostował się, jakby ożył siłą.

— »Niema« — zawołał — »nie, niema sposobu!
Co się tu dzieje, zbudziłoby z grobu.
Jestem żołnierzem, wielum trwóg świadomy,
Już pod niejedną burzą bitwy stałem,
Znam błyski mieczów, znam działowe gromy,
I, choć śmiertelny, nigdy nie zadrżałem,
Przynajmniej mogłem panować strachowi;
Lecz tu dopiero — muszę być otwarty —
Przekonałem się, że strachy nie żarty.« —
— »A ja... ja nie drżę« — Anna mu odpowie.
Anna zmyśliła; w jej głosie to słychać,
Widać to w ustach, co się chcą uśmiechać,
A krnąbrny uśmiech ustom się przeciwi.
— »Właśnie ta śmiałość najwięcej mię dziwi« —
Rzekł znowu usarz — »męstwo nie dziewicze
W ciele dziewicy; wszakże pragnę, życzę,
Aby dotrwało aż do końca próby.«
— »Ja liczę na to, a tem pewniej liczę,
Że koniec blizki, bo wszystkie rachuby...«
Grom przy tem słowie uderzył tak blizko,
Że aż gwałtowniej spłonęło ognisko,
A bohaterka jednym skokiem prawie
Jest już przy stole i siedzi na ławie,
Blizko, choć przez pół tyłem do usarza.
On tego ruchu niby nie uważa,
Tylko cokolwiek bliżej się podsunie,
Zawsze, jak dotąd, i dworsko i grzecznie,
Rzuci nawiasem słówko o piorunie,
Że krewny ognia, jak więc niebezpiecznie,
Kiedy się w piecu podczas grzmotów pali,
Że jeszcze gorzej stać wtedy u pieca,
Poczem przerwaną rzecz prowadził dalej:
— »Rachuba ludzka rachuba kobieca.
Robota taka, jak robota pani,
Ma różne końce, czasem końca nie ma;
Bo chociaż mogą zbyt wiele szatani,

Lecz ster wszystkiego wola Boża trzyma.
Bóg też człowieka rozumem obdarzył
Na to, by człowiek dobrze wprzód rozważył,
Rzecz przedsiębraną — jej cele, pobudki,
Niebezpieczeństwa, przeszkody i skutki,
Jest-li szkodliwa, albo pożyteczna,
A nadewszystko, czy Bogu nie sprzeczna.«
Słowa usarza nie były daremne,
Choć może trochę ogólne i ciemne;
Dusza dziewicy jest w stanie rozbita,
Co się ratując, każdą falkę chwyta.
Słowa te z jednej strony chęci studzą,
Lecz z drugiej znowu świętą bojaźń budzą,
Tę bojaźń, która ku prawdzie nakłania.
Anna słuchała słów tych, jak kazania;
Poddaje się ich prawdzie, a z kolei
Zbliża się więcej i do kaznodziei.
Nie jest to jeszcze pełność zaufania,
Ale krok jeden do porozumienia.
— »Tak, piękna pani, końce czarów różne« —
Począł znów usarz po chwili milczenia —
»A czasem straszne, kiedy Bóg dopuści
I usłuchają szatany usłużne.
Nietylko z grobów, lecz z piekieł czeluści
Przeklętą duszę, zgniłe ciało wyrwą
I rzucą w oczy ducha albo ścierwo.«
Usarz w ogólnem nie zamknął się słowie,
Lecz tu i owdzie jakiś przykład powie
Z niewyczerpanych to pieśni, to skazek,
Co mowę jego, jak książkę obrazek,
Urozmaica, żywym wdziękiem zdobi
I zmysłom nawet dotykalną robi.
Widać, że znana mu sztuka malarza,
Tak obrazami mowę swą przeplata;
A tak w kolorach zagrobnego świata
Macza swój pędzel, że aż myśl przeraża.

Jak umiejętnie okropność malował,
Tak biegle coraz wyżej ją stopniował.
Poczuć woń trupa, ujrzeć ducha złego
Już to strach wielki, może mózg przewrócić,
Może z człowieka duszę precz wyrzucić!
Ale jest jeszcze coś okropniejszego,
Gdy ten kościotrup, gdy ten potępieniec
Staje przed żywym, jako oblubieniec,
I dumnie, groźnie każe łoże grobu
Podzielać z sobą — i chwyta, jak swego,
I wlecze, niesie gdzieś — może do piekła!
A wydrzeć mu się niema już sposobu.
»Cobyś pani na to rzekła,
Gdyby posłuszne szatany —
Przypuśćmy, że spodziewany
W kawałki jest porąbany —
Zrobiły ci niespodziankę
I zniosły jego siekankę?
Widzę, co przedstawiam w słowie,
Aż włosy wstają na głowie:
Przez okno głowa się tłoczy
I wytrzeszcza oczy trupie,
Kadłub pełza po chałupie,
Przez próg noga sama kroczy,
Przez komin spuszcza się ręka
I w jeden szkielet się wiążą,
I prosto ku pani dążą;
A kość o kość głucho szczęka —
I takie ot! dziwowiszcze
Bierze ją w kości, jak w kleszcze.«
Tu, niewiadomo, z jakiego powodu,
Na rękę Anny dłoń swoją położył;
A chociaż dłoń ta nie była jak z lodu,
Tak opowiadaniem swojem ją roztrwożył,
Że obraz może za istotę wzięła,
Wstrzęsła się cała, głośnem ach! krzyknęła.

Lecz wstyd natychmiast dał jej siłę taką,
Że się podniosła najspokojniej z ławy
I zaśmiała się sama z swej obawy,
Choć w głębi wnętrza czuła ją jednaką.
Usarz z swej strony uznał za konieczność
Wyznać, że spełnił srogą niedorzeczność,
Stawiąc w ten sposób tak straszne obrazy.
Chciał przebaczenia. — »O! żadnej urazy!
I owszem, wdzięczność oświadczyć mu mogę:
Przebędę łatwiej rzeczywistą trwogę.«
I potwierdzając zmyślenie to czynem,
Zaczęła, według Justyny zlecenia,
Krzątać się znowu około płomienia.
Lecz strach co chwila spuszcza się kominem,
Dlatego praca idzie jej niesporo.
Rzuci gałązkę — gałązka niesucha;
Dmuchnie w zarzewie — pierś za słabo dmucha;
Drwa się zajęły — zbytnim ogniem gorą —
Może się płomień dostać do komina
I spalić chatkę, więc wodą polała;
Bo już na rozum brać rzeczy poczyna:
— »Za płochom, widzę, w te czary się wdała,
Wszystko być może, co usarz powiada,
Wszystko być może, jeśli Jan nieżywy;
Z trupem, choć z miłym, przeprawa nielada.
Obraz usarza straszny, lecz prawdziwy.
Sam Bóg mi, widać, nadarza
W tak trudnej chwili tego usarza.
Cóżby to się stało ze mną,
Gdyby mnie samą zeszło takie dziwo?
Już na myśl o niem w oczach mi ciemno,
Czuję się zaledwie żywą.
Teraz, choć jeszcze puka serce moje,
Teraz przynajmniej nie tyle się boję.
Bóg mi prawdziwie nadarza
Tego dobrego usarza.

Pamiętam, gadała mama,
Mama to gadała sama:
Anusieńku! dary nieba
Otwartem sercem przyjmować trzeba.
Niebo mi samo nadarza
Tego dobrego usarza«.
Garnek w tej chwili głośniej szumieć zacznie —
Odsunęła go od ognia nieznacznie.
A myśli jedne za drugiemi płyną,
Chwieją umysłem, jak wiatry mdłą trzciną.
Dziewica każdą ogląda i bada:
Może w tej trwodze która się jej nada,
Może się w której znajdzie dobra rada.
Znalazła jedną — zmienia ją w pytanie
I usarzowi temi słowy poda:
— »Kiedy o czarach tyle wiecie, panie,
Wiecie zapewne, jaka jest przeszkoda,
Że czarowany, chociaż dusza żywa,
Jednak nie przybywa?«
— »Może się modli, może u spowiedzi,
Może pod innem zaklęciem już siedzi,
Może w kim innym mocniej zakochany;
Przeciwko wszystkim przeszkodom takim
Czary bezsilne z całą swoją siłą.«
Annie na sercu słabo się zrobiło,
Żadnym się jednak nie zdradziła znakiem,
Tylko jej ręka, drżąca i niepewna,
Zburzyła ogień, poprawując drewna.
A raz ujętej myśli się pilnuje
I nowe ważne pytanie z niej snuje;
Jest ono słowem rozmowy potocznej,
Ale i gwiazdą dla duszy obłocznej,
A raczej błędnym ognikiem uczucia
Na polu uczuć niewinnych zepsucia.
Bo tylko zmieńmy swą miłość w powszednią,
Wnet posądzania, siostry nieodstępne,

Gwiazdę zazdrości rozpalają przed nią
I rej zaczyna wieść na złość posępne,
Które się zczasem w zemstę przeobraża
I może miłość zamienić w zbrodniarza!
Anna zapewne nie popełni zbrodni,
Lecz ją zasępia tuman tej pochodni.
— »Wszak się nie mylę« — rzecze do usarza —
»Że pułk waszmości to ów pułk holzacki?« —
Usarz potwierdził i odgadł, gdzie mierzy
Ten strzał, puszczony niejako z zasadzki.
— »On teraz ciągnie ku zimowej leży?« —
Usarz znów zwięzłem twierdzeniem odpowie.
— »Dziś jest w Złoczowie?« — »Tak pani, w Złoczowie.«
— »Stąd do Złoczowa nie tak wiele drogi.«
— »Ha! to zawisło« — rzekł usarz z uśmiechem —
— »W chwili ją zrobi ten, kto jedzie lichem,
Lecz na zwyczajne zdrowe końskie nogi« —
Kończył poważnie — »dość dwa dni najwięcej.« —
Dwa dni, dwa tylko — i przybyć mu trudno!
Krążyło z żalem po głowie dziewczęcej;
Widać, że kochał miłością obłudną.
Tego się trzyma, bo coś każe wierzyć,
Coś szepce sercu, że nie może nie żyć.
— »Teraz zapewne, gdy wojny już niema,
Służba nikogo tak mocno nie trzyma,
By nie miał na czas woli zostawionej
Odwiedzić miłych, miłe sobie strony?« —
Na to jej usarz z przekąsem szyderskim:
— »Tak! mir położył kres czynom rycerskim,
Otworzył drogę do miłych, do domu —
Każdy też ruszył, gdzie najmilej komu;
Stąd niejednego dom nie ujrzy wprędce.«
Tu zaczął prawić napozór w gawędce,
Jak wielu, wdziękiem Niemek uplątanych,
Już się nazawsze w Niemczech osiedlili;
Jak inni, z pierwszej korzystając chwili,

Zmykają z Polski do swoich kochanych;
I kto już dotąd nie jest między swemi,
Można go znaleźć na niemieckiej ziemi.
— »Potrzeba także to wiedzieć« — powiada —
»Że pułk holzacki to pułk zwodzicieli;
Lecieli w miłość, jak na bój lecieli.
Niemek też za nim włóczyły się stada.
Jak tu się oprzeć było takiej próbie?
Ja co innego, ja Niemek nie lubię
I nie lubiłem od małego dziecka —
Taka już widać moja krew szlachecka.
Ale co innym... bardzo trudno innym
Tęsknić przy Niemkach do swych polskich bogiń.«
Po sercu Anny, prostotą niewinnem,
Przemknęła zazdrość, jak gromowy ogień,
Zaszkliła lekką łezką jasność wejrzeń,
A przez mgłę głowy przewiodła korowód
Swego orszaku domysłów, podejrzeń
I podsunęła w jednem oka mgnieniu
Jasny, jak słońce śród pogody, powód
Tak niezwykłemu kochanka spóźnieniu:
Może i jemu, może także padło
W innych gdzieś krajach związać się miłością!...
To »może« nie jest stanowczą pewnością,
Lecz w szalce wątpień jest jak jej wahadło,
Które się czasem do pewności kłoni;
I »może« Anny nakłania się do niej.
Długo na strony wahając się obie,
Stanęło w końcu na myśli tej treści:
Dosyć już troski, dosyć już boleści!
Niechaj, co chce, robi sobie,
To ja przynajmniej tak zrobię,
Jak mi mój rozum doradza.
Czy mię kocha, czy mię zdradza,
Moc moja nic w tem nie może,
Lecz albo żyje, albo już w grobie.

Jeśli nie żyje — śmierć łatwa w boju —
I trupem tutaj stanął, broń Boże,
Toby mię pewno zabiła trwoga —
Najlepiej przeto zdać się na Boga
I zostawić go w wiecznym pokoju.
    Jeżeli żywy i zdrowy,
    Choćbym go ujrzała rada,
    To tak źle być śród powietrza,
    Jak ten ot, usarz powiada.
    Taki tam strach koło głowy,
Że lotu jego przyśpieszać nie trza —
    Możeby się rozchorował.
Jeśli ma przybyć, przybędzie bez tego,
A nawet myślę, najlepiej dla niego,
Ażeby drogą zwyczajną wędrował,
Powoli, prawda, lecz za to bezpiecznie.
Zresztą niechaj się podróżą nacieszy,
Miła mu widać, kiedy się nie śpieszy. —
I raz na drodze zdrowego rozsądku,
Podobnych myśli trzymając się wątku,
Ujrzała jasno, jak to niedorzecznie,
A nawet z grzechem przeciw Bogu było,
Przyciągać tego jakichś guseł siłą,
Który albo sam o nas się nie troska,
Albo go wola zatrzymuje Boska.
    Cała ta praca spełnia się głęboko,
Nie dostrzeże jej lada ludzkie oko.
    Poprawowane ognisko
    I pali się i nie pali;
    Garnek jest raz przy niem blizko,
    To nieznacznie się oddali;
    Nóż, tkwiący dotąd w podłodze,
    Znalazł się jakoś na drodze
I padł, przypadkiem niby potrącony.
Anna nie zważa na noża przypadek;
Ale przy stole siedzi baczny świadek,

Dla niego żaden ruch jej nie stracony;
Bystrem spojrzeniem każdą myśl nurtuje,
Czasami rzuci wyważone słowo,
A z twarzy widać, że się już gotuje
Puszczone dzieło popchnąć w kolej nową.

VII. OSWIADCZYNY.

Anna siedziała na ławie
W miejscu, skąd niedawno wstała:
Znużenie w całej postawie,
W zamęcie myśl rozbujała —
W oczach to błyśnie gorączka,
To mgława przebija śpiączka.
Wprawdzie moc jej niepowszedna,
Ale pora tak spóźniona,
Ale ona przeszła, biedna,
Tyle burz głowy i łona,
Tyle zbiegła życia drogi,
A w krótkim ducha przewiewie,
Że mdleje ciało niebogi —
I co dalej robić, nie wie.
  A na dworze cichnie burza:
Czoło się nocy rozchmurza,
Ułagadza się powietrze,
Jęk wichru słabiej się żali,
Błyskawice coraz bledsze,
Grom pogrzmiewa coraz dalej,
Dzwoniąc w okna coraz słabiej,
Deszcz coraz drobniej pokrapiał
Z kapiącego rosą listka,
Słychać skrzekot pieśni żabiej.

Nagle kur zza pieca zapiał.
Pierzasta drużyna wszystka
Odgdakała mu z pod strycha.
Anna jakby się ocknęła:
— »Północ!« — rzekła przez pół zcicha.
— »Nie! północ dawno minęła« —
Usarz z swej strony zawoła,
Podnosząc się z poza stoła.
— »To pieśń przedświtnej pobudki!
Czary zrobiły swe skutki;
Stało się, co stać się miało.«
Postąpił przed Annę śmiało,
Z wejrzeniem tkliwem, lecz pewnem,
Ze słowem pełnem a rzewnem;
Zatrzyma się przed siedzącą,
A miał postać okazałą
I zarazem błagającą.
— »Tak, piękna pani!«—rzekł znowu—
Stało się, co stać się miało;
Możesz wierzyć memu słowu:
Nie jest zdradliwe ni płoche.
Znam ja się na gusłach trochę,
Pilniem baczył, co się dzieje,
I mówię w całej pewności,
Że próżne w czarach nadzieje.
Bezsilny już duch ciemności,
Przeminęła chwila jego —
Nie czekaj spodziewanego.
Uczucia pani szanuję,
Jej tajemnica mnie święta.
Kto on? co go zatrzymuje?
Nie wiem — ale coś dziwnego
Wziąć go musiało w swe pęta,
Gdy urok czarów za słaby
Sprowadzić go swoją siłą,
Gdy takie nawet powaby...

Tylu bez czarów wróciło
Do wdzięków, które nie mogą
Iść z twojemi w porównanie!
Lecz nie posądzam nikogo.
Ja mam jasne rozwiązanie
Tej całej niby zagadki.
Prawda, że dziwne wypadki!
Bo się najczęściej przez dziwa
Wola Boża wykonywa.
W owej dziwów plątaninie,
Co nas zwiodły do tej chatki,
Widzę sąd Boży jedynie,
Który, połączywszy w niebie
Losy nasze, dziś na dole
Zbliża nas wzajem do siebie.
Jakbym czytał ową wolę
W przeznaczeń statucie wiecznym:
Ty, Janie, masz być Annie
Druhem i sługą statecznym —
A ty, Anno, nieustannie
Swiecić masz gwiazdą Janowi.
Tak wola Boża stanowi.
Serce sąd ten przeczytało
I poddało mu się snadnie,
Jego siłą mię porwało,
Przy tobie się zatrzymało
I u stóp się twoich kładnie,
A w pokorze swojej tuszy,
Że nie pogardzisz niem biednem,
Bo pełni wyższe rozkazy.« —
Wymawiając te wyrazy,
Usarz kląkł kolanem jednem.
Anna, pół śpiąca, rozbita
I na ciele i na duchu,
Siedziała zrazu bez ruchu,
Pomieszana, jakby wryta.

Skoro poczuła, gdzie zmierza,
Nim skończył, mowa rycerza,
Silną się wolą uderza,
Spłonęła wnętrznem gorącem;
W sercu, pośpieszniej bijącem,
Otwiera się źródło siły,
Oczy życiem zaiskrzyły,
Postawa duchem podrasta;
Ocknęła się w niej niewiasta,
Córka Polek nieśmiertelnych,
Siostra, żona, matka dzielnych.
Tak z miejsca swojego wstała,
W takiej postawie słuchała.
Rzekłbyś, patrząc: To królowa,
Sercem otwarta miłości,
Lecz ujmę swojej godności
Surowo skarcić gotowa.
Gdy usarz ugiął kolana,
Cofnęła się, niezmieszana,
I przemówiła w te słowa:
— »Wstań waszmość. Bijmy kolanem
Tylko przed stworzenia Panem,
Nie przed mdłym jego obrazem.
Ja mam stworzenia pokorę —
Kobieta, Polka, nie biorę
Serca, co się czołga płazem:
Moje serce, z łaski nieba,
Bije wysoko, krwią zacną;
Podobnego jemu trzeba.
Nie wątpię, że będzie łacno
Mężowi, jak wy, godnemu
(Bo mi was takim wydaje
Wasz stan, postać, obyczaje)
Odpowiedzieć sercu memu.
Także w mej prostocie wierzę,
Że co mówicie, to szczerze.

Rzecz wasza silna prawdami.
I istotnie, co w tym czasie
Zaszło, to tak dziwnem zda się,
Że wszystko mówi za wami.
Wypowiedziałam najszczerzej,
Ile ode mnie zależy;
Reszta w mych rodziców woli
I u Pana wszelkiej doli.« —
Ośmielony słowy temi,
Usarz w wielkiej swej radości
Zaledwie pojąć się zdołał;
Powstał na jej rozkaz z ziemi,
A cały w ogniu miłości,
Głosem zachwycenia wołał:
»O aniele, nie kobieto!
Urok twej postaci tylko
Oczarował mię przed chwilką;
Teraz znam twą piękność skrytą,
Twoją duszę widzę, czuję,
Teraz duszy twej ponęta
Porywa mię w takie pęta,
Że z nich nic mię nie rozkuje.« —
I schwycił drobną jej rączkę
I w tem samem oka mgnieniu
W pocałunku, w uściśnieniu
Złożył na niej swą gorączkę
Serca w miłosnym płomieniu.
Poczem, jakby więcej ożył,
Jakby miłosnej wymowy
Nowy zdrój się w nim otworzył,
Wylał z siebie potok nowy
Oświadczeń, ślubów wieczystych,
Przyrzeczeń, przysiąg ognistych,
Hołdów, uwielbień kwiecistych
W słowach obfitych, dobornych!
Nie zaniedbał w więcej kornych

Napomknąć o swoim rodzie,
O jego dawnej zacności,
O swym rycerskim zawodzie,
O pochlebnej w nim przyszłości,
O ziemskim z przodków dostatku,
O wszystkiem, czem go obdarzył
Bóg, w swych łaskach nieustanny.
Tylko, dodał na ostatku,
By łask nieba pełno zażył,
Brakło mu jednego datku
Nad wszystkie, spólniczki — Anny.
A ona przez pół go słucha,
Przez pół puszcza mimo ucha,
Niespokojna, roztargniona;
Przez chwilę nawet się mieni
Twarz jej, dotąd wyjaśniona.
Oto jakiś szelest w sieni
Dał się słyszeć — i westchnienie.
Słucha pilno — już nie słyszy
Nad chwilowy gwar z kurnika;
Po chwili wszystko znów w ciszy.
Niepokój dziewicy znika;
Było to snać przywidzenie.
Rzuciła oknem spojrzenie:
Burza całkiem ustąpiła
I pogoda pełna, miła
Zatarła wszystkie jej ślady.
Cale niebo bez obłoczka,
W całym blasku księżyc blady,
Kropelki dżdżowe, jak oczka
Traw i kwiatów, a bez liku,
Igrają w jego promyku.
Cisza zaległa powietrze —
Czasem tylko wiatr pierzchliwy
Swawolnie lekkiem skrzydełkiem
O lepiankę się obetrze,

Lub głucho zagwarzy zgiełkiem
Potoków przeszłej ulewy.
Anna, tej odmianie rada,
Czuje, że już jej wypada
Dłuższy pobyt w chatce skrócić
I co prędzej do dom wrócić.
Zwraca się ku usarzowi,
Dotknięciem jego ramienia
Prosi o chwilę milczenia
I z śmiałą pewnością powie:
— »Niebo blednieje świtaniem,
Czas mi już do domu mego,
Ale, zaczem się rozstaniem,
Mam jedno słowo do niego.
Wolą nieba czy przypadkiem
Byliście takich spraw świadkiem,
Że łatwo dostrzec mogliście
Wielkiej mojej tajemnicy,
Która czem jest dla dziewicy,
To wam widno oczywiście.
Słowu jego ufam przecie,
Ufam jego szlachetności,
Że nigdy tej wiadomości
Z mą szkodą nie użyjecie;
Ale co dziwnym obrotem
Zaszło między nami potem,
To mu podszepnąć jest w stanie
Niepochlebne o mnie zdanie.
A tymczasem ja nie płocha.
Tak! serce moje kochało,
Może nawet jeszcze kocha;
Byłam ślubom serca stałą
Śród przeszkód niezrachowanych.
Bogu jednemu wiadomo,
(Bom tę miłość skryła skałą
Oku rodziców kochanych)

Bogu samemu wiadomo,
Com dla niej zniosła kryjomo:
Ile bolów nieleczonych,
Smutków, z nikim nie dzielonych,
Ile z sobą, z światem bitew,
Czystych i grzesznych modlitew,
Ile westchnień uwięzionych,
Ile łez, sercem połknionych!...«
Tu jej dusza zaniemogła:
Piersi zaparł żal głęboki,
Drgnęły koralowe wargi
Drżeniem najrzewniejszej skargi,
Trysnęły dwa łez potoki;
Lecz się natychmiast przemogła.
— »Uczuciu mojemu stała,
Ja, słaba, trwożna dziewica,
Byłabym się świata zrzekła,
Ja wówczas byłabym śmiała
Pójść przeciw woli rodzica,
Wejść choćby na drogę piekła,
Gdzieście mnie właśnie spotkali —
I gdzie już nie pójdę dalej.
A przez ten czas z strony drugiej,
Żeby słówko pokrzepienia,
Żeby jakabądź oznaka
Spółczucia, spółcierpienia,
Żeby choć wiadomość jaka!
Nic! — żadnego zasilenia!...
W takiej przerwie czasu długiej —
Nie mamże prawa do myśli,
Że takie serce ostygło,
A nawet zagasło może?
Albo rozrządzenie Boże,
Co nam losy nasze kreśli,
Samo związek ten rozstrzygło?
Być tak dłużej jam niezdolna.

Odtąd ja czuję, żem wolna,
Odtąd nie puszczę już toru,
Gdzie wola mego wyboru,
Wola rodziców i Boga
Pójdą razem w wiecznej zgodzie.
Taka mego serca droga,
Takie serce wobec Boga.
Kto go pragnie, niech ogląda,
Niech zważy w całej swobodzie,
Czy jest, jakiem je mieć żąda.«
Usarz miał wyrzec swe słowo,
Gdy, z obojga zadumieniem,
Niby w sieniach coś nanowo
Westchnęło silnem westchnieniem.
I garnek też opuszczony
Mocniejszem wrzeniem zagwarzył
Pod ogniem, co nie zgaszony,
Znów się sam z siebie rozżarzył.
Usarz, który wzrokiem szpiega
Wszystko zważa i dostrzega,
Wytłumaczył wnet zdarzenie:
— »Próżna« — rzekł — »nasza obawa.
To tylko słuchu złudzenie
A ostatnia czartów sprawa.
Te westchnienia z garnka idą;
Gdybyśmy z nim nie skończyli,
Kto wie? w najważniejszej chwili
Mógłby rzygnąć jaką biedą.
A jak skończyć? Zbić go trzeba.
Najprzód zasługa u nieba
Skruszyć złych duchów narzędzie,
Potem mnie samemu będzie
Choćby jeden jego szczątek
Najbezcenniejszą z pamiątek
Tej chwili nad wszelkie chwile,
Co mię uszczęśliwia tyle.« —

Anna zgodna najzupełniej;
Zastanawia ją jedynie,
W jaki sposób to się spełni
I co powiedzieć Justynie?
Lecz usarz i w tej potrzebie
Przyjmuje wszystko na siebie:
Garnek zbyt był zasklepiony,
Płomień zbyt był rozniecony;
Tak mocno nagle zawrzało,
Że aż garnek roztrzaskało —
A strzaskanie on wykona.
I cała sprawa skończona.
Annie dobrem się to zdało.
Więc za chwilę rzecz skończona.

VIII. ZJAWIENIE SIĘ KOCHANKA.

Z okiem, na śpiącą wróżkę skierowanem,
Zaledwie ziemi palcami tykając,
Skrada się usarz ze sporem polanem;
Jego krok koci, oko — czujny zając.
Staje po cichu przed pieca ogniskiem,
Uderza w garnek z góry z siły całej:
Garnek zazgrzytał, prysnął wrzątku tryskiem
Na wszystkie strony i runął w kawały.
Syknęły przykro obryzgane głownie,
Płomień, jak wściekły, z paszczy pieca buchnął,
Na całą chatkę popiołami dmuchnął.
Drzwi się od sieni otwarły gwałtownie,
Jakby wiatr nagły wyrwał je z zawiasów.
Wróżka, zbudzona tą burzą hałasów,

Zrywa się z ławy, poleca się Bogu.
Lecz większy przestrach schwycił wszystkich społem,
Kiedy mgła pary opadła z popiołem,
Bo oto nowy mąż zbrojny stał w progu.
Twarzy nie widać, — przyłbica spuszczona,
Stoi chwil kilka posągiem stalowym,
Robi krok wreszcie i głosem grobowym
Przemawia groźnie: — »Nie! rzecz nie skończona!«
— »Wszelki duch« — woła wróżka — »Pana chwali.«
— »I ja go chwalę« — odpowiada dziwo.
— »Jak tu przychodzisz? czy trupem, czy żywo?« —
— »Nie wiem« — i dalej wolnym krokiem zmierza.
— »Po co przychodzisz?« — »Po Annę z Nabrzeża.« —
I ku niej kroczy widziadło ze stali.
Lecz Anna sama oszczędza mu drogi.
Strwożona, prędko ochłonęła z trwogi.
Ona niemylnem kochanki poczuciem
Dostrzegła prawdy pod zbroi okuciem,
Ani ją głosy udane zmyliły;
Prędko w nich ona poznała głos miły.
I jak poznała, wnet z radością dziecka
Klasnęła w dłonie, skoczyła z zapiecka,
Gdzie się schroniła w przerażeniu pierwszem.
— »To on! on« — woła — »to własny głos jego!« —
Chwyta dłoń jego ściśnieniem najszczerszem,
A drugiej ręki badawczem dotknieniem
Pyta o serce puklerza zimnego.
I wnet pewniejsza, woła z uniesieniem:
— »Nie wierzcie jemu — on nie duch — on żyje!
Jego dłoń pała, jego serce bije!« —
On na to zimny, jak cały ze stali,
Przemawia tylko powoli, surowo,
Głosem wyrzutu, co się razem żali,
A jako strzałę, puszcza każde słowo:
— »Nie maszże prawa do myśli,
Że takie serce ostygło,

Albo nawet zgasło może?
Lub że rozrządzenie Boże,
Co nam losy nasze kreśli,
Samo związek ten rozstrzygło?
A więc wtedy serce wolne;
A że próżnem być niezdolne,
Więc się innemu odmyka.« —
Gorzki to wyrzut! Jeżeli nie zabił
Uniesień Anny — wszakże je osłabił.
Lecz ona staje w pokorze grzesznika,
Blednieje żalem, wnet się wstydem płoni —
Ona nie przeczy, ona się nie broni;
Obiema dłońmi twarz sobie zakrywa,
I woła słowem, co się wciąż urywa:
— »Tak, zawiniłam!... cała wstydem pałam...
Ja to odpłacę... odpłacę mem zdrowiem...
Tak jest... uwieść się szatanowi dałam...
Wszakżem niewinna!... sama później powiem...«
I łzy obfite z pod rąk jej kropiły,
A duszą smutną, lecz czystą świeciły. —
Gdy po tych słowach ręka z ócz opadła,
W miejscu zimnego, groźnego widziadła
Stał przed nią miły w swej postaci własnej,
Z odkrytą głową, z obliczem wesołem,
Z uśmiechem w twarzy, od wesela jasnej;
Skłonił się Annie ukorzonem czołem,
Wziął jej dłoń, złożył pocałunek na niej
I rzekł z uśmiechem: — »Uspokój się, pani!
Co mi masz mówić, sam wszystko słyszałem,
A co się stało, może wprzód wiedziałem,
Bo co się stało, dzieje się zwyczajnie.
Czas już i ciebie wprowadzić w tę tajnię.
A naprzód pozwól, że przedstawię tobie
W znanej już pana Wolskiego osobie,
Który grał tutaj rolę kusiciela,
Doświadczonego mego przyjaciela;

Od dziecka z nim się znamy i kochamy,
Dzisiaj służymy w chorągwi tej samej.
Myśmy wieczorem jeszcze tu przybyli,
O dzień komendę naszą wyprzedziwszy,
I wczoraj jeszcze byłbym najszczęśliwszy
Mój hołd ci złożyć, nie tracąc i chwili,
Gdyby nas pora nie wstrzymała późna.
Widzę tę chatkę, dawna to znajomość —
Więc do Justyny — stajenka jej luźna —
Chętnie nas zacna przyjęła staruszka.
Jużeśmy właśnie brali się do łóżka,
Gdy nam Justyna przyniosła wiadomość
O twem przybyciu i dziwnem żądaniu.
W owej to chwili coś mi podszepnęło
Doświadczyć serca kobiety w kochaniu.
Wnet w myśli całe złożyło się dzieło
I z myśli zaraz wylało się w słowa:
Przyjęto pomysł — stanęła umowa.
Wolski nad wszystko był uradowany;
Jego to pomysł, że garnka strzaskanie
Będzie jak salwa stanowczej wygranej.
Reszta ci znana — znane wykonanie —
Mnie równie — ile słuch sądzić jest w stanie,
Co oczy widzieć byłyby wolały —
Bom stał za drzwiami w sieniach czas ten cały.
  Oto masz nagą tajemnicę całą
Tego, co zaszło, serca mego pani!
Ufam, że wszystko, co się tutaj stało,
Nie pozostanie jak igraszką dla niej,
Że ją policzysz między krotofile,
Których wyprawia miłość codzień tyle.
Twa wina pani, jest ci odpuszczona.
Możem już wyrzec: teraz rzecz skończona.« —
  Nie z tem uczuciem słuchała dziewica,
Z jakiem kochanek mówił, w jakie mierzył.
Już wstęp powieści gromem ją uderzył,

Po nim ślepiąca, długa błyskawica
Całą ją w wszystkich jej władzach olśniewa,
W miarę, jak naga prawda się odkrywa
Wszystkiego, co ją spotkało tej nocy.
Aż przywołała całej swojej mocy,
I z zawstydzonej, żebrzącej przed chwilką,
Stanęła raczej w obrażonej dumie —
Zdrętwiałą łezkę trzyma w oku tylko.
Oko w dół spadło lub zwraca się w stronę,
Za to ku słowom ucho natężone;
Widać, że każde chwyta i rozumie,
Że je gdzieś spuszcza, jak w przepaść bezdenną,
Ale co z niemi robi się tam na dnie,
Tego patrzący nie dojrzy, nie zgadnie,
Taką się korą pokryła kamienną.
Słowem ni ruchem nie miesza powieści,
Pytań nie robi — powieść ta, choć zwięzła,
Jest rozwiązaniem każdego jej węzła;
Dla siebie samej ma też dosyć cześci,
Aby się duch jej do wyrzutów zniżył;
Wyrzut tylkoby jej czuciom ubliżył.
Do końca przeto słuchała cierpliwa,
Lecz kiedy umilkł: — »Rzecz ma być skończona,
Waszmość powiadasz?« — zwolna się odzywa
Głębokiej skargi i bolu wyrazem,
W którym dźwięk słychać rozbitego łona.
Umilkła, chwilę głową ruch robiła,
Ruch, gdzie wątpienie i przeczenie razem;
Znowu bezwładnie głowę pochyliła,
Lecz ją natychmiast, jak ockniona, dźwignie: —
»Ha! zobaczymy! — jutro się rozstrzygnie!«
Wnet się postrzegła, że czas biegł z pośpiechem,
Co było jutrem, w dzisiaj się zmieniło.
— »Zapomniałam się« — rzecze z półuśmiechem.
Z którego w duszy źródło płaczu biło. —
»Miałam powiedzieć: dzisiaj się rozstrzygnie.

Cóż robić? niech się wola Boża dzieje!
A mnie na teraz, zaczem rozednieje,
Nie pozostaje, jak do domu śpieszyć.
Dobranoc, babko! Żegnam was, panowie.« —
— »Jak to, tak krótko — Jan, błagając, powie —
Miałbym się pani obecnością cieszyć? —
Chwileczka jeszcze.« — Anna w progu staje,
Patrzy w kochanka błyskiem jednej chwili:
— »Krótko? — pyta go — mnie się owszem zdaje,
Żeśmy za długo może tutaj byli.
Za długo może żyliśmy ukradkiem.
Wszak się dziś ujrzym, a ujrzym przed świadkiem,
Co ma do tego prawo — przed rodzicem.«
— »Pozwól przynajmniej w tej chwili rozstania,
Że na twej ręce pożegnanie złożę.«
Dziewica ani zezwala, ni wzbrania,
Opuszcza rękę z odwróconem licem:
Łzę mimowolną chciała ukryć może.
Pierwsza za długie pożegnanie zrywa,
Wymknąwszy rękę z cisnących ją dłoni,
Kilku krokami próg i sień przebywa —
I już jej niema — tylko pustka po niej,
A w pozostałych milcząca tęsknota.
Gdybyż tęsknota tylko! — lecz zgryzota.
Każdy przez chwilę stał w miejscu jak wkuty,
Niepokojony silnemi wyrzuty.
Pierwszy Jan przerwał to przykre milczenie —
Jego w tej sprawie najcięższe sumienie;
Pierwszy się ozwał: »Anna obrażona!
Prawda, że żart nasz był zbyt obozowy,
A co najgorsza, że wyszedł z mej głowy...
Może i zgadła, że rzecz nie skończona.« —
Justyna wszystko przypisuje czartu,
Który nie lubi, aby jego sprawki
Człowiek obracał na swoje zabawki,
Który się darmo nie wmiesza do żartu.

Wolski, choć zbity, jak inni na razie,
Powraca prędko na pole usara
I filozofją usarską się stara
Całą rzecz w milszym przedstawić obrazie:
Niebo miłości chmurzy się czasami,
Równie jak niebo, które jest nad nami,
Aby pogodą zaświeciło jaśniej.
Gorętsza zgoda wyjdzie nieraz z waśni;
Często jej Kupid używa, jak mieszka,
Ażeby serca rozżarzyć goręcej;
Na niego radzi spuścić się najwięcej,
A on co zwadził, zgodzić nie omieszka.
I tem mniej złego obawia się skutku,
Że on przynajmniej widzi w Anny smutku
Inne uczucie, niżli zagniewanie.
Tutaj przypomniał własne jej wyznanie,
Jako jej wola ojcowska narzuca
Postanowienie, sercu wręcz przeciwne.
Owóż w tej chwili — ani mu to dziwne —
Myśl ją ta więcej, niż kiedy zasmuca.
Bliższe spełnienie pogróżki ojcowskiej
Rzuca ją w większe obawy i troski.
Te i podobne Wolskiego uwagi,
Rzeczywistości mające pozory,
Dodały panu Janowi odwagi
Spokojniej czekać tej stanowczej pory,
Gdzie i los jego stanie przed nim nagi.

IX. ROZWIĄZANIE.

Co pan Nabrzeski wczoraj przewidywał
I zapowiedział, to się dziś ziściło:

Łaskawym gościom liczby już nie było.
Dawno most zamku tyle postękiwał
Pod kuciem kopyt i kolas ciężarem,
Dawno pył taki z dróg zamku się zrywał,
Dawno w nim tyle luda się roiło,
Dawno te mury grały takim gwarem,
Bo od poranku aż nim zorza błyśnie,
Coraz to nowy gość w bramę się ciśnie:
Już to ciągnące dalej poczty zbrojne,
Już to sąsiedzi, sproszeni umyślnie,
A wszystko zacne, dostojne i strojne.
  Aż serce rosło, kiedy tłum ten cały
Stół uczty żywą otoczył koroną.
A w środku błyszczą srebra i kryształy,
A w całej sali jasność, jak dzień biały,
Takiem ją licznem światłem oświecono.
Ale nad przepych godowej wystawy
Więcej chwytają i serce i oczy
Mężów szlachetne, rycerskie postawy,
Niewiast wdzięk cudny, co, jak kwiat uroczy,
Przetyka wianek tej bratniej zabawy.
  Świetne w nim miejsce Jan Zapłocki trzyma.
W męskiej urodzie równego tu niema,
Nikt też w ochocie przodku mu nie bierze,
Pan Wojski bowiem, śród tak zacnych gości
Z nikim się bardziej nie obchodzi szczerze,
Nikomu większych nie świadczy grzeczności.
  Pan Wojski płaci dotąd dług wdzięczności
Za ową świetną usługę rycerza,
Kiedy do zamku szturmowały chłopy,
Bez której może te oto okopy
Byłyby tylko mogiłą Nabrzeża.
Pan Wojski wobec wszystkich to powtarza
I słów swych szczerość we wszystkiem wyraża.
Kiedy więc taka obecność się śmieje,
Nie dziw, że przykre zeszłej nocy dzieje

Zgasły bez śladu w obliczu usarza.
Zamyśla nawet, przyjęciem tem śmiały,
Skoro po temu nadarzy się pora,
Odkryć Wojskiemu kryte swe zapały,
Chociażby jeszcze i tego wieczora;
A wielbionego przedmiotu przytomność
Myśl tę podsyca, zbroi ją w niezłomność.
Nigdy też Anna nie była piękniejsza,
Nigdy tak piękna — lecz jakimś urokiem
Nieodgadnionym, wewnętrznym, głębokim,
Który jaskrawość wdzięków ciała zmniejsza,
Łagodzi wyższej piękności obłokiem.
Białość jej lica bledsza i przejrzystsza;
Rumieniec skrytszy pała wdzięczniej, silniej;
Żywość ócz cichsza — ale wpatrz się pilniej,
A wnet dostrzeżesz, że większa i czystsza,
A w duszę wpada i bystrzej i głębiej.
Jest tam i smutek, tak spokojny, miły,
Że nic nie szpeci słodyczy gołębiej,
Której znów miękkość nie zaciera siły,
Wybijającej poważniejsze życie
Z ogniska duszy w każdym ruchu ciała.
Jeszcze tej nocy pół-dziewczę, pół-dziecię,
Anna przez ten czas w niewiastę dojrzała.
To pod zwyczajny wzrok nawet podpada —
Ale kto głębszem spojrzeniem ją zbada,
Ten może pozna, że to duch zbolały,
Świętą modlitwą w niebie oczyszczony,
Spadł tu dla jakiejś ofiary niemałej,
I gdy ją spełni, uleci w swe strony.
Dawno już było po zachodzie słońca,
A zamek jeszcze grzmiał gwarem radości,
Kiedy pan Wojski dał hasło jej końca:
Naprzód szczeremi słowami wdzięczności
Dla zgromadzonych spółobywateli,
Że swą bytnością zaszczycić go chcieli,

Na końcu prosząc dzisiejszych swych gości,
By jutro jego uprzejmość przyjęli.
Dzisiaj, powiada, jak Polak, swej braci
Dług narodowy weselem swem płaci;
Jutro, jak ojciec, będzie się radował,
A z łaską Bożą będzie usiłował,
By nikt przez »jutro« »dzisiaj« nie żałował.
 Braterskiem sercem przyjęto wezwanie.
Wnet nastąpiło wzajemne żegnanie,
Potem rozstanie. Komu droga blizka,
Ten wraca na noc do swego ogniska;
Kto dalej mieszka albo jest w pochodzie,
Jako wojskowi, ten w zamku zostanie,
Gdzie mu nie zbędzie na żadnej wygodzie.
Znajdzie, jak w domu, na to liczyć może,
On i koń jego — i strzechę i łoże.
 Za chwilę cisza na zamku panuje
Tylko czeladka zamkowa się krząta,
Ostatki uczty dzisiejszej uprząta
I do jutrzejszej, co trzeba, gotuje.
Ogromne rygle bramę już zatrzasły
I wszystkie prawie okna już pogasły;
Jedna komnata mocniej oświecona,
A w tej komnacie siedzi Wojski, żona,
Anna, Zapłocki i przyjaciel jego.
 Pierwszy Jan prosił o rozmowy chwilę
Wobec, gdy można, Anny i jej matki;
A że w tem tylko uprzedził Wojskiego,
Żądanie jego przyjęte jest mile.
Jan więc w przemowie i czułej i gładkiej
Przed zebranemi rzecz całą zagaił:
Wyznał otwarcie swe czucia dla Anny,
Jak je w nim wzbudził pierwszy widok panny,
Jak miłość swoją bardzo długo tail;
Jak z nią rodzicom nie śmiał się wynurzyć,
Bo czuł, że trzeba mu było wysłużyć

Szczęście tak wielkie przez ofiarę siebie
Na polu bojów, w ojczyzny potrzebie.
Lecz dzisiaj czuje, mówi to bez chluby,
Czuje sumiennie, że ma pełną wolę
Wstąpić na milszych obowiązków pole,
W życie rodzinne przez małżeńskie śluby.
A ta nagroda, wartości niebieskiej,
Za wszystkie lata i trudy pod bronią
Jest dziś dla niego dłoń panny Nabrzeskiej!
Dla tego kornie śmie upraszać o nią.
Prosi tem śmielej, dodał na ostatku,
I w tem, zda mu się, serce go nie zwodzi,
Że ma jej czucie wzajemne w zadatku.
Więc o rodziców słowo głównie chodzi;
O to ich słowo wznosi dziś błaganie.
  Taki był koniec Jana oświadczeniu.
Pan Wojski słuchał w poważnem milczeniu,
Jak przyzwoita w podobnem zdarzeniu,
Ale je przyjął dobrze nadspodzianie;
Twarz jego, zrazu zadziwiona nieco,
Surowa nawet powagą ciekawą,
Zmienia się w coraz to bardziej łaskawą;
Oczy uśmiechem uprzejmości świecą.
Wszakże cierpliwie aż do końca siedział,
Po zakończeniu wstał i tak powiedział,
A w słów powadze, ojcu przyzwoitej,
Grało wzruszenie radości ukrytej:
  — »Uczucia twoje, szlachetny rycerzu,
Dla mojej córy do serca mi wchodzą;
Żądania twoje z mojemi się godzą.
Oddawna jesteś ceniony w Nabrzeżu.
Ratunek, któryś nam przyniósł w przygodzie,
Dostatek, zacność dziedziczna w twym rodzie,
Przymioty serca, dworskość obcowania
I czego sam się dorobiłeś krwawo,
Niezaprzeczone dają tobie prawo

Do odkrytego nam dzisiaj żądania.
Ojciec najchętniej ku niemu się skłania;
Matka i ojciec są jedno, to samo.
A córka? — Córka nie stanie też tamą,
Mam powód wierzyć.« — Po lekkim uśmiechu
Ciągnął rzecz dalej: — »Serdeczny wasz związek
Nie był nam tajny. Mój mi obowiązek,
Urząd Wojskiego, w chacie, jak za chatą,
Kazał to widzieć, kazał baczyć na to.
A żem go widział bez żadnego grzechu
I wierzę w mojej córki posłuszeństwo,
Jestem mu gotów dać błogosławieństwo.«
To wymówiwszy, schwycił, rozjaśniony,
Rękę swej córki w serdecznem ściśnieniu:
— »Oto jest, córko moja, narzeczony,
Któregom wczoraj zwiastował przybycie.
Nie wymieniłem jego po imieniu,
By dziś tem więcej ucieszyć me dziecię.
Teraz twojego tylko braknie słowa,
A dłoń rodziców połączyć gotowa,
Co już przed Bogiem, nie wątpię, złączone.
Reszta rzecz księdza, i wszystko skończone.«
Umilkł i czeka — w córkę się wpatruje,
A z oczu jego niecierpliwość strzela,
Która nieśmiałe słowo wywołuje,
To znowu dobroć, która je ośmiela.
Dziewica w całym tej rozmowy ciągu
Siedziała, pełna godności, powagi;
Nie był to nieruch, lecz urok posągu,
Ożywionego napięciem uwagi.
Spojrzyj w to lice, a uznasz odrazu,
Że nie puściła żadnego wyrazu,
Że ta postawa cała nie jest z głazu,
Chociaż w niej żadnej nie dostrzegasz zmiany.
Raz tylko pobladł policzek rumiany,
Gdy usłyszała, że zapowiedziany

Wczoraj przez ojca był właśnie jej miły.
Chwilkę to trwało — rumieńce odżyły.
Teraz dopiero, na ojca wezwanie,
Powstała, jakby podrosła, złożyła
Na ręku ojca szczere całowanie,
Poczem do dawnej postawy wróciła
I rzekła kornym, ale pewnym głosem:
— »Dzięki ci, ojcze! za twą rodzicielską
Miłość i czujność nad mym biednym losem.
Opieka twoja jest dla mnie anielską,
Twojej się woli jam poddać gotowa;
Lecz kiedy żądasz mojej woli słowa,
Więc odpowiadam, że dla związku tego
Błogosławieństwa nie widzę Bożego.«
 Wojski tak mało był w przygotowaniu
Do tej odmowy, że ją wnet policza
W wybiegi, które ma na zawołaniu
Złośliwość albo lękliwość dziewicza;
Przeto z uśmiechem łagodności rzecze:
— »Co się odwlecze, to nie uciecze.
Nic nas nie nagli. — To za dni kilka,
Za kilka niedziel, za miesięcy kilka.«
— »Nigdy« — odrzekła, a głosem tak silnym,
Że nastąpiła uciszenia chwilka.
— »Ja nie poznaję dzisiaj mego dziecka« —
Zawołał Wojski, nieco nadąsany. —
»Już w dzień dostrzegłem w tobie dziwnej zmiany.
Czy w nocy jaka pokusa zdradziecka?...«
— »Tak, ojcze drogi! Dusza twa odgadła...«
Tu Anna we łzach ojcu do nóg padła.
— »Tak jest! tej nocy pokusa zdradziecka
A nieodparta dopuszczeniem Bożem
Związek serc dwojga rozcięła, jak nożem.
Jak na spowiedzi, opowiem rzecz całą.
Nie chcę nikogo winić, siebie bronić:
Jam głównie winna w tem, co mię spotkało.

Racz tylko ucho ojcowskie mi skłonić.«
Tu, w słowach jasnych, choć głosem wzruszenia,
Z religijnego szczerością wyznania
Kreśli koleje swojego kochania,
Oskarża siebie o grzech zatajenia,
Z równą szczerością i prawdą odsłania
Wszystkie ostatniej nocy wydarzenia,
A nie opuszcza żadnego wypadku,
Na żadną skrytość nie rzuca zasłony,
Aż do oporu w duszy oburzonej
Woli, przez ojca wczoraj objawionej,
Aż do skłonienia serca naostatku
Ku oświadczynom Wojskiego udanym.
Dotąd jej winy — dotąd ma dość mocy
Prowadzić spowiedź ciągiem nieprzerwanym.
Ale przychodzi do tej chwili w nocy,
Kiedy się wszystko rozstrzygło z kochanym,
Gdy, wierna prawdzie, powinna powtórzyć,
Jak się podstępu wyjaśniło dzieło.
Tutaj musiała wszystkich sił swych użyć,
Oddała wszakże Zapłockiego słowa;
Lecz ją chwil owych tchnienie obwionęło,
Oblicze bladość pokryła grobowa,
Głos, jak ucięty, zapadł w głębię gardła,
Serce konwulsją rzuca się śród łona.
O! widać, że się nanowo rozdarła
Rana jej duszy, świeżo zabliźniona,
Że w straszną chwilę dziewica znów weszła.
Ale na krótko — łzy sypnęły gradem,
Życie lśni w licu, przed chwilą tak bladem,
Zmora przeszłości, jak sen, z piersi zeszła;
Anna wróciła do głosu, do siły,
A słowa wyznań ostatnich te były:
— »Więc miłość moja nie mogła mieć wiary,
Miłość tak czysta, taka niezmierzona,
Miłość tak stała — i razem szalona!

Bóg też dla tego piorunem Swej kary
Strzelił w nią; — jeśli nie zmarła — to kona.
Wskrzesić jej nie mam nadziei, ni chęci...
Przyszłam do domu bez sił, bez pamięci,
Omdlała prawie. Upadłam na ziemię,
W prochu, w modlitwie, zalana łez strugą —
I tak przetrwałam, już nie wiem, jak długo,
Żebrząc, aby Bóg zdjął ze mnie to brzemię.
Bóg mię wysłuchał. Jego to wszechmocne
Światło rozbiło cienie duszy nocne,
Żem się ujrzała winną, głównie winną.
Złożyłam Bogu pokorę dziecinną,
A wnet głos Jego niebieski, ojcowski
Uciszył ducha boleści i troski
I dał mi radę ku życiu nowemu.
Iść mi już odtąd pokazaną drogą.
I w tej ot! chwili nie winię nikogo.
Jam przebaczyła — przebaczam każdemu,
Kto w jakikolwiek sposób mi zawinił;
Wiem, że pomimo swej wiedzy uczynił.
Nie mam niechęci, ale także nie mam
I tej miłości, którąm dotąd żyła:
Jedną i drugą Bogum poświęciła
I w tej ofierze do śmierci wytrzymam.
A na stwierdzenie ślubów mych szczerości
Oddaję długu mojego ostatek.
Oto pierścionek, najpierwszy zadatek
Mojej najpierwszej, ostatniej miłości.
Odkąd się czuję być do niej niezdolną,
I jej oznaki chować mi niewolno.«
To mówiąc, pierścień oddała Janowi,
Który przez ciąg tej sceny niespodzianej
Stał, krociem wzruszeń wewnętrznie miotany,
Ale z pozoru podobny głazowi.
Poczem, przed ojcem padłszy na kolana
I obejmując, całując mu nogi,

— »Przebacz — wołała — przebacz, ojcze drogi!
Wielka ci boleść przez córkę zadana.
Czuję to — ale wysłuchaj jej głosu,
Spojrzyj mi w duszę, a twój wzrok zobaczy,
Że córka, dziecię twoje, nie dziwaczy
Z chwilowych dąsów lub głupiej rozpaczy
I nie wydziera ci z rąk swego losu.
Poddam się i dziś kornie twojej woli.
Jeżeli trzeba przez te ot! zamęście
Twojemu szczęściu poświęcić me szczęście,
Przyjmę, nie szemrząc, jarzmo mej niedoli;
Ale choć u stóp ołtarza złączona,
Mężowi memu nie będę ja żona.
Ślub nie uleczy rany, co tu boli!
Miłość mojego serca pogrzebiona,
Nasz tutaj związek już nienawiązany.
Przebacz mi, przebacz, ojcze mój kochany.
Przebacz mi, matko! przebaczcie, panowie!
Jeślim wam boleść podała w mem słowie.«
— »Wstań, dziecię moje!« — pan Wojski zawołał,
Silnem objęciem podnosząc ją z ziemi,
Z oczami, od łez krytych nabrzmiałemi,
Które swem męstwem ledwo wstrzymać zdołał,
Chociaż z początku pozierał z surowa,
I usta słowem zagrażały gniewnem,
Zaczem stopniami powieści osnowa
Nie napełniła go uczuciem rzewnem;
Wtedy ją porwał w ojcowskie ramiona
I długo trzymał tuloną do łona,
Jakby w pierś swoją brał jej piersi bole. —
«Bądź dobrej myśli! Masz twą całą wolę.
Ty skarb lat moich, jedynaczko droga!
Idź, idź za głosem, podanym przez Boga,
A ojciec tylko błogosławić będzie,
Wspierać w potrzebie, towarzyszyć wszędzie.
O przebaczenie jego głos twój próżny.

On tobie, córce, przebaczeniem dłużny.
Jeżeli w tobie znalazła się wina,
Jeżeli inni zawinili tobie,
To ze mnie może najpierwsza przyczyna:
Ja nazbyt lekko postąpiłem sobie,
Ja pierwszy wziąłem twe czucie, jak fraszkę,
I postawiłem losom na igraszkę,
Chociem go lekce nie ważył, Bóg świadkiem;
Ale skłamałem — Bóg nie błogosławił.
Ja pierwszy dzieło fałszu rozpocząłem,
Czart był w swem prawie, zakręcił ostatkiem,
I całe dzieło poszło jego kołem.
Nie wygrał jednak, sam Bóg nam naprawił!
Tak, ufam Bogu, szczęście nie stracone,
Będzie przez Boga z lichwą nagrodzone,
Skoro odboli każdy w miarę winy.
Trzeba odboleć. Dla mojej dzieciny
Dola już odtąd rozkwitnąć powinna;
Ona z nas wszystkich jedna najmniej winna —
A przeszła, biedna, przez największą karę,
Wzięła na siebie najcięższą ofiarę;
Ona za jedno przewinienie małe
Kładnie w pokucie swoje życie całe —
Wszystko, dla czego reszta kobiet żyje.
Słuszna, że ojciec wolę swoją skorzy
Przed wolą twoją — słyszy w niej głos Boży;
Przed wolą wyższą w tobie czołem bije.
Dość spojrzeć na nią — czyż nie godna tego?« —
I w rzeczy samej, coś tak nadziemskiego
Było w jej słodkiem a czystem spojrzeniu,
W twarzy, dobrocią rzewną oświetlonej,
W całej postawie kornej a wzniesionej,
Że się widziało, jak w uosobieniu,
Piękność tryumfu ofiary spełnionej.
I pan Jan wreszcie powoli, powoli
Przyszedł do siebie, poddał się swej doli,

A wtedy usta mu się odemknęły
I w słowach szczerych, rzewnych a niewielu,
Jak zasłużonej przystoi pokucie,
Chociaż mu wszystkie nadzieje zniknęły
I życie jego jest dziś jak bez celu,
Oświadczył jednak, że jego uczucie
Zostanie wiecznie do Anny przykute,
I to mu jego osłodzi pokutę.
Z równą szczerością i wewnętrznym płaczem
Wolski u Anny żebrał przebaczenia.
On złego ducha był głównym działaczem —
Przez jego płochość, z jego zawinienia
Poszły te wszystkie tylu serc cierpienia.
Pan Wojski zamknął rzecz: — »Bracia kochani!
Wszyscyśmy winni, wszyscyśmy skarani.
Nie pozostaje nam, jak wytrzeć z pamięci
Wszelką urazę, wszelki ślad niechęci;
Wzór tego daje nam słaba dziewczyna,
Mężów rzecz teraz przedeptać jej ślady.
Ojciec, jak słuszna, pracę tę poczyna
I dłonią bratniej zgody przypomina,
Że dzień jutrzejszy będzie dniem biesiady.
Na nią o waszą obecność uprasza
Niezmiennem sercem brata-przyjaciela.
Dzień ten nie może nam być dniem wesela,
Jakem układał, a co Bóg rozprasza —
Niechże go święci polska zgoda nasza.« —
I rękę obu po kolei ściskał;
A kiedy obu przyzwolenie zyskał,
Dał poczuć wszystkim słówkiem napomknienia
Porę spoczynku, nim rano nadbieży.
Było to w myśli i naszych rycerzy,
Chociaż nie w obu z potrzeby uśnienia.
Na wychodzących trzymał Wojski oko,
Łagodne, tkliwe, zadumą omglone;
Już krok ich ucichł on patrzył w ich stronę

I z żalem wyrzekł, westchnąwszy głęboko:
— »A jednak wielka to radość starości
Mieć swoje wnuki, przeżyć w wnuków gronie,
Błogosławić im, mieć ich łzy przy skonie!
I jam się takiej spodziewał radości!...«
I smutne oczy skierował ku żonie.
Lecz gdy na Annę przeniósł je od żony,
Najprzód wymierzył policzek sam sobie:
— »O, nędzny starcze! myśl szemrania w tobie!« —
I już po smutku ni śladu na twarzy.
— »O, nie!« — zawołał — »Bóg bądź pochwalony!
Komu twa łaska taką córkę zdarzy,
O! taka córka za wnuki mu stanie.
Szczęśliwe życie, szczęśliwe skonanie!
Nieprawdaż, Anno! nieprawdaż, me dziecię?« —
I rozrzewnieni rodzice oboje
Tak ją tulili w uściśnienia swoje,
Że ledwie mogła przemawiać ze łzami
Śród tych uścisków: — «Zawsze, zawsze z wami!
Wam moja miłość, dla was całe życie.« —

1840.

ZASŁONY ŻYCIA.

Anioły, duchy przeczyste, niewinne,
Szczebel stworzenia najwyższy,
Stolicy Bóstwa najbliższy,
Są jego tworem, jak i wszelkie inne,
Mają swe błędy przed Boga mądrością,
Mają swe plamy przed Boga jasnością.
Owóż są także i pomiędzy niemi
Duchy burzliwe niepokojem ziemi,
Niepokojem owych ludzi,
Których wszelaka powszedniość nudzi —
Którzy przy całem szczęściu i swobodzie,
Jakie być mogą w ich bytu obwodzie,
Zbrzydzą je sobie zczasem, jak okucie,
Wprzęgają chęć swą w rozkiełznane czucie
I rzucają szlak, od Boga wytknięty,
Dla nowej, bocznej, choć niższej ponęty.
Człowiek za karę takiego zboczenia
Opada w ciemności kraje
Anioł za karę takiego pragnienia
Człowiekiem zostaje.
Ziemia jest gwiazdą jego pokuty,
Życie na ziemi czasem jego próby —
Szczęśliwy, jeśli spomnienie zguby

Oświeca niebem duch, w ziemię okuty,
Jeśli westchnienia, szczere łzy skruchy
Towarzyszą w tej podróży!
Pokuta krótka; wraca między duchy
I Bogu w niebie, jak służył, tak służy.
Takiemi byli owi anieli,
Którzy, w dziewiczym, przedpotopnym czasie,
W pierwszych ziemianek uwikłani krasie,
Dla ziemskich pieszczot na ziemię zlecieli
I rozpłodzili olbrzymy —
Na takich nieraz i dziś natrafimy
W duszach, promiennych wiekuistą chwałą,
Czy ona cnotę, czy zbrodnię śmiałą
Podnosi nad ziemię całą.



— »O trzykroć Święty, bądź błogosławiony!« —
Zawołał wreszcie w dumaniach posępnych
Anioł Itabel, jeden z tych występnych. —
»Bez końca, Boże, bądź błogosławiony,
Że mię podniosłeś w niebieskie strony!
Niema rozkoszy, większej chwały niema,
Jak anielskiemi oglądać oczyma
Promienny wieniec Twojego czoła —
W stworzeniu całem niema nad anioła!
Czuję to Boże! ale razem czuję,
Że za wysoko podniosłeś mię, Boże!
Być tu szczęśliwym Itabel nie może.
On niebieskiego szczęścia nie pojmuje.
On pada pod niem, jak pod ciężarem.
Chwała bądź Tobie! że w anielskim chórze
I mnieś podesłał pod Twoje podnóże!
Ale ja mniejszym, uboższym darem
Byłbym się cieszył — szczęśliwsze ode mnie,
Stokroć szczęśliwsze słabe pokolenie,

Któremu ojca wywiodłeś w Edenie;
  Stokroć szczęśliwszy człowiek ode mnie!«
  Jeszcze nie zgasła w duszy posępnej
  Ostatnia iskra myśli występnej,
Kiedy, płomieniąc gniewu Pana mieczem,
Zjawił się Cherub, któremu dano
    Zaręczać z życiem człowieczem
Duszę anioła na karę skazaną.
  — »Aniele, bluźnisz! — groźnie zawoła —
Bóg cię wysłuchał i słowo się stało:
  Za karę zdejmiesz ciało anioła,
    A ludzkie obleczesz ciało.«
I wnet się niebios otwarły podwoje,
A oni spadli, jako świateł dwoje,
    I stanęli na biegunie,
Kędy przebywa Duch, który swą pieczą
    Wiedzie z kolebki ku trunie
Planetę ziemi, siedzibę człowieczą.
Siedział on straszny, jak trup zamrożony —
Zasłony ciemne, spływające z głowy,
Kryły całego, jak całun grobowy.
Samo wejrzenie na te zasłony
Losy dni ludzkich jasno przedstawiało:
Na tle ich dzikiem, jak rozpaczy lice,
Błyszczały martwych światełek źrenice,
    A każde łzami kapało.
— »Duchu pokuty! — przemówił Cherubin —
Ten anioł wzgardził niebieskie mieszkanie:
    Odtąd człowiekiem zostanie.
Nałóż mu pierścień ziemskich zaślubin.«
Piszczel prawicy z zasłony wypłynął,
  Anielskim palcom pierścień nacisnął,
Gwałtownym rzutem pokrycie odwinął,
  Nagim, żelaznym szkieletem błysnął,
Krzyknął: »rodzisz się!« — zaśmiał się i zginął.

☆

Odziany wątłem ciałkiem dziecinnem,
Itabel leżał w więzach powicia;
W jego uśmiechu, oku niewinnem,
W uśmiechu smutnym, łzawej źreniczce
Widzisz granicę podwójnego życia,
Dni pokutnicze z anielskiemi w sprzeczce.
Przemaga jeszcze istota niebieska.
Matka-kobieta wzięła go na ręce,
Przykłada całus na członki dziecięce,
Spuszcza łzę na nie — ten całus, ta łezka
Napiętnowały Itabela dolę,
Ochrzciły duszę imieniem człowieka:
Łza wlała w niego wszystkie życia bole;
Z pocałowaniem przepłynęła spieka
Cnych i niecnych namiętności
Z piersi niewieściej w dziecka wnętrzności.
Itabel jęknął niemą głodu skargą
I piersi matki spotkał głodną wargą —
Pierwsze życia unużenie! —
Mlecznym strumieniem życia pokrzepiony,
Spuścił na oczy powiek zasłony
I zasnął -- pierwsze śmierci objawienie —
Głęboko zasnął. — Matka przechylona,
Cisnąc dłoniami serce wgłąb łona,
Aby go bicie serca nie zbudziło,
Śledzi oczami każdy ruch twarzy.
Dziecię śmieje się — cóż mu się przyśniło,
Że drogie dziecię radośnie marzy?
Wszak mu nieznany jeszcze świat wesoły!
Jestże prorokiem? Widzi co się stanie?
Nie! on spomnieniem wszedł między anioły,
On duszą wzleciał w przeszłości otchłanie —
On znowu w niebie, on znowu używa
Anielskich krain szczęścia i dziwa.
Cóż stąd? Jak wprzódy skusiły go nudy,
I Cherub zbrojny jawi się jak wprzódy,

I lecą razem do Ducha ziemi.
Ten sam Duch ciemny w tej samej zasłonie
Błyska z pod zasłon kośćmi żelaznemi,
Ręce anioła chwyta w trupie dłonie,
Naciska pierścień i mroczne okrycia
Rzuca na niego, niby śmierci matnię —
Anioł zapłakał, Duch rozdarł zasłonę:
— »Pierwsze sny dziecka, anielskie ostatnie!
I pierwsza zasłona życia.« —
Krzyknął z wejrzeniem szydersko-zdradzieckiem.
Anioł potoczył łzy słone —
I ocknął się szlochającem dzieckiem.



— »A więc cię żegnam, mój kątku rodzinny!
A więc cię żegnam, mój wieku dziecinny!
Życie bez życia, nie żal mi ciebie —
Co mi po niebie, gdy nie wiem, żem w niebie?«—
Wołał Itabel, Itabel młodzieniec.
Krew na twarz bije w kwiat serca — w rumieniec —
I oczy śmielsze, pełniejsze zapala
Tym ogniem, jakim silna żądza płonie
Albo na trąbę boju brzmiącą zdala,
Albo przy nagiem rozkoszy łonie.
Precz ze spokojem domowej zagrody!
Precz z pieszczotami rodzinnego kółka!
W myślach szczebioce niepokój-jaskółka,
Wabi za góry, za lądy, za wody.
Spiew czarodziejski! Wszystko on przemienia
Wewnątrz i zewnątrz, za nim i przed nim:
Objęcie matki, pełne pokrzepienia,
Zostało dzisiaj uściskiem powszednim —
Stygnie przy ogniu tego spojrzenia,
Co, jak płomienne widmo, gdzieś tam w dali

Sercem dziewicy iskrzy się i pali.
Serce młodzieńca, jak źródło, bezdenne.
Rośnie krwi powódź, jak potopu fala,
Jak eteryczne bałwany płomienne,
Wszystko zalewa, obala,
Aż wszystkie zniesie przeszkody —
Aż cała ziemia bez zapor stanie,
A nad nią buja tylko duch swobody.
Ścieżeczka, która rodzinne mieszkanie,
Niby wstążeczka, splatała ze szkołą,
Zwija się wkoło i strzela wokoło
Tysiącem ścieżek, tysiącem promieni;
W końcu każdego widziadło się mieni,
Gwiaździste, dziwne, jak sen gorączkowy,
I każde wabi to błyskami głowy,
To struną serca, to łechtaniem chuci.
Namiętny młodzian tu i tam się rzuci,
I znowu staje i patrzy i — bada —
Co tutaj wybrać? Tutaj piękność naga,
Tu chwały jasność, tu cnoty powaga,
Tu sytość bogactw... —! Ha! rozkosz przemaga:
Młodzian w objęcia kobiety upada.
Wszystkie widziadła znikły naraz z oczu,
Wszelkie uczucie inne ustąpiło;
Utonął w źrenic miłosnych przeźroczu,
Omdlenie szczęścia niebem nieprzejrzanem
Rozkochanego okryło —
Całego świata widok zasłoniło.
Ustami serca w źródło oka wpity —
Jemu się zdaje, że oko kobiety
Jest jego szczęścia, życia oceanem,
Że on tych źrenic przez wiek nie wypije!
Jakże się zawiódł! Zaledwie użyje —
Jeszcze nie użył — kiedy w tejże chwili
Przesyt się rozlał żółciową goryczą,
A za tą morską głębiną zwodniczą

Dno tuż pod okiem i tuż pod okiem
Pełzają brzydkie poczwary:
Samolubstwa, obłudy, niewiary.
Lecz jad rozkoszy zbiegł już wszystkie żyły,
Przetrawił ciało, rozwiązał siły,
Ujął całego w bolu tortury.
Itabel wydał jęk dziki, ponury,
Wściekłą rozpaczą załamał dłonie;
W nadziei ulgi bluzga przekleństwo,
Nie czując ulgi, utraca męstwo,
Szuka go w swoim i kochanki skonie;
Ale w jej miejscu widmo osłonione
Z pod grobowego wyjrzało pokrycia,
Zdarło z młodzieńca zasłonę:
— »To zasłona życia!« —
Z przeraźliwym śmiechem rykło —
I znikło.



Itabel, duszą i ciałem chory,
Jakby się dobył z objęcia zmory,
Westchnął — i przeszłość i przyszłość całą
Mierzył źrenicą myśli omdlałą.
Zbiegłych rozkoszy i mąk szukał śladu —
Śladu nie było — kochanka zniknęła!
Tylko ostatkiem miłosnego jadu
Wrzał krwi ostatek, głowa płonęła —
I serdecznego szału ostatkiem
Rozkołysane latały źrenice.
Przepadły wreszcie postacie kobiece,
Jak płomienisty płatek za płatkiem;
Pierzchnęły dymy zmysłów pożaru,
A myśl powstała jasna, swobodna
Od brudu zmysłów, od zmysłów ciężaru,
Weszła w uczucia, przejrzała je do dna —

Polubiła ich czystość kryształowę
I zrozumiała muzyczną ich mowę.
Dziwnie, uroczo słowa uczuć brzmiały:
Już to jak trąby bojowej dźwięki,
Już jak melodja wieszczej piosenki,
Aż się podniosły w olbrzymi hymn chwały.
— »O bóstwo prawych uczuć, o chwało!
Pojmuję głos twój i za nim śpieszę.
Odtąd twój jestem. Twoja opieka
Duszą spomnienia żywi trupie ciało,
Podnosi imię nad ziemskie rzesze:
Tyś tylko godna poświęceń człowieka,
Odtąd Itabel należy do ciebie.«
Itabel spełnił przedsięwzięcie swoje.
Oddany całkiem powszechnej potrzebie,
Dla niej, dla chwały zwiódł nadludzkie boje;
Pieśniami zapał miljonów rozniecał.
Jak słońce cnoty, ludziom przyświecał.
Przed samem jego imienia spomnieniem
Ziemia schylała czoło z uwielbieniem.
Itabel prawy! Itabel wielki!
Wzniósł się nad wszystkich chwały namaszczeniem.
Najmniejsza plamka krwawej kropelki
Nie zeszpeciła wieńca jego sławy.
Lecz oto wstaje, rośnie słup kurzawy,
Jakby pół ziemi w pył się rozleciało;
Kurzawa płynie na potokach wrzawy:
Co jest zmian w głosie, wszystko tam grało:
Łoskot oręża, bojowe pioruny,
Witajne hurra, ryki przekleństwa,
Hymnami chwały bijące struny
Pełzały u nóg synowi zwycięstwa.
Wojownik idzie! Wiatr jego przechodu
Z głowy mocarzów korony zrywa!
Pod jego stopą potok narodu
Płomieniem, łzami, krwią się rozpływa.

Obiega ziemię! Zatrzymał się chwilę,
Stanął nad ziemią, jak pomnik grobowy
Na człowieczego plemienia mogile.
Ogniste: Pycha! — laurem jego głowy;
Chorągwie wiały szczęścia skrzydłami;
Oczy wprzód puszczał ze szponami sępów,
A naokoło jego zastępów
Więzy niewoli pełzały wężami
I świat ściskały w miljon pierścieni;
Barwa wojsk jego z krwawej czerwieni.
On sam wystąpił na głowach, wysoko,
Z pogardą pojrzał w Itabela oko:
— »Precz stąd! — zawołał — tu szczęście włada.
Niechaj zasługa przed szczęściem upada.« —
— »Hurra zwycięzcy!« — wrzasnął tłum oręźny.
Itabel upadł — — Imię Itabela
Do szubienicy przybił rozkaz dumy,
Jak człowieczego rodu wichrzyciela.
Klasnął zwycięzcy świat niedołężny.
Do szubienicy tłoczą się tłumy,
Plują w to imię, miotają przekleństwa,
I cała ziemia brzmi chwałą ciemięstwa.
Jedno ócz mgnienie — i oto po chwale,
Której Itabel wszystko poświęcił —
Płacz niemy, gorzki w oczach się zakręcił,
Upadłą duszę ścisnęły żale:
Dumny zbliżył się pod zwycięzcy barwą,
W twarz Itabela błysnął Ducha larwą,
Potrząsł pokryciem z Itabela zdartem:
— »To życia zasłona!« —
Zawołał, zaśmiał się czartem
I przepadł do ziemi łona.

☆

Itabel został na świecie sam duszą —
Itabel puszczy otoczył się głuszą.
Z ciała i z myśli ziemskie więzy zrywa,
Ze wzgardą wszystkie odrzuca ogniwa,
Które ze światem łączą powszednim.
W przeszłość, co za nim, bez żalu spoziera;
Jak lekarz trupa, tak on ją rozbiera,
Bo święta księga mądrości jest przed nim,
Jedyna zdobycz z tylu lat cierpienia,
Z tylu widm rajskich, przekształconych w czarty.
Z księgi przeszłości, na zawsze zawartej,
Jedyna karta — karta doświadczenia —
Naga, bezduszna, ale mężowi,
Co pragnie nad gmin mądrą podnieść głowę,
    Snuje, jak z kłębka, trudy wiekowe
    I czarodziejską sferę stanowi,
Gdzie błędne ognie uczuć już nie płoną,
Gdzie wszelkie dźwięki zmysłów zagłuszono,
Gdzie wszelkie żądze głazem przywalono,
Prócz jednej, wzniosłej, pewnej swego celu —
Chcesz ją zobaczyć? Masz ją w Itabelu.
Siedzi, schylona w wyprężonym biegu,
A przed nią stoją, szereg przy szeregu,
Na białych kartach tajemniczej księgi
Dziwne postacie, zastępy potęgi —
Co w jednej chwili może, gdy zamarzy,
W nowy ruch wprawić cały świat człowieka,
Podnieść zasłonę, która powleka
Arkę nauki — z jej dziwnych postaci
Ten klucz ułożyć, co wszystko otworzy:
Taki trud godzien jest myśli pół-bożej;
On trudy życia całego opłaci.
Itabel siedzi, mierzy, liczy, waży —
Przeliczył, przemierzył, przeważył pół wieka,
Tysiąckroć księgę mądrości przekłada,
Każdą jej głoskę tysiąckroć wybada —

Już blizki celu, już jej klucz posiada.
Jeszcze raz pracę przegląda ściśle,
Patrzy — ciemność szerzy się w umyśle,
Zasłania oczy, plącze mózgu siły;
W głoskach mądrości robak mogiły
Pełza i pisze płomykiem grobowym:
— »Gotuj się w podróż ku światom nowym!
Klucz mądrości śmierć!« — i w Ducha znanego
Nagle zmieniony, obdarł go z pokrycia,
Krzyknął: — »To zasłona życia!« —
I znikł ze śmiechem z przed oczu jego.



Czem jest słup pyłu na wichrów rozdrożu,
Tem Itabela dusza jest w tej chwili
Sród wichru myśli; ciało położyli
W przysionku śmierci na konania łożu.
Im wyżej myślą podniósł się nad ziemię,
Tem cięższej w spadku uczuł myśli brzemię.
Ciężki ból, kiedy zmysły rozstrojone,
Muzykę wrażeń odbijając dziko,
Wzruszają ciało boleści muzyką;
Ale tem cięższy, kiedy przydławione
Uczucia, myśli długich lat pierścieniem,
Scisną się w sobie gasnącym płomieniem —
Czują wkrąg ciemność rosnącą i pod nią
Dopalają się przetlałą pochodnią.
Itabel czuje ten ból dwojaki:
Tu w zwiędłe ciało żądło choroby
Szczepi zniszczenia robaki —
Tu czas w dwóch stronach postawił dwa groby:
Przeszłość i przyszłość — jeden od drugiego
Dzikszy, straszniejszy. Widziadła pierwszego:
Cień, echo bytu, swoją trupią zgrają
Świadectwo zniszczeniu dają.

Straszliwy drugi, bo z jego pomroku
Widziadło nawet nie zjawi się oku —
Sama tam nicość. — »Wieczna Tajemnico! —
Woła Itabel — w której się zatliło
Życie mej duszy, Ty! co tą ciemnicą
Dławisz je dzisiaj, niepojęta Siło!
Nie opuszczaj mię, zlituj się nade mną!
Ten ból zniszczy mię, zniszczy mię to ciemno,
Jak się rozwiało wszystko we widziadła,
Co za żyjące i wieczne trzymałem,
Jak cała przeszłość moja w grób przepadła!
Rzucam się w ciebie i duszą i ciałem,
Prowadź mię odtąd. Zaufany w sobie,
Piłem wciąż strute żywota bałwany,
Bałwany życia przebrnąłem pijany,
Wytrzeźwiłem się dopiero przy grobie.
Lecz jak tu przebyć zagrobową drogę?
Gdzie dojrzeć śladu żadnego nie mogę?
Objaw mi, Boże! Cały chcę być w Tobie,
Dla Ciebie — abym tylko nie był niczem.
O! jakikolwiek jest mój los, o Panie,
Bylem czuł tylko Twoje panowanie,
Niech się we wszystkiem Twoja wola stanie!« —
Skończył — grób chmurny rozjaśniał obliczem
Wschodniego nieba: z głębi jego cienia
Wyłamała się, jak poranna zorza,
Dziewicza postać, a rajskiego tchnienia,
Słonecznych wejrzeń — zbliża się do łoża,
Dotyka zlekka Itabela ręki —
A jej dotknienie, uścisk i wejrzenie
 Rzuciły ciało w ulgi omdlenie —
I mówi dźwiękiem anielskiej piosenki:
— »Bóg, Itabelu, twą pokutę skraca;
Wiara niebieską dziedzinę ci wraca.
Zrzucasz ostatnią życia zasłonę —
Smierć« — — A Itabel, jakoby dopiero

Otworzył oczy długo zamknione,
Ujrzał dokoła światłość nieba szczerą.
Gwałtownym lotem znikał Duch ponury,
Pierścienia śmierci na palcu nie było;
Znany Cherubin i aniołów chóry
Zabrzmiały pieśnią uroczystą, miłą:
— »Chwała bądź Panu nad niebiosami!«
Życie anielskie do nieba wróciło —
Itabel znowu między aniołami.

1835.

GWIAZDA POKUTY.

Kobiety, rodu ludzkiego połowo,
Żono i córko i siostro i matko!
Rodu ludzkiego niewolnice — panie!
Odkąd świat stracił bytu swego słowo,
I twój, kobieto, byt został zagadką,
Której nikt dotąd rozwiązać nie w stanie.
  Duchem i ciałem nadziemska, powiewna,
Tyś głazem, który prze człowieka w ziemię
I w świat mu wyższy wznieść się nie pozwoli;
Uroczą formą aniołom pokrewna,
Drogą szatana wiedziesz ludzkie plemię.
Ty główne źródło człowieka niedoli,
A świat tymczasem czuje w twym utworze
Wszystko, co wznosić, uszczęśliwiać może!
  Dziwna jest, dziwna twa dola kobieca:
Razem pogardę i żal ciebie wznieca.
Tyranka świata i pomiotło świata,
Pomiatasz wszystkiem, co ciebie ugniata:
W tej samej chwili i mężczyzn bożyszcze,
I jak ofiara, krwawisz twej czci zgliszcze.
Ciemiężysz ziemię, sama w poniewierce —
Wszystko ci służy i wszystko cię depce.
Masz więcej, niż ci przyznają pochlebce,

A gorszaś, niż Cię malują oszczerce.
Ty żywem źródłem, ty nicią przewodnią
Złego na ziemi, a byłoby zbrodnią
Ze strony mężczyzn w twych piersiach jedynie
Widzieć ognisko ludzkiego nierządu,
Wszystkie swe klęski twej przypisać winie
I w ciebie samą cisnąć kamień sądu!
Póki nie staną przed tobą już inni,
Niż byli dotąd — jak stanąć powinni —
Póki ci prawdą nie spłacą w pokorze
Za tyle wieków takiego krzywdzenia —
I ja ci mego nie rzucę kamienia.
Jam także nieraz wiódł cię na bezdroże
Gniotącą siłą lub podłą słabością;
I jam ci dłużny prawdziwą miłością.
  Jeślim, opiły powszechnem zepsuciem,
Łudził cię kiedy rymowanem czuciem,
I strzegąc serca, puszczał liche ciało
Na rozkosz z tobą, jak się puszcza nurek
Na oceanu falę rozbujałą,
Lub ptak, co w burzy doświadcza swych piórek —
A ptak i nurek, by poigrać tylko
I wrócić, skąd się puścili przed chwilką —
Jeślim cię kiedy, jak narzędzia, użył;
Jeślim ci kiedy, jak niewolnik, służył;
Jeżelim kiedy na ciało wywabił
Ducha twojego, a potem go zabił —
Jeślim tak grzeszył, ciesząc się nikczemnie,
Żeś ty nie lepsza, że się wywzajemnię:
Chcę dług tej krzywdy spłacić naostatek,
A co dziś daję, przyjmij jak zadatek.
Płacę ci prawdą. Są to tajemnice,
Którem wyczytał w nieziemskiej kronice.
Może strój sztuczny przygasił ich czystość,
Lecz pod zmyśleniem tem jest rzeczywistość.
Czy ten wypadek wchodzi w dzieje ziemi,

Czy innej gwiazdy, ja sam nie wiem tego;
Dość, że się wiąże z sprawami naszemi
I stawi prawdy, ważne dla każdego.

Wiek miljon osiemsetny trzydziesty i wtóry
Od chwili, jak anielskie Bóg utworzył chóry.
Smutny wypadek śród boskiego grodu.
Okropne skutki anielskiego błędu —
Rozbicie słońca. — Swiat nowego rzędu
I utworzenie pokutnego rodu.

Jehowa jaśniał na przyrody tronie.
Niebieska światłość, eteryczne wonie
Krążyły we mgłach blasku i zapachu.
Nieśmiertelnego hymnu święte tony,
Płynąc przez głosów anielskich miljony,
Brzmiały bez końca po niebieskim gmachu,
Echem bez końca świat oblatywały.
Na jasnej wodzy boskiego spojrzenia
Pląsały światy po głębiach stworzenia:
Brzmiący, promienny, błogi był świat cały.
O sto miljony miljonów promieni
I dwieście taktów archanielskich pieni
I pięć dziewiątych pod boskiemi grody
(Tak mierzą długość na nadziemskiej skali),
Płonęło słońce, pieścidło przyrody.
Tak było piękne, tak lube to słońce,
Że je źrenicą Serafina zwali!
Osłaniały je obłoki palące;
Lecz pod tą groźną, płomienną pokrywą
Rozkwitał skarbiec wdzięków, rajskie dziwo.
Taką to ustroń, takiej gwiazdy łono
Dwaj aniołowie wybrali dla siebie.
Tego, co czuli, wstydzili się w niebie;
Dla wynurzenia, co czuli do siebie,
Radzi się kryli pod ognia zasłoną.

Pan niebios zwrócił gdzieindziej oblicze.
Niesyte Boga, poszły święte chóry
Za jego okiem, za swoim żywiołem.
Tylko dwa duchy spuściły się z góry
I zamknęły się w słońce tajemnicze:
Anioł potęgi z miłości aniołem.
Z ócz Serafina płynęły słodycze,
Duma sępiała nad Cheruba czołem;
Ten chmurno patrzał ku boskiej stolicy,
Tamten wciąż szukał Cheruba źrenicy.
Ujął go wreszcie w ogień skrzydeł złoty
I pieszczącemi przemówił słowami:
— »Aniele drogi! Twoją światłość plami
Jakaś zgryzota! Jakież to zgryzoty
Mogą się chwycić niebiańskiej istoty?
Jakie zgryzoty możesz kryć przede mną?
Aniele drogi, otwórz twą myśl ciemną.
Przecież tak dawno myśmy nierozdzielni,
Jak te na barkach naszych dwa skrzydełka,
Jak te na czołach naszych dwa światełka!
Jak pienia, które nucą nieśmiertelni,
W wiecznym i jednym leją się łańcuchu,
Tak i my ściśle spojeni duch w duchu:
Dla czegóż dzisiaj tę jedność rozrywasz?«
— »Co? Ty mię wzywasz? Ach! i na cóż wzywasz?« —
Zawołał anioł potęgi słów gromem —
— »Ale — stało się! — Twoja chęć rozkazem.
Musi, musi być i tobie widomem
To czarne brzemię, które w sobie noszę.
Niech, co chce, będzie, nam zawsze być razem.
Kiedyś nie było nad nasze rozkosze —
Wtedy dość było, o niebios ozdobo!
Twoim całunkiem usta moje skropić,
W twojego oka blasku się utopić,
Ażeby niebios nie widzieć przed sobą;
Alem się czuciem anielskiem rozpalał,

Alem Jehowę nad wszystko wychwalał.
A dzisiaj — słuchaj! — Niedosyć mi nieba,
Niedosyć Boga — dziś mi więcej trzeba.
Ja byłem świadkiem, kiedy Boskie tchnienie
Miało świat nowy wyrzucić w stworzenie,
Kiedy na nowe Bóg pracował dzieło,
Gdy ono w Jego łonie się poczęło.
Co się tam działo i mnie owionęło,
Tego i anioł wystawić nie w stanie.
Sam Bóg zdał mi się w nadboskiej przemianie
Rozlać w dwa bóstwa: tworzące i rodne! —
Odtąd znam rozkosz w swych dziełach się mnożyć,
Odtąd klnę nasze pieszczoty bezpłodne —
Odtąd rozpaczam — pragnę, jak Bóg, tworzyć,
Choćbym miał tworzyć widziadła nicości.« —
Serafin, jeniec nieprawej miłości,
Słuchał tej mowy w natężeniu cichem,
Nie zadrżał zgrozą, zapalił się grzechem:
— »Dzielę twe czucia, twoje żądze dzielę,
Dzielę twą wieczność, mój luby aniele!« —
Jehowa zdawna widział duchów skrytość
I myśl bluźnierczą gromem gniewu mierzył.
Dzisiaj o słuszność trąciła się litość;
Słuszność przemogła, wyprysnęła kara:
Potężną stopą o słońce uderzył,
Gdzie przebywała winowajcza para;
Słońce prysnęło, a grzeszni anieli
Taki dla siebie wyrok usłyszeli:
— »Duchu, któremu niewinność anielska
Była ciężarem, precz z mego oblicza!
Bóg cię ze swoich grodów wydziedzicza
I przyodziewa w pył wiotkiego cielska.
W niem tworzyć będziesz, jakeś tego żądał,
A ród podobny tobie, ród pokuty.
W niem będziesz mieszkał i tarzał się póty
I póty niebios nie będziesz oglądał,

Póki nie spalisz twojego pokrycia
Łzami boleści; póki skrzydłą skruchy
Nie wzniosą ciebie między bratnie duchy;
Póki nie przeklnie płód twego nasienia
Tak wdzięcznej tobie zdolności płodzenia;
Póki się sam jej nie zrzeczesz użycia.
I ty, grzesznego anioła spólniku,
I ty, Serafie, będziesz los ten dzielił.
Wyrzucam ciebie z moich duchów liku,
Żeś twór nad twórcę kochać się ośmielił.
Występny grzechem nieprawej miłości,
W tejże miłości znajdziesz twoje kary:
Kochaj przestępcę nad wszystko, bez miary,
A miej niewdzięczność zamiast wzajemności.
Miłość jedynie twem wsparciem zostanie
Przed groźnym, dumnym twej miłości celem.
Anioł, co w grzechu ściąga cię otchłanie,
Będzie twą męką i moim mścicielem:
W nim twoja kara i zbawienie twoje.
Cierpcie oboje i twórzcie oboje,
Aż razem czystość odzyskacie swoję.«
Kronikarz pisał snać w wielkiej boleści,
Bo wyrok Boży skończył ledwo w treści.
Pierwsza tam wzmianka, jak o rzeczy nowej,
O dwóch płciach różnych, męskiej i niewieściej.
A całą powieść kończy temi słowy:
Część, nogą Boską odbita od słońca,
Świadek strasznego duchów przewinienia,
Jest ich siedzibą aż do kary końca,
I usuniona z Jehowy spojrzenia,
Będzie pół bytu tonąć w głębiach cienia,
A pół żyć światłem ze swojego słońca.

W końcu przypisek jest pod paragrafem:
Biedna istoto, grzeszna przez kochanie,
Nie zapominaj, żeś była Serafem;

Zmieniaj kochaniem w raj nasze wygnanie.
Niech twoja czystość łagodzi męczarnie
Twego anioła, czas kary mu zmniejsza;
Za to znów Bogu będziesz najpiękniejsza,
Za to cię miłość aniołów przygarnie.

1832.

N O D A M.

POWIASTKA LITEWSKA.

Z głuchego szumu grą jednostajną
Niemen, jak niebo, gwiaździsty, siny,
Pełzał w ciemnościach ciałem wodo-łuskiem;
Gdy oto naraz popod Kolajną
Po mokrych piersiach Niemna-gadziny
Mignęła łódka z wiosła-skrzydła pluskiem
I gdzieś zagasła na długiej wód szybie,
Podobna w pędzie igrającej rybie.

Za sen to wzięły zamkowe czaty:
Lecz Hermin czujny, on się nie myli.
Już on, tajemną otoczony radą,
W tych mówi słowach: — »Bojary-braty!
Przemknęło nam się w tej oto chwili
Bujne łabędzi chrześcijańskich stado;
Że zdrowi, bogom niech złożą ofiary,
A ja wam powiem, co to jest, bojary!

Brat Erneljo, komtur Ragnecki,
Z dwudziestą pięcią krzepkich rycerzy

Całkiem żelaznych, a z nimi brat z Wiednia,
Chcą nam wypłatać figiel niemiecki.
Wsiedli w wicinę, i wzdłuż nabrzeży
Szpiegują Litwę. — Zdobycz niepoślednia!
Jeśli się wymknie, wiecie, będzie biada.
Jakże tu z niemi obejść się wypada?«

— »Schwytać ich, zniszczyć!« — jeden głos w radzie;
Lecz o sposobach przeróżne zdania,
Jednych zbyt śmiałe, drugich zbyt lękliwe;
Ten chce otwarcie, ów jest przy zdradzie;
Bo mąż krzyżacki to zbójcza kania,
A tłum litewski to kawki wrzaskliwe.
Jedna ta kania spłoszy kawek tłumy;
Toż się i teraz splątały rozumy.

A był tam sławny olbrzymią siłą
I jak niewiasta, cudny obliczem,
Doznany w bojach mąż, Nodam z przezwiska.
Ten, widząc, że się w radzie zmąciło —
A myśl mu w oczach to pała Zniczem,
To znowu iskrą Perunową pryska —
Powstał i krzyknął: — »Teraz mnie głos dajcie!« —
Wszyscy ucichli i rzekli: »Słuchajcie!«

— »Już to u mądrej Litwy przysłowie:
Nie możesz zerwać, to strząś owoce. —
Chwalę przysłowie, a jawny bój ganię;
Bo mnie myśl taką dali bogowie,
Że się skutkami ani kłopocę.
Zdajcie tę sprawę na moje staranie;
Ja strząsnę drzewo, a wy zobaczycie,
Jak się nam głowy posypią obficie.

»Czy zgoda?» — »Zgoda!« — krzyknęła rada
A Nodam w duszy uczciwszy bogi,

Że mu się żaden krzyżak nie wywinie,
Co prędzej między Litwiny wpada,
Chłopów co tęższych bierze z załogi,
Coś im powiada, i w tejże godzinie
Poszli nad Niemen milczkiem, przyczajeni,
I wraz przepadli w gęstwie drzew i cieni.

Na wschodzie ranek świtać poczyna.
Pogodny Niemen z szklanych otchłani
Wyziewa białe, powiewne tumany;
Po mgły obłokach mknie się wicina,
Dwudziestu siedmiu rycerzy na niej;
Każdy z nich białym płaszczem okutany,
A wszyscy brzegi bystrem okiem szyją:
Z nocnej wyprawy wraca Ernelio.

Kiedy tak patrzą ku brzegom rzeki,
Pędzi niewiasta łanią spłoszoną.
Oporne wiatry z jej szatą się tłukły,
Łzami nabiegły piękne powieki,
Rumieńce trudu na licach płoną:
Lica przecudne, wzrost duży i smukły.
Przypadła na brzeg omdlona, wylękła.
Przypadłszy na brzeg, pół padła, pół klękła;

I wyciągnęła ręce nad rzekę,
I zaszlochała dziką żałobą:
— »Rycerze stójcie! stójcie chrześcijanie!
Mnie, chrześcijance, dajcie opiekę.
Zbawcie od Litwy, zabierzcie z sobą.
Przez Chrystusowe na krzyżu skonanie,
Przez siedmiorakie Maryi boleście,
Stójcie! czekajcie, weźcie mię, ach! weźcie!« —

Rycerskość każe bronić dziewczęcia;
Białym kapturem piękność osłonić.

Miła powinność walecznikom krzyża.
Niewiasta piękna, silne zaklęcia —
Niema co czasu na rozmysł trwonić.
W miejscu wicina skręciła się hyża,
Pędzi do brzegu — już na brzeg skoczyli,
Już nieszczęśliwą tłumem obstąpili.

— »Kto jesteś, piękna?« — komtur jej pyta.
— »Czego chcesz od nas?« — pytanie wtórzy.
— »Ktoś jest? co tobie?« — rycerze badają;
A jej słów brakło — biedna kobieta!
Albo głos w piersiach zatchnął się z nuży,
Albo przed zbrojną ulękła się zgrają:
Nie może mówić, tylko okiem wodzi
Błędnie po brzegu, po mężach, po łodzi.

Lecz oczy łzami zaszły tak mile
I taka boleść na lubej twarzy,
Że się niełatwo było zniecierpliwić.
Lecz w narzekaniach nieszczęścia tyle,
I wzrok tak pięknie zdala się żarzy,
Że wszyscy biegli zblizka się nadziwić,
Z bronią, bez broni — tylko mocne liny
Strzegły rzuconej nad brzegiem wiciny.

— »Gołąbko moja! ochłoń że z trwogi. —
Przemówił znowu komtur łagodniej.
— »Mów twą przygodę.« — »O! powieść niedługa. —
Rzekła nareszcie — Litwin mię srogi
Pochwycił, kilka temu tygodni,
Z kraju polskiego, z tamtej strony Buga.
Ja jestem Polka, jestem chrześcijanka;
Dziś, jak widzicie, jam litewska branka.« —

Tu znów spojrzała na czółno puste,
Potem w zaroślе — i nie kobiety

Głosem zawoła: — »O Niemcy, o błazny!« —
Tak łając, z głowy obrywa chustę:
Głowa w przyłbicy, a z pod rozkrytej
Kobiecej szaty patrzy mąż żelazny.
Pędem piorunu ku wicinie pędzi,
Dobytym mieczem błyska z jej krawędzi.

I woła: — »Głupce! ja Litwin jestem,
Ja Nodam. Gińcie, klnijcie Nodama!« —
Zagwizdał, zagrzmiał gdzieś z przepaści gardła:
— »Hej, Litwa, do mnie!« — Głuchym szelestem
Ożyła puszcza, pękła, jak tama,
Którąby powódź gwałtowna rozdarła,
I z gęstwy liścia w jednem oka mgnieniu
Wypadła Litwa w całem uzbrojeniu.

Napróżno komtur do łodzi woła,
Próżno krzyżacy do łodzi biegą:
Tu silny Nodam zastąpił od brzegu
I nikt go ruszyć stamtąd nie zdoła,
Nikt wydrzeć sznurów z pod nogi jego.
A od pól Litwa w półkrągłym szeregu
Ściska się coraz, w gęstsze coraz miecze
Bierze krzyżaków, aż wszystkich wysiecze.

Prędko bój minął — a u wybrzeży
Które falami Niemna się myją,
Pod twojem okiem, warowna Kolajno,
Dwudziestu sześciu krzyżaków leży,
Dwudziesty siódmy, wódz Ernelio.
Tak zakończyli swą wyprawę tajną,
I to jedynie przez mądrą i śmiałą
Chytrość Nodama. — Pamiętaj go, Chwało!

1835.

PIOTR PSZONKA JASIENCZYK.

Piotr herbu Jasieńczyk, Pszonką zwan,
Pan na Krzyżanowie,
I Toporczyk, Szczekarzewic pan,
Hardzi to panowie,
Nie mają boskiej bojaźni,
Śmieją się z ludzkiej przyjaźni.

Wypadli oni jednego dnia
Na blizkiej wsi pole;
Z niemi ludzi, koni, chartów ćma
I stado sokole —
I polują, jak po borze,
I tłuką zboże nie zboże.

Zaszedł im drogę lud całej wsi;
Błagali biedacy:
— »Co robicie? toż pot naszej krwi!
Szczędźcie krwawej pracy!« —
I czapkami się kłaniali:
»Niech się Ich miłość oddali.«

Smiechem, fukiem zbyto prośby ich —
Dla biednych niedola,
A dla panów niepobożnych śmiech.
Pognali przez pola.
Wieśniacy odeszli z niczem,
Jeszcze niejeden wziął biczem.

W tym czasie zjechał na sądy w gród
Król Wielki Kazimierz;
Przed nim więc upadł i wołał lud:
— »Wymierz prawo, wymierz
Panom, co gorsi od Litwy.
Jak Bóg, weź nasze modlitwy.« —

Bacznie wysłuchał żałoby król;
Wyjechał na rolę,
Przeszedł się wpoprzek i podłuż pól,
Obejrzał swawolę,
Szkodę na palcach zrachował
I tem słowem wyrokował:

»Za szkodę to a to każdy z was
W chłopskie ręce złoży,
Byście umieli na drugi raz
Szanować dar boży:
Zboże główny niebios datek
I cały kmiotka dostatek.«

»A za biczowanie ludzi cnych,
Abyście wiek wiekiem
Pomnieli na to, że ból nie śmiech,
A człowiek człowiekiem,
Po razu każdy z tych kmieciów
Smagnie biczem grzbiet waszeciów.«

I stało się, że Piotr, Pszonką zwan,
Pan na Krzyżanowie,

I Toporczyk, Szczekarzewic pan,
Choć butni panowie,
Zapłacić szkodę musieli
I jeszcze biczami wzięli.

Pan Pszonka wielce do serca wziął
Tę swoją przygodę,
Zmienił się jak jędor, króla klął,
Targał się za brodę.
»Poczekaj — wołał — stary psie.
Długo ty popamiętasz mnie.

»Poznasz ty, co to za chłopski gnój
Biczować rycerza.
Ja ci w ten Łobzowski stolec twój
Tak podsadzę jeża,
Że niech wszyscy chłopi babią,
To go stamtąd nie wywabią.«

I pokryjomu szedł z Polski precz
Pomiędzy Litwiny
I wołał do nich: — »Ogień i miecz
Na lackie krainy!
Król stary i przy Esterce
Spalił w popiół męskie serce.

»Cała wam Polska leży, jak trup,
Tylko ją oprawić.
Tam lud, grosze, bydło, wszelki łup;
Tylko się nie bawić.
Ja wam wskażę takie szlaki,
Że się zjawim, jak cud jaki.«

Przystała Litwa. Litwie w to graj.
Hurra do zachodu!

Wyją, jak żeby wilków sto zgraj
Zawyło od głodu.
I dalej wzuwać chodaki,
Przepasywać się w sajdaki,

Przysmalać w płomieniach końce dzid,
A kiełznać żmudziny.
Za chwilę ciągną, jak chmura bied,
Do lackiej krainy;
A Piotr po przodu, o wstydzie!
Na kraj własny z wrogiem idzie.

Jak Litwin w lasy raz nurka da,
Tak płynie puszczami,
Aż się wychyli na światło dnia
Nad Wisły brzegami;
Tam się otrząśnie, wypocznie
I radzi, co dalej pocznie.

— »Stójcie! — rzekł Pszonka, — ja pójdę
Z Wisłą żartu niema — [wprzód
Ja pójdę wprzód i wytknę wam bród!«
Co rzekł, to dotrzyma:
Poszedł, wynalazł bród rzeki
I na znak postawiał tyki.

Sprawiwszy wszystko, już wracać miał,
Gdy ujrzał, że blizko
Swięty Stanisław kamienny stał;
Więc na urągowisko
Rzekł mu w szyderskim uśmiechu,
Grożąc palcem: — »No, sza! mnichu!«

Na to z kamiennych Swiętego warg
Wyszły ciche słowa:
— »Wielki Boże! złam ten hardy kark;

Niechaj zdrajcy głowa
Sobą tę czystą krew spłaci,
Którą w myślach toczy z braci.«

I w tejże chwili ślizga się łódź
Wodą, jak po lodzie:
Dwóch w niej siedziało — anielska młódź
W anielskiej urodzie,
W anielskiem opromienieniu,
Ale w rybackiem odzieniu.

Jak ślad od gwiazdy, taki płomień tlał
Za dalekiem czółenkiem;
Z brzega do brzega podniósł się wał
I toczył się z dźwiękiem.
Żerdzie wierzchów uchyliły,
Szeregiem z miejsca ruszyły

I szły, jak ptastwa wodnego rzęd.
A gdy przypłynęli,
Kędy największa głębia i pęd,
Rybacy zniknęli;
Żerdzie znów się wprost podniosły
I stanęły jakby, wrosły.

Zaledwie ziemię osłonił mrok,
Horda Litwy rada
Rzuca gęstwinę pustyń i wskok
Nad Wisłę przypada.
I jak szła, tak w wodę wbiegła,
Gdzie znaki brodu postrzegła.

Ale jak tylko rzucili ląd,
Straszny krzyk się budzi;
Niezhamowany, bezdenny prąd
Rwie konie i ludzi,

Przewala wiru falami
I rzuca dalej trupami.

Zginęli wszyscy, co pierwsi szli;
Ci, co pozostali,
Iść już nie chcieli, a wściekle źli,
— »To zdrada!« — wołali.
— »Gdzie jest Lach, co nas prowadził?
Pod miecz go! on Litwę zdradził.«

Próżno się Pszonka wymówić chce;
Czerń Litwy rozjadła
Na nic nie baczy, miecz tłumu tnie;
Już głowa odpadła,
Już na żerdzi głowa ścięta,
Jak pamięć zdrady, zatknięta.

Litwa, dalszy zaniechawszy łup,
Wróciła w swe knieje;
A pana Pszonki pół nagi trup
Nad Wisłą bieleje,
I głowa kiwa się ścięta,
Od ptaków nawet nietknięta.

Tylko skrzydłami ptak czarnych piór
Wiał z niej, jak proporczyk,
I wciąż krakał; miał to być zły twór,
Pan Otto Toporczyk,
Który z żalu, jak wieść niesie,
Obwiesił się w blizkim lesie.

1834.

SKARB DUCHA.

NIEBYLICA.

— A więc, jak piorun, twa, pani, wola,
Gdzie chce, tam musi upaść koniecznie?
A więc już ciebie mam stracić wiecznie
I twój pierścionek! — O gorzka dola! —

Westchnął i umilkł. Ona jąkała:
— »Mama — przeszkody — zły los — złe piekło« —
Zimno, bez ładu z jej ust się wlekło;
— »Już cię nie kocham!« — powiedzieć chciała.

Z okiem i czołem, utkwionem w ziemi,
Długo, cierpliwie słuchał młodzieniec;
Obrywał świeżo uwity wieniec,
W końcu wybuchnął słowami temi:

»Przeklęte wiecznie, po tysiąc razy
Te młode, głupie chwile zapędu,
Gdzie duszę dajem za cacko błędu,
Za wietrzne drwiących marzeń obrazy.

Jakbym ja dzisiaj umiał opłacić
Te mojej wróżki pamiętne słowa:

— »Synu! myśl twoja djabłów podmowa —
Nie zyskasz tyle, co możesz stracić.«

Jam wołał z gniewem: — »Oszczędź słów trudu;
Szkoda słów twoich: mnie cudu trzeba.
Z cudu powstała ziemia, świat, nieba;
I mnie, bym ożył, potrzeba cudu.

»Jestże to życie ten kłębek lichy
Tych dni bezciennych i bezpromiennych,
Ni to zimowych, ni to wiosennych?
Na mnie zwal, matko, wszystkie stąd grzechy,

»Na mnie zwal całą pokutę za nie,
Bylem wydostał przy twej pomocy
Ten kwiat piekielnej czy rajskiej mocy,
Co zaspakaja wszelkie żądanie —

»Co mi odsłoni kraj wiecznych tajni
I takie skarby posiąść dozwoli,
Jakich nie mogą w zwyczajnej doli
Ujrzeć i użyć ludzie zwyczajni.«

Gdy mną tak miotał ogień rosnący,
Wróżka, po długim widząc oporze,
Że zapaleńca chęci nie zmoże,
Dała mi przepis następujący:

— »Dziś właśnie wieczór świętego Jana,
Idźże wzdłuż Białki przeciwko wodzie;
Po długim, bardzo długim pochodzie
Będzie tam wielka, piękna polana.

»Kiedy już staniesz na jej połowie,
Ujrzysz na brzegu przeciwnym rzeki
Wysoką skałę; cztery smereki
Rosną samotnie na skały głowie.

»Z tego ją poznasz. Wkoło gęstwina.
Wejście na skałę od wschodniej strony;
Jeden tam smerek jest rozszczepiony,
W tem rozszczepieniu rośnie krzewina.

»To ziele paproć. Gdy tam przybędziesz,
Poświęconego noża żelazem
Określisz smerek i siebie razem
Rysą po ziemi; w tem kole siędziesz.

»W ten nowy garnek wsadź głowę mocno;
Tak siedź i czekaj. W północnej dobie
Różne się dziwa pokażą tobie.
Dopiero w samą chwilę północną

»Paproć zakwita. A tobie czekać.
Niech koło ciebie, co chce, się dzieje;
Niechaj na ciebie płomień się leje,
Ty siedź — broń Boże! z koła uciekać:

»Jeden krok z niego — zginiesz na wieki« — —
Jeszcze coś więcej mówić mi chciała,
Jam już nie słuchał, świstnął, jak strzała,
I wkrótce byłem u mojej rzeki.

Nim jeszcze zmierzchło, polanę zbiegłem,
Wpadłem na skałę, znalazłem ziele,
Krąg czarodziejski skreśliłem śmiele,
Nakryłem głowę garnkiem i ległem.

Dokoła puszcza, jak cmentarz, dzika,
Cicha, ponura, ludna w straszydła,
A noc tak ciemna, jak są snu skrzydła;
Żadnego dźwięku, żadnego promyka —

Chyba świetliczek, jak duch z próchenka,
Przesunie lotu jasnego strzałki,

Albo z przepaści skalnych szum Białki,
Jak konający więzień zastęka.

Lecz wszystkie moje myśli u ziółka,
I moje oczy tylko dla niego,
I wszystkie chęci ledwo wybiegą,
Wnet powracają do swego kółka.

Na poły w ziemi, w niebie na poły,
Co też ja szczęścia w tej chwili użył!
Moim skinieniom cały świat służył,
Moim pieszczotom same anioły.

Wieczny podziemnych skarbów dostatek,
Potęga wiedzy, świetne czci stroje,
A wszędzie myśl, wzrok i dłonie moje;
I to przez kwiatek, przez jeden kwiatek!

Kiedy tak marzę, zawrzała puszcza
I cała błyska światłości falą.
Gdzie rzucisz okiem, stosy się palą;
Przez puszczę jakaś roi się tłuszcza.

A mara marę niby wyściga;
Każda do stosu pędem się ciska,
Płonącą rózgę chwyta z ogniska
I z dzikim śmiechem puszczę przebiega.

Ten widok zrazu tylko mię bawi,
Bom ufał w siłę koła tajemną.
Nagle jęk przykry słyszę nade mną
I tuż przy kole dziewczę się jawi.

Nie ma, jak inni, różdżki płomiennej.
Wzrok jej odrętwiał niby zdumieniem.
— »Mój kwiat przy tobie!« — rzecze z westchnieniem
Serdecznej prośby. — Jam był kamienny.

— »Mój kwiat, ach, mój kwiat leży przy tobie.
Przerzuć go, przerzuć przez ten krąg zaklęty.
Oddaj mi kwiat mój, oddaj kwiat święty;
Co tylko zechcesz, dla ciebie zrobię.« —

Zamilkła znowu — jam jak nieżywy.
Natenczas dziwne widmo dziewczęce
Z wielką rozpaczą załamało ręce
I uderzyło w głosik płaczliwy:

— »Wszyscy już, wszyscy swoje pobrali,
I jabym wzięła, gdyby, ach! nie ty.
Duszo ochrzczona, synu kobiety,
Czyś ty czuł kiedy, jak serce pali?

»Jak to boleśnie płakać na zgubę,
Przy której ufność pociech nie stoi?
Czy ty widziałeś łzy matki twojej,
Kiedy śmierć dziecię brała jej lube?

»I jam kobieta! Patrz! i ja płaczę,
Szczerzej, boleśniej, niż która z matek,
Bo więcej tracę: mój skarb, mój kwiatek;
Nad wszelką rozpacz moje rozpacze.

»On mój skarb cały, on moje życie;
On tobie na nic nie jest pomocny;
Dosyć dla ciebie, żeś taki mocny,
Żeś taką boleść sprawił kobiecie.

Użal się, użal mego cierpienia!
Bez mego kwiatka ja jestem niczem.
Gdzież teraz, z jakiem pójść mi obliczem?« —
I łkaniem zaszła — jam był z kamienia.

Widząc naówczas, że wszelka skarga,
Że mnie wymowa cierpień nie wzruszy,

Zalała oczy łzami od duszy,
Bije się w piersi, za włosy targa,

A głos przemienia w wycie zwierzęce:
— »Cóż pocznę teraz, co pocznę biedna?
Wszystkie go mają, tylko ja jedna —
Tylko mój przeszedł w ochrzczone ręce.«

I nagle zniknął wdzięk jej kobiecy:
Ciało odziały straszliwe kudły,
Dyszał łakomie bok jej wychudły,
Zawyła paszczą głodnej wilczycy.

Grom niesłychany po górach gruchnął,
Jak żeby niebo całe runęło;
Powietrze wokrąg ogniem zionęło,
Burzliwy wicher płomieniem buchnął.

Potem się puścił deszcz płomienisty;
Ogniste nitki ciemność krajały,
Trawy iskrami, jak rosą, grały,
Ogniem, jak rosą, kapały listy.

Lecz same ognie mniej straszne były,
Niżeli kształtów potwornych dziwa,
Które, jak chmura kawek wrzaskliwa,
Moje siedzenie wkrąg otoczyły.

Nikt nie wypowie, co się tam działo:
Płaczą, klną, grożą, rwą się, chcą zabić,
Byle mię tylko z koła wywabić;
Jam dech przyczaił — aż larw nie stało.

I znowu było pusto dokoła;
Tylko znów ona w widmie dziewiczem
I z urroczniejszem niż wprzód obliczem,
Lecz z posępniejszą chmurą śród czoła:

»Pokonałeś nas twem czarnoksięstwem —
Znów zawołała i przykro zgrzytła —
— Zachciałeś doli, co mnie zakwitła;
Weźmij ją sobie, ale z przekleństwem.

Łudzisz się, łudzisz, bezmózga głowo,
Że moim łupem dni twe zbogacisz;
Ty zysk chwilowy stratą lat spłacisz,
Wiecznym niesmakiem słodycz chwilową.

Dumny, że skarby ducha posiadłeś,
Nie zdołasz, kiedy zechcesz, ich użyć;
Los bez twej wiedzy będzie ci służyć —
I tak go stracisz, jak mnie ukradłeś.

Wziąłeś kobiecie serce jej duszy,
Wyrwałeś miłość z dziewicy łona;
Piersią dziewicy będę pomszczona,
Stopa dziewicy ot tak! cię skruszy.

Pamiętaj! kiedyś staniesz tak przed nią,
Jak ja w tej chwili przed tobą stoję,
Moją łzą oczy zapłyną twoje,
Będziesz ją błagał tą przepowiednią —

A ona bez łez, bez współwzruszenia
Wszystkie twe żale zimno odrzuci
I porwanego skarbu nie wróci!
Będzie dla ciebie także z kamienia.«

A gdym i na to był głazu bryłą,
Widmo krzyknęło: — »Biada mu, biada!
Kto nieczysto skarb ducha posiada —
Trzykroć mu biada!« — i w noc się stopiło.

Skoczyłem szybko z mojego głazu,
Patrzałem wkoło, badałem śmiało —

I nic nie było, coby ślad miało
Tego strasznego zjawisk obrazu.

Żadnego kwiatka — pustynia głucha!
Więc pomyślałem: wszystko to śniłem.
Później za baśnię drugim prawiłem,
Jaki sen miałem o skarbie ducha.

Tyś go dopiero, Pani, otwarła;
Przy tobie, Pani, dopierom zbadał
W owych dniach — pomnisz? — żem go posiadał,
A dziś, żem stracił — tyś go wydarła.

Otóż spełniona proroctw połowa! —
Pani, ty milczysz, jakby z kamienia!
Czy pragniesz całej wróżby spełnienia,
Moich łez jeszcze? — Bądź Pani zdrowa!
1834.

OBJAŚNIENIA.

1.

Nodam. Powiastka litewska.

Wypadek historyczny, prawdziwy, jest osnową powyższej powiastki; czytamy go w Stryjkowskim jak następuje:

Roku 1290. około Wniebowstąpienia Pańskiego brat Ernelio, komtur z Ragnety, jechał do Litwy w naczyniu wodnem, chcąc się jakich nowin dowiedzieć, z którym też jechał brat z Wiednia, i 25 rycerzy. A gdy minęli zamek Kołajnę, wnet Hermin, starosta kołajneński, począł się naradzać ze swoją Litwą, jakoby mogli krzyżaków oszukać fortelem; tak jeden Litwin, Nodam przezwiskiem, mąż w wojnie doświadczony, który się potem ochrzcił, tę pracę na się przyjął, a ubrawszy się w odzienie niewieście, usiadł nad Niemnem, wołając na krzyżaki z płaczem po polsku (bo polski język dobrze umiał), aby ubogą chrześcijankę, z Polski od Litwy pojmaną, dla Pana Boga wyzwolili z niewoli. A Litwa druga tam w chróście w zasadzce była; a gdy krzyżacy przybili do brzegu, chcąc oną chrześcijankę zmyśloną do wiciny wziąć, wnet Nodam ową wicinę uchwycił i dotrzymał ją tak mocno, aż drudzy Litwinowie z zasadzki się wyrwawszy, wszystkich krzyżaków do jednego pobili. — Tyle o tem Stryjkowski. Zdarzenie to miało miejsce w latach, kiedy, według Naruszewicza, w Polsce panował Łokietek, na Litwie Witenes, a mistrzem krzyżackim był Meinhard czyli Mencko de Querwande, Sas.

2.

Piotr Pszonka Jasieńczyk. Powieść.

Dzieje nasze tak opiewają wypadek, z którego wziąłem myśl niniejszej powieści.

Piotr Pszonka Jasieńczyk i Otto Szczekarzewski Toporczyk naprowadzali za dni Kazimierza W. Litwę do Polski. Razu jednego Piotr wysłany przodem ku Wiśle, aby wynalazł miejsce przeprawy. Gdy tego dokonał, oznaczywszy to miejsce powtykanemi żerdziami, i oddalił się napowrót, rybacy domyśliwszy się, do czego te znaki służą, poprzenosili je na miejsca głębokie i wirowate. Litwini śpieszą do brodu według znaków opisanych im przez Piotra, puszczają się bezpiecznie w głębię, a zaczem poznali omyłkę, utracili już wiele tak ludzi, jak koni. Przypisując to jednak zdradzie Piotra, ścięli go na temże miejscu, a sami, zrażeni, odciągnęli do Litwy.

Majętnością Pszonki był Krzyżanów. Jagiełło przyłączył go do starostwa lubelskiego. Szczekarzewice oddane były na prośbę senatorów wnukowi Ottona, Zaklice Tarłowi.

3.

Skarb ducha. Niebylica.

Ta powieść osnuta na wierze gminnej, według której posiadanie kwiatu paproci daje wiedzę duchową wszystkiego. Paproć kwitnie w nocy Ś. Jana o samej północy. Okoliczności tego kwitnienia, przedstawione w powieści, są wiernem malowidłem wiary gminnej. Scena odbywa się w Tatrach, gdzie płynie rzeka Białka.

POWIEŚCI PROZĄ

O D A.

POWIEŚĆ Z CZASOW BOLESŁAWA CHROBREGO.

I.

W najgłębszej i najpiękniejszej ustroni Tatrów, śród skał szarych, lasów świerkowych, leżał zamek Gromowida, zaczepiony, jak koza, na urwistym boku góry, a w takiej wysokości, że szczyty jego spoczywały już na tle ciemnej zieleni kosodrzewia; wyżej łysiała już tylko opoka, przemykały się kozy, świstały strzały strzelców, przechadzały się wiatry i chmury, grały i płonęły pioruny. Pod nogami jego ponure gęstwy borów drzemały wiecznym, nieruchomym obłokiem; dolina najświeższej zieleni wygiętem pasmem gór patrzała ku nim, jak oko wiecznie wesołe, a wzdłuż jej błyskały fale Czarnego Dunajca, jak połysk ruchawej źrenicy. Niema w całych Tatrach dzikszej i piękniejszej okolicy, niema też cichszej. W dzień śpiewy i okrzyki pasterzy, dźwięki piszczałek, gwar trzód były tylko słowami pieśni, a cisza była jej muzyką uroczystą, wesołą, pogodną; w nocy szum wiatrów i wód, gwizdy bobaków, ryk niedźwiedzi, hukanie nocnych ptaków były tylko słowami pieśni, a cisza była jej muzyką uroczystą, ponurą, zamgloną.

Noc i dzień, pogoda jasna i chmurna przedstawiały się tu jak zmiany oblicza zawsze pięknego.

Takie było ustronie, takie życie wokoło zamku Gromowida. Ale milsze, pełniejsze i cichsze życie panowało w zamku. Gromowid, doświadczony mąż w boju i głośny w wyprawach Chrobrego, i Oda, najpiękniejsza z góralek, używali tu pierwszych rozkoszy połączenia się swojego z pełnej czary małżeńskich pieszczot, całemi duszami. Z umysłu wybrał Gromowid tę ustroń i zamknął się w niej przed światem, aby świat nie miał najmniejszego udziału w ich szczęściu, aby nic ich nie wytrzeźwiało z upojenia. A upojenie nowożeńców było niemałe, jak były płomienne, silne samą dzikością owych czasów ich serca. Gromowid postrzygany był jeszcze obyczajem pogańskim, w młodzieńczych dopiero latach poznał wiarę prawdziwą; przyjął on ją z całym zapałem, ale nie zdołał oczyścić krwi i ducha z resztek bałwochwalstwa; często hołdował przewadze ciała, nieugłaskanym namiętnościom. Takie też piętno miała jego miłość dla młodej małżonki.

Podobna była miłość Ody dla Gromowida. On ją nawrócił, a dzień zaślubin był dniem chrztu dla niej. Miłość Boga prawdziwego weszła w serce Ody z miłością kochanka ziemskiego, zlała się z nią, zgasła w niej prawie i wydała tylko rozkosz i upojenie ziemskie. Nie dziw, że takie dwa serca półpogańskie zapomniały dla szczęścia swojego o wszystkiem — przynajmniej na czas jakiś; żyły tylko przez siebie i dla siebie. I nie w samej chwili pieszczot można było postrzegać owo ich zlanie się w jedno. Kiedy Oda śpiewała rodzinne, tkliwe pieśni, serce Gromowida topniało, oczy zachodziły łzami, duch niewieści wstępował w niego. Kiedy znowu Gromowid opowiadał srogie wyprawy, dzielność wodza Lechitów, piękną okropność bitew, radość rycerskiego serca w zgiełku bojów, większą jeszcze na polu zwycięstwa, popłoch nieprzyjaciół przed tchnieniem odwagi, Oda zapominała o słabości

swojej płci, czuła rozchodzącą się po członkach męską siłę, drżała od miecza, gotowa była lecieć w ogień bojów. Takiemi byli w cichem ognisku zamkowem, takiemi byli na częstych wycieczkach w góry: Gromowid nie wstydził się przykładać rycerskiej ręki do niewieścich robót żony, Oda nie wzdrygała się przed trudami i przygodami łowów na najdziksze gór zwierzęta. Było w tem wszystkiem wielkie szczęście, ale to szczęście nie mogło trwać zawsze, nie mogło trwać długo. Przyszedł czas nareszcie, że poznał to Gromowid. Sumieniem jego począł kłócić niepokój, uciechy poczęły gorzknieć wewnętrzną zgryzotą. I w rzeczy samej, coraz jaśniej widział, że był występnym.

Bolesław obwołał kraj trzykrotnemi wiciami na wyprawę kijowską, a on skrył się w ustroń, aby się nie znalazł na ich drodze. Cały naród w obozowym ruchu, a on gnuśnieje w miękkich objęciach kobiety. Napróżno jego zbroja odbrzmiewa wojennym trąbom, głos ulubionej zagłusza zbroję. Wojsko pociągnęło na Ruś, wieści o bojach i zwycięstwach już obiegają Polskę, radują, wstrząsają wszystkie serca, a tylko jego serce odrętwiało. Odrętwiało dla czynu, ale nie dla zgryzoty.

Gromowid kochał Odę, ale nie przestał kochać ojczyzny i rycerskiej chwały. W upojeniu rozkoszy małżeńskiej nie stracił całej pamięci na to, co był winien krajowi. Poznał, że uciechom małżonka poświęcił obowiązki męża Polski. Odtąd dwa sprzeczne uczucia stanęły naprzeciw siebie, jak dwa groźne wrogi, długo, długo spokojne, zaczem się zmierzą. Starły się nakoniec. Walka od chwili do chwili stawała się gwałtowniejszą, ale wciąż niepewną. Miłość niewieścia, pieszczoty niewieście, sprzymierzone ze wszystkiemi czarami cichego, łatwego szczęścia, trudne były do pokonania; wzmacniała je nadto osłabiona wola Gromowida. Ale ta walka odbierała rozpieszczonemu sercu najdroższy skarb jego, najpierwszy warunek szczęścia — spokojność. Miłość niewieścia, pie-

szczoty niewieście straciły połowę swojego uroku, nie ustępowały jednak z pola, aż przyszła chwila, która walkę rozstrzygnęła.

Noc była późna. Gromowid spoczywał obok swojej małżonki. Księżyc zaglądał w okno. Chmury przelatujące to zakrywały, to odsłaniały twarz jego. Blask walczył z ciemnością wewnątrz komnaty: podobna walka uczuć miotała sercem Gromowida. Nie mógł usnąć, a jednak, znużony rozkoszą, podniósł się, patrzał w twarz kochaną: głęboki sen osłaniał ją urokiem swoich skrzydeł, głębokie tchnienia podnosiły jej piersią, usta uśmiechały się przez sen; przyłożył do nich swoje — napróżno! i w nich nie znalazł spokoju. Wstał cicho. Bez myśli, bez wiedzy szedł do zbrojowej sali. Księżyc i tutaj patrzał przez okno: to jasnem okiem przeglądał zbroje, to chmurząc się, okrywał je cieniem. Te zbroje, ten pozór wojny powiększyły udręczenie, obudziły wstyd w sercu Gromowida. Nie śmiał stąpać, bo każdy krok rozlegał się po nocnej ciszy, jak echo groźby, i budził brzęk rycerski; rzucił się na najbliższą ławę, zadumał się, uczuł znużenie, zmrużył oczy i zdawało się, że usnął. Krótki był jego spoczynek, dziwne przebudzenie. Porwał się równemi nogami, przetarł oczy, pozierał dokoła, niby przypominał sobie, gdzie się znajduje, i puścił się szybkim krokiem ku sypialnej komnacie. Zbliżony do drzwi, zwolnił chodu, wspiął się na palce, stąpał, zaledwie dotykając ziemi, zlekka drzwi komnaty uchylił i wszedł do niej; w północnej ciszy słychać było gwałtowne bicie jego serca. Zbliżył się temże stąpaniem do łoża, obejrzał je iskrzącem od jakiejś trwogi okiem, odetchnął ciężko, jak żeby ogromne brzemię zrzucił z piersi, ukląkł przy łożu, załamał ręce, i wzniósłszy w górę pobożne wejrzenie, zawołał półgłosem:

— Dzięki Ci, o Boże dobry, że to był tylko sen marny!

Po tych słowach wstał, wahał się niby między jakie-

miś myślami, ale w końcu wyszedł równie cicho, jak śpiesznie. Biegł prosto, gdzie spał Warcisz, stary, wierny sługa od lat niemowlęcych.

— Warciszu! — rzekł, budząc sługę — wstań, mam z tobą pomówić. Słuchaj, tobie nie obca nauka guślarzy. Poradź się jej teraz i uspokój mię. Oto przed chwilą wszedłem do wielkiej sali i miałem dziwne widzenie, niby przez sen, niby na jawie. Patrzałem jakoby na moją zbroję, co tam wisi, i ujrzałem, że się poruszyła i szła ku mnie. Gdy stanęła tuż przede mną, zobaczyłem pod nią młodzieńca przecudnej urody, z wejrzeniem dziwnego blasku, ale smutnem; długie włosy wymykały się kobiecym warkoczem z pod szyszaka, a dwa orle skrzydła, wielkie i jasne, spadały z pleców, jak u ptaka postrzelonego. Młodzieniec wziął mię za rękę, postawił przed oknem i ręką wskazał za okno. Wtedy zobaczyłem nieznaną mi jakąś krainę, ogromne pola i lasy i wielką bardzo rzekę, i na górze przy rzece gród jakiś okazały, bardzo warowny. Na murach grodu widziałem wojsko nasze, jak przez mgłę, poznałem jednak, że nasze. Co dziwniejsza, wyraźnie rozpoznałem postać Chrobrego. Obrócony był ku mnie twarzą, oczy miał gniewne, a stał tak blizko mnie, że iskry jego oczu padły mi na serce; zdaje się, że jeszcze dotąd je czuję. Spłonąłem cały wstydem, spuściłem oczy; młodzieniec pociągnął mię znowu za rękę w stronę przeciwną. I oto znaleźliśmy się przed drzwiami sypialni. Młodzieniec pchnął drzwi, a ja ujrzałem na łożu — czy uwierzysz? mamże powiedzieć, co ujrzałem? Moją Odę w objęciach jakiegoś obcego, jakiegoś mnicha. Zadrżałem z gniewu, jak nigdy nie drżałem. Nie wiem już, co w tej chwili chciałem zrobić, ale młodzieniec zniknął, a ja ocuciłem się, nie wiem dotąd, ze snu czy z widzenia, i ujrzałem się na ławie, jak przed tem przywidzeniem. Warciszu, zlituj się, powiedz mi, co ten sen znaczy?

Starzec wpatrywał się ze zdumieniem w twarz swojego pana, drżącego jeszcze na wspomnienie okropnego snu, przeżegnał się, pomyślał i zawołał:

— Bóg z tobą, Gromowidzie! Próżno się trwożysz. Jest to nic więcej, jak ostrzeżenie boskie. Ten młodzieniec — to twój Anioł-Stróż. Owa kraina obca — to Ruś. Owo wojsko — to nasi i Rusini w boju, a mnich obok twojej żony — to ty, Gromowidzie — daruj staremu słudze — to ty sam, jaki jesteś w dzisiejszej twojej nieczynności i jakim będziesz, jeśli dłużej tak zostaniesz. Gromowidzie, to ostrzeżenie boskie, nie waż go lekce.

Gromowid słuchał z uwagą, nie pokazał żadnej urazy; przeciwnie, z pokorą, ale głosem silnej woli odpowiedział:

— Twoja prawda! Dziękuję ci za nią, Warciszu. Otworzyłeś mi oczy na moją hańbę, ale jeszcze pora otrząsnąć się z niej. Nie, nie powinienem dłużej zostać. Trzeba mi jechać do wojska i pojadę, a pojadę dziś jeszcze, natychmiast. Idź zaraz, rozbudź wojenną czeladź i niech w mgnieniu oka będą gotowi do drogi.

Warcisz ośmielił się poradzić, aby poczekał do rana. Trzeba wszakże i snu użyć, bo podróż nużąca; potrzeba i żonę pożegnać.

Gromowid był niezachwiany; wola jego poszła już w tym kierunku, że złamie wszystkie zapory; mimo to wspomnienie żony zhamowało go na chwilę; zamyślił się i wnet wrócił do pierwszego postanowienia, z mocniejszą nawet wolą, zdaje się, bo rzekł:

— Nie, zostaw czeladź do rana. To będzie trwać za długo, to rozbudzi cały zamek, i ona w tym czasie może się obudzić, a ja muszę wyjechać. Dla mnie więc tylko przygotuj konia, a resztę jutro po dniu wyprawisz; wszak drogę wiesz zwyczajną; wypoczywając, będę czekał mojej służby. Idź. Zbroję sam przywdzieję.

Warcisz miał odchodzić; chwila nieprzyjazna jeszcze raz uderzyła w Gromowida, zatrzymał sługę:

— Czekaj, odjechać bez pożegnania, bez ucałowania Ody to boleśnie! A tymczasem, kto wie, może jedno jej słowo... Ty wiesz, co jej słowo, co jej łza może nade mną... Możeby mię zachwiały, odwiodły od postanowienia. . Nie chcę jej widzieć. Ty ją pożegnaj ode mnie! Powiedz jej, co mię kosztował ten odjazd; powiedz i to, że musiałem tak zrobić.

Mimo to stał w miejscu i myślał sobie:

— Ale nie, pójdę sam, pożegnam; albożem słaby, jak kobieta?! Nie będę jej budził. Jeżeli się obudzi, potrafię oprzeć się jej wyrzekaniom; jeżeli nie, pożegnam śpiącą; będzie to, znać, wola boska. Warciszu — rzekł głośno — chodź ze mną!

Weszli do sypialni. Oda spała wciąż snem głębokim. Długo stał i patrzał w nią Gromowid; pragnął, zdaje się, jej przebudzenia. Zdobył się wreszcie na krok stanowczy, przechylił się ku uśpionej, dał pocałowanie kradzione i znowu stanął, i czekał jeszcze, i patrzał dokoła. Warcisz pociągnął go zlekka do wychodu.

— Chwila jeszcze — szepnął Gromowid — co postanowiłem, to zrobię, ale jeszcze chwila.

Oko jego padło na dziewiczy wieniec Ody, który jako pamiątka ślubna, wisiał nad łóżkiem. Gromowid zdjął go, położył na głowie Ody, szepcąc półgłosem, a w twarzy widać było, że mówił z głębi ducha:

— Żono moja, oto przez ten wieniec masz być jako dziewica aż do mojego powrotu. Noś go do mojego powrotu. Biada temu, kto się go dotknie przede mną! biada głowie, co go straci! Tak mi, Boże, bądź świadkiem i ty, Warciszu!

A oblicze uśpionej, jakby się w niej odbiło przykre uczucie Gromowida, zamgliło się pół smutnie, pół rzewnie wewnętrznym niby płaczem, a ręka uśpionej podniosła się przez sen i spoczęła na wieńcu, jak żeby chciała go przytrzymać.

Gromowid nie widział już tego. Zdaje się, że mało ufając swojej woli, wybiegł co prędzej z sypialni i udał się do zbrojowej sali. Za chwilę stał już na dziedzińcu w przyborze rycerskim, a przed nim stary sługa z koniem.

— Warciszu! — zawołał, dosiadając konia — nie zapomnij powtórzyć Odzie, co ci powiedziałem. Ja powrócę prędko, zdrowo, tego jestem pewny. Ty bądź jej opiekunem, ojcem. Pocieszaj ją, strzeż jej. O! strzeż jej, jak źrenicy w oku. Stary, ty wiesz, jak ją kocham. Biada nam wszystkim, gdybym jej nie znalazł taką, jak zostawiam, taką piękną i niewinną!

Domawiał tych słów już na koniu; w milczeniu dał mu ostrogę. Zwolna przejechał dziedziniec zamkowy, zwolna spuścił się z góry; ale raz na płaszczyźnie doliny, pognał konia w całym pędzie, jak żeby lękał się za sobą pogoni, płaczu i wyrzutów swojej Ody.

II.

Boleść Ody po odjeździe Gromowida porównać można tylko ze szczęściem, którego używała w jego objęciach. Była ona tem gwałtowniejsza, im zerwanie szczęścia było mniej spodziewane. Każda chwilka, przeżyta z Gromowidem w pieszczotach, w rozkoszy, w marzeniach przyszłych pieszczot i rozkoszy, zamieniła się we łzę bolesną; za każdym krokiem, w każdym przedmiocie zjawiał się jego obraz, ale za mgłą tęsknoty i żalu. Cały świat otoczył Odę, jak chmura smutku; przeszłość i przyszłość rozlały się wokrąg jej serca morzem płaczu. Napróżno stary Warcisz dla pocieszenia biednej powtarzał jej najtkliwsze z ostatnich słów odjeżdżającego męża, przyświadczał jej o jego nieznośnej wewnętrznej walce

w chwili odjazdu, wymawiał go obowiązkami syna ojczyzny, męża rycerskiego, zaręczał szczęśliwy i rychły powrót; słowa pociechy padały na zbolałe serce, jak palące krople na świeżą ranę: tylko rozjątrzały boleść, powiększały cierpienie. Wkrótce stały się one jej nieznośne, a unikając ich, poczęła unikać ludzi. W końcu samotność zamieniła się w potrzebę życia, w pewien rodzaj uciechy, jedynej rozkoszy, jaką w tym stanie znaleźć mogła. Czy to w domu, czy za domem, wszędzie i zawsze chciała być sama. W domu, zatrudniona niewieścią robotą, przesiedziała dzień cały między cichemi ścianami swojej komnaty, niewidziana od nikogo. Podobnie błąkała się po dniach całych między górami. Jeżeli kiedy zdarzyło się jej wezwać do tych wycieczek swoje służebnice, zdala kazała im być od siebie, a ona nad brzegiem jakiego potoku, nieruchoma po całych godzinach, odurzała myśl jego szumem, oko pędem fali, roiła dziwne mary, żyła w świecie zaświatnym. Straciły dla niej urok pieśni rodzinne, które tak dotąd lubiła, które w gronie swoich niewiast słuchała z taką rozkoszą; dzisiaj znieść ich nie mogła, oprócz kilku najrzewniejszych, najlepiej przystających do cierpiącej duszy. Czasem z cichej zadumy przechodziła do gwałtownej rozpaczy, a wtedy szemrała przeciw dobroci Boga, bluźniła wojnie, sławie, ojczyźnie, wszystkiemu, co ją rozłączyło z mężem. Boleść Ody, jednem słowem, nie była to boleść niewiasty łagodnej, poddanej, czekającej cierpliwie końca swoich cierpień, ale duszy półdzikiej, silnej, czynnej, która każde uczucie, miłe czy niemiłe, gotowa jest posunąć do ostateczności, wyczerpać do dna. Kto pod takim bodźcem szuka końca swojej rozpaczy, znajdzie go wreszcie.

W tym stanie największą jeszcze miało dla niej ponętę obcowanie z dziką przyrodą gór, a z największem upodobaniem zwiedzała te miejsca, do których łączyło się spomnienie jej męża. Pewnego dnia czy ten, czy innego rodzaju pociąg zaprowadził ją na skały, które

tworzą jakoby bramę Kościeliska od strony płaszczyzn. Tam fale Dunajca żegnają się po raz ostatni z macierzystą doliną i z głuchym szumem opuszczają domowe swoje góry; stamtąd rozległy widok właśnie na okolicę, która leży między strapioną Odą a jej mężem bojującym; stamtąd może pierwsza ujrzy błyszczącą zbroję powracającego, może pierwsza usłyszy tętent jego konia.

Słońce letnie dawno zagasło; czerwony zachód bladniał; wszystkie już gwiazdy wyjrzały z głębi niebios; grubym cieniem okryły się nieobejrzane lasy Tatrów; księżyc podniósł się zza gór i oblewał swoim blaskiem całą okolicę. Szarzały zdala, jak groźne widma, nagie opoki obliczem, wychylonem z czarnej otchłani świerkowych gęstwin; po dolinie rozścielała się w dziewiczej bieli mgła powiewna, a Oda siedziała jeszcze na wierzchu opoki w niepokoju pragnień, pod falami nadziei, to żalu, z okiem i uchem, ku drodze wytężonem. Głęboko pod jej nogami wrzał głuchy szum Dunajca, wtórowały mu z różnych stron dalsze i bliższe pohukiwania sów i puhaczów. Nie było słychać żadnego śpiewu wdzięcznych dnia ptaków. Muzyka gasnącej przyrody grała uroczyście, ale ponuro. Żaden wiatr nie śmiał jej zakłócić; liść nieruchomy zdawał się z trwogą jej słuchać. Dokoła cisza i ciemność, tylko rojami iskier krążyły świętojańskie robaczki. Dwie domownice Ody, najczęstsze towarzyszki jej późnych przechadzek, leżały pod świerkiem zdala od niej. Oda, jak zwykle, chciała być samą; chciała sama z brzegu przepaścistej skały słuchać szumu Dunajca, dobierać do jego posępnego tonu posępniejsze jeszcze myśli. Ona by tak całą noc przetrwała. Zwolna, zcicha na drugiej stronie przepaści ozwały się dźwięki, niby strojenie gęśli, niby przygrawka, ucichły, podniosły się znowu, ale już w tonie jednej myśli, tęsknej, rzewnej, powolnej, przez pół religijnej, zaokrągliły się w całość zwrotki, umilkły i znowu się ozwały, tą razą z towarzyszeniem głosu czystego, dźwięcznego, pełnego,

męskiego; jednak czuć w nim było, że pierś, z której wychodzi, rozbita jest sercem gwałtownych wzruszeń. Pieśń ta była następującej treści:

Cześć tobie, o bogini mojej nocy!
Jaka ty blada i posępna, a jednak taka jasna i piękna!
O czemuż nie mogę cię widzieć w każdej chwili, jak teraz:
Wschodzisz dla mnie dopiero wtedy, kiedy słońce gaśnie,
Tylko przez zasłonę nocy raczysz mi świecić.
Tylko nocne ptaki wtórują moim pieśniom;
Ale ty je słyszysz. O! gdybyś wysłuchała!
O! prześliczna bogini, nie schodź z mojego nieba!
Świeć tak dla mnie przez noc całą;
Miljony gwiazd nie zastąpią mi ciebie.
Świeć tak dla mnie przez dzień cały.
Słońce wesołe jest niczem obok twej smutnej bladości.
Wysłuchaj mię, o bogini mojej nocy!

Od pierwszego dźwięku zadrżała Oda, niby trwogą, niby — Bóg wie jakiem uczuciem. Lękać się nie miała, przyczyny; przyszło jej zaraz na myśl, że śpiewak jest na przeciwnej skale, że zatem ubezpiecza ją zapora głębi której żaden skok śmiertelny przebyć nie potrafi. Im pieśń dłużej się ciągnęła, tem bardziej słabło pierwsze wrażenie przykre, a wzmagało się milsze. Wkrótce nie miała już chęci, a prawie mocy oddalić się, poruszyć się. Każdy dźwięk przykuwał ją do miejsca, jakby nowe ogniwo niewidocznego łańcucha; było coś czarodziejskiego w tej pieśni, razem pobożnej i żałosnej. Podczas grania służebne przybliżyły się także, z odmiennem jednak wrażeniem; widać, że się niepokoiły, ale nie śmiały pierwsze przerwać zasłuchania się pani. Dopiero kiedy pieśń ucichła, a Oda, niby ockniona, poczuwszy je przy sobie, zwróciła się ku nim i zapytała, czy słyszały granie, starsza ze dwóch, sędziwa Marja, za całą odpowiedź rzekła: »Odo, czas wracać do domu. Przybliża się godzina złych duchów i złych ludzi. Bezpieczniej nam być daleko od tego miejsca i od takiego śpiewania.« Nie było powodu odrzucać wezwania Marji. Oda bez oporu po-

wstała, ale po kilku krokach zatrzymała się, bo śpiew znowu się odezwał w następnych słowach:

O prześliczna bogini mojej nocy,
Ledwie mi błysnęłaś, i już zachodzisz!,
I znowu nie prędko cię ujrzę, chyba jutro;
I znowu będę się dręczył ciemnością, sam ponury, jak ciemność.
O czemuż nie możesz mi świecić zawsze, jak teraz?
Jaskinia moja dzika, naga, pusta,
Ale znajdziesz w niej cześć i miłość, jak bóstwo.
Tam nas nie rozdzieli żaden obłok —
Tam będziesz wschodzić i zachodzić w mojej miłości.
Wysłuchaj mię, ozdobo nieba i ziemi!

Głos śpiewaka, coraz posępniejszy, tchnął coraz głębszem wzruszeniem pobożnem, błagalnem, a przenikał serce, jak głos miłości, i wlewał w nie takie upojenie. W podobnem upojeniu stała Oda; przerwał je nietoperz, który, znęcony bielą niewieściego rąbka, snuł się jakiś czas wokoło nieruchomej Ody i w końcu padł na jej pierś. Krzyk przestrachu, powtórzony przez służebnice, zagłuszył tajemniczą muzykę. Pomięszane, wszystkie trzy oddaliły się natychmiast i śpiesznie poszły ku zamkowi; wszakże jakiś czas jeszcze gnały za niemi tajemnicze dźwięki, coraz, coraz głuchsze. Kiedy w oddaleniu całkiem umilkły, a czas, ruch i blizkość domu przegnały wszelką obawę, Oda zwróciła rozmowę do owego śpiewu; już jego wrażenie ocknęło się z dawną mocą.

— Prześliczna pieśń! — zawołała.

— Prawda — rzekła Marja — ale bezpieczniej nie słuchać jej.

— Cóż w niej może być złego? Jest to nic więcej, tylko modlitwa do księżyca.

— Tak! modlitwa do Ziewonji, do biesa, którego czczą nasi bracia niewierni, modlitwa pogańska.

— A jednak piękna. Szkoda, że śpiewak był ukryty.

— Odo! co mówisz! — zawołała Marja — lepiej podziękować Bogu, żeś go nie widziała.

Marja przeżegnała się z przestrachem.

— A niech mię łaska Boża od tego uchowa!

— Dla czego? — zapytała Oda tem ciekawiej. — Ktoż on jest? Cóż o nim wiesz, Marjo? Powiedz!

— O! powiem. Dzięki Bogu, jesteśmy już jak w domu, mogę mówić bezpiecznie. Owóż ten śpiewak — to Czarnodum.

— Pierwszy raz o nim słyszę.

— Bodaj tak nigdy nikt nie słyszał! — rzekła Marja ciszej, a potem zwyczajnym głosem wiodła takie opowiadanie: — Nie bardzo dawno zjawił się on w naszych górach, już pono po odjeździe naszego dobrego pana Gromowida — niech go Bóg jak najprędzej przyprowadzi! — przynajmniej od tego czasu zaczął się pokazywać. Dzisiaj mieszka jawnie w tej wielkiej pieczarze, wiesz, Odo, co to ją widać wysoko pod górą, idąc za falą Pysznej ku Dunajcowi. Chodzi, jak mnich, i prowadzi życie pustelnicze. Ale ludzie inaczej o tem gadają. Bóg to wie najlepiej, ale powiem, com słyszała. Miał on być guślarzem naszych dawnych bogów, zaczem został chrześcijaninem, a został nim, jak mówią, tylko ze strachu przed nakazem książęcym i władzą biskupa, dla oczu ludzkich, ale tajemnie żyje i modli się dawnym obyczajem. To też, jak słychać, dawne bogi przebywają z nim i sprzyjają mu szczerze; dla tego wyprawia różne dziwy. Pełno o tem gadek, może prawdziwych, a może i wymyślonych, ale to pewna, że wiele wie i wiele może zrobić swojemi gusłami. Pokazuje nawet takie rzeczy, których żaden człowiek ludzką mocą nie mógłby zobaczyć: dziewkom — ich kochanków, junakom — ich dziewczęta, choćby niewiedzieć gdzie były, a tak je widzisz, gdzie są i co robią, jak żebyś była z niemi. Ale za tę ciekawość drogo trzeba płacić. Jak tam z chłopami, nie wiem, ale co kobiety — to każda prawie wyniosła od niego nieszczęście; bo przez czary swoje, co zechce, to zrobi z człowiekiem, który się jemu aby trochę poddał, tak że się zapomina o Bogu nawet i o najświętszych jego przykazaniach. Jak

temu nie wierzyć? Dosyć słyszeć jego śpiewanie, ażeby już poczuć, co tam nieczystej mocy. Gdybyż tylko śpiewał! ale ludzie utrzymują, że kiedy mówi do człowieka, to tak pęta serca, jak żeby śpiewał, a pęta w grzechy.

W podobny sposób stara Marja gadała jeszcze dłużej, ale Oda, zdaje się, nie słyszała wszystkiego. Głębokie zamyślenie się w połowie rozmowy odjęło jej uwagę na resztę. W całem opowiadaniu jedno ją uderzyło: on guślarz, on może każdemu pokazać osobę żądaną, on jej męża pokaże; mniejsza o to, jaką mocą.

Ta myśl padła na zamgloną duszę Ody, jak promień — niebieskiej czy piekielnej jasności — niewiadomo; dosyć, że ją rozradowała, opanowała całkiem, uspokoiła nawet, bo się zmieniła w niezłomne postanowienie: iść do pustelnika i zażądać od niego pomocy w swojem stroskaniu. Jej życie obecnie tak nieznośne, a ulga tak łatwa do znalezienia; możnaż ją odrzucić? Przeciw złemu, gdyby jakie stąd mogło wynikać, znajdzie obronę w świętej wierze i małżeńskiej miłości.

III.

W owych wiekach prostoty rozumu, uśpienia ducha, a silnych żądz ciała serce, puszczone raz w pewnym kierunku, nie łatwe było do zhamowania. W walce między złem a dobrem uczuciem pierwszy silniejszy popęd jednego lub drugiego rozstrzygał już prawie stanowczo spór pomiędzy niemi. Oda, poddawszy się raz z upodobaniem myśli, ażeby za pomocą guślarstwa ujrzeć nieobecnego męża, nie odstąpiła już swojego zamiaru. Jeżeli ją czasem zachwiały groźne posłuchy o podejrzanym pustelniku, jeżeli stanęły przed oczami zewnętrzne przeszkody w spełnieniu zamiaru, jeżeli niekiedy mimowolne drżenie serca śród rozkosznych marzeń podniosło się,

jak tajemne ostrzeżenie, wszystko to było tak chwilowe, tak słabe wobec jej postanowienia, że nie czuła prawie żadnego oporu wewnątrz siebie, a przynajmniej wyraźnego, że zatem nie zachwiała się ani na chwilę. Kilka dni jednak upłynęło, zaczem mogła uskutecznić swój zamiar; czas ten był jej konieczny, aby sobie zapewnić powodzenie przez dokładną znajomość niektórych szczegółów; nadto konieczna była pewna ostrożność, ażeby to widzenie się nie wyszło z pod zasłon najgłębszej tajemnicy. Wiedziała najprzód, że nikt jej w tem nie pomoże, wszyscy raczej będą przeszkadzać; czuła, że sama swój zamiar musi spełnić, bez świadków, bez powierników. Stosownie też przygotowała się. Zręcznie, ubocznie wyciągnęła z opowiadań wszystkie potrzebne objaśnienia, gdzie jest napewno ustroń pustelnika, jakiemi drogami dojść do niej, w której porze on sam jest widzialny. O sposobność wyjścia nie trudno było; służba zamkowa przywykła już do jej samotnych wycieczek.

Tak przysposobiona, wyruszyła nakoniec dnia jednego w zamierzoną drogę. Przechód był długi i przykry: po śladach kóz dzikich, między odwieczne zwaliska lasów, pod urwiste wyżyny, przepaścistemi łożami suchych potoków; nieraz po drodze niewiadomej obłęd zachwycił, ale oswojona z górami, pokonała to wszystko, lubo nie bez utrudzenia nogi. Wszakże daleko ciężej było sercu. Jakaś trwoga skryta, obca jej dotąd, niby niewyraźne przeczucie niewiadomej złej przygody, burzyła jej piersi, zatrzymywała uderzenia serca, tamowała oddech. Nieraz podwójne to znużenie, wewnętrzne i zewnętrzne, zmuszało ją stanąć śród biegu, odetchnąć, odpocząć, aż dopóki znowu coś mocniejszego nie porwało jej woli i nie popchnęło dalej. Im bliżej była celu, tem słabszą, tem lękliwszą się czuła. Nieraz gotowa już była odstąpić swojego zamiaru i wrócić bez widzenia się z pustelnikiem. Znajdowała się właśnie w podobnej niepewności, kiedy w uszy jej zadzwoniło znajomym głosem śpiewa-

nej pieśni; ale w żywszych jej tonach przebijała się jakoby radość. Granie było tak blizkie, że słyszała wyraźnie następujące słowa:

Wysłuchałaś mię, moja bogini!
Zajrzałaś w czarną pierś mojej pieczary.
Ciemność jej uciekła przed blaskiem,
Życie moje spłonęło, jak niebo otwarte.
O! zostań tak i patrzaj tak wiecznie,
A gdzie ty, tam niebo dla mnie i dla ciebie.
Cześć wam, cześć, potężne bogi!

Oda zadrżała, niewiadomo, jakiem wzruszeniem, ale nie miała już chęci cofnąć się. W duchu pieśni było coś nakształt radosnego powitania, był urok, który ku sobie wabił. Oda postąpiła kilka kroków i ujrzała się tuż przy jaskini. Przed jej czarnym otworem, na olbrzymim pniu zwalonego świerka siedział śpiewak z gęślą na kolanach. Oda domyślała się w nim pustelnika. Ubiór jego był krojem ubioru zakonnego ciemny, obszerny. Kaptur, na głowę zawdziany, zakrywał większą część twarzy; reszta oblicza ginęła pod gęstą, kędzierzawą brodą. Na szelest zbliżającej się Ody gęślarz zawiesił granie, podniósł głowę, cisnął iskrami z małych, ognistych oczu, ale wnet je zniżył, odrzucił gęśl na bok, powstał z powagą i rzekł łagodnym, ale uroczystym głosem:

— Witam cię, żono możnego Gromowida. Przychodzisz widzieć samotnego mieszkańca jaskini. Oto go masz przed sobą.

Jakby zgadł, że pomieszanie Ody nie da jej łatwo zacząć rozmowy; wszakże słowa jego wprawiły ją w zadumienie od pomieszania nie mniejsze, ale razem podały do ust pierwsze słowo:

— Jak to? — zapytała zdziwiona — ty mię znasz, pobożny ojcze? Nie widziałam cię nigdy.

— Słońcu na niebie — odpowiedział pustelnik — a Odzie na ziemi trudno się ukryć. Wiedziałem nawet, że dziś tu będziesz, i czekałem ciebie. Nie dziw się,

skoro wiesz, do kogo przychodzisz. Jakiejże usługi żądasz po mnie, dziecię moje?

Oda, zdumiona jeszcze bardziej, nie wiedziała znowu, jakiem słowem usta otworzyć. Dobroć pustelnika przyszła jej w pomoc.

— Droga przykra — rzekł on — upał nużący; jesteś, Odo, zmordowana; odpocznij na siedzeniu, jakie ci biedny pustelnik ofiarować może — i wskazał drzewo, na którem dopiero siedział.

W słowach tych przemówił do serca Ody znajomy głos śpiewaka z całą ujmującą łagodnością, z całym urokiem zniewalania i ośmielił ją nakoniec wobec nieznajomego. Usiadła na wskazanem drzewie, spojrzała w twarz pustelnika i widziała ją schyloną pokornie ku ziemi; było to może potrzebne, aby zupełna swoboda mogła wejść do jej myśli, aby się usta rozwiązały do rozmowy, dla której tu przybyła. Pustelnik jeszcze raz wsparł ją, zapytując o powód, któremu on winien obecność tak możnej pani w jego dziczy, tak smutnej.

— Mamże ci, ojcze, koniecznie już powiedzieć ten powód? — rzekła wreszcie Oda. — I strach mnie, i wstyd, ale moja miłość mocniejsza od wszystkiego, a dzisiaj tyle cierpię, ile kocham. Ojcze, ty nie będziesz się śmiał ze mnie; ty musisz być tak dobry, jak jesteś pobożny i mądry. Nie wiem jednak, jak ci to powiedzieć. Ludzie utrzymują, że masz mądrość guślarzy i moc rozkazywania duchom. O mój ojcze, wiesz zapewne, jak ja mojego męża kocham, a dzisiaj muszę żyć bez niego. Wojna przypadła, jak ptak drapieżny, i porwała mojego gołąbka; i oto zostałam sama, ani wdowa, ani żona. Nie wiem, gdzie jest, co robi, kiedy powróci. Nie mogę się pocieszyć i nie mogę przestać smucić się. Ratuj mię, ojcze, daj mi pociechę, daj szczęście!

Pustelnik słuchał spokojnie, z okiem spuszczonem; czasem błyskał niem w górę, mienił się na twarzy; roz-

rzewniały go, widać, te wynurzenia się niewieście, tak proste a tak serdeczne, bo zawołał wzruszonym głosem:

— Jakąż pociechę mogę ci dać? jakie szczęście? ja, ja sam, tak — ich potrzebny?

— Pokaż mi mojego męża! Czy żywy, czy umarły, pokaż mi go! — odpowiedziała Oda z całą żywością i mocą panującego jej uczucia.

Pustelnik, pomilczawszy chwilę, zapytał:

— Kobieto, wierzysz ty w Boga chrześcijan?

— Wierzę.

— I w jego dobroć?

Oda znowu potwierdziła.

— Jego więc proś o to!

— Ach! prosiłam po tysiąc razy, najgorętszemi łzami! Nie chciał mię wysłuchać! — rzekła z głębokiem westchnieniem.

— I mnie nie zechce — odpowiedział ponuro.

— Wszakże powiadają, że niejednego pocieszyłeś tak, jak ja chcę być pocieszoną. Czemużbyś dla mnie zrobić nie mógł tego, co robiłeś dla innych?

— Dla innych robiłem, powinnaś to wiedzieć, przez moc, przychylniejszą nam, jak moc nowej wiary: przez bogi ojców naszych.

Słowa te dały cokolwiek do myślenia Odzie; krótko się wahała.

— Ha! — rzekła — kiedy inaczej być nie może, zrób i dla mnie przez bogi ojców.

Guślarz przybrał postawę i głos uroczystszy, jak dotąd.

— Czy myślisz — mówił — że to tak łatwo, jak zapragnąć? Bogowie są bogami. Nie mamy ich na pierwsze zawołanie. Nie rozdają darmo łask swoich. Kto chce ich mieć po sobie, musi szczerze wyznać ich potęgę, gorąco prosić, a nadewszystko musi ich uczcić. Czy pojmujesz to, moje dziecię?

Oda nie pojmowała widocznie, bo zapytała natychmiast:

— Jakąż cześć potrzeba im złożyć?

— Przedewszystkiem potrzeba zaprzeć się innych bogów — odpowiedział pustelnik.

Strach mimowolny ścisnął serce Ody.

— Jak to! — zawołała — nawet prawdziwego Boga?

— Nawet Boga, którego masz za prawdziwego — rzekł pustelnik głosem niezmienionym.

Oda nie wiedziała zrazu, co dalej począć, ale dobre natchnienie padło na jej serce w tej chwili:

— Ojcze — rzekła — jesteśże ty chrześcijaninem, że tak mówisz?

— Alboż powiedziałem, że nie jestem? — odpowiedział; a gdy Oda milczała, mówił dalej: — Córko moja! tak! jestem chrześcijaninem, ale kiedy robię to, czego wymagasz po mnie, wtedy robię przez bogi dawne, domowe; wtedy jestem tylko guślarzem, poganinem. Inaczej nie miałbym ich pomocy, inaczej nikt jej mieć nie może.

Umilkł, a gdy Oda, stroskana niespodziewanym warunkiem, zatopiona była w myślach, odezwał się znowu, już łagodniej:

— Odo, nie będę ci stawiał czczych trudności. Nie pojęłaś mię zapewne i dla tego przestraszyłaś się mojemi słowami. Nie idzie tu o zupełne wyparcie się chrześcijańskiego Boga. Starzy bogowie są dobrzy, kochają nas zawsze, jak dzieci tych ojców, którzy ich przez tyle wieków, tak szczerze kochali. Zrobią wiele dla nas, chociaż niegodnych, przez dawną przychylność. Z naszej strony przestają na małem. Dosyć im jakiegokolwiek znaku uczczenia, jakiejkolwiek ofiary. Czy jesteś do tego przygotowana?

— Niech wiem, co się im podoba zapragnąć, a może...

— Oni przestają na małem, powtarzam ci, Odo! Lekka ofiara z czegokolwiek, co należy do Boga chrześcijańskiego, zjedna ci ich zupełnie. Widzę na twoich piersiach krzyżyk; daj im ten krzyżyk.

— O Boże! — zawołała Oda — mogęż to zrobić? Jest to drzewo z krzyża, na którym umarł Bóg prawdziwy, i ślubny upominek Gromowida.

— Upominek Gromowida! — powtórzył z widocznem wzruszeniem pustelnik, ale zcicha, a głośno zawołał:

— Tak, Odo! będzie to najmilsza ofiara bogom, i pomoc ich niezawodna.

Oda załamała ręce.

— O ja nieszczęśliwa! mamże się pozbyć tego, co mi najdroższe i najświętsze? Nie! Wolę z moim Bogiem cierpieć, jak dotąd cierpiałam.

— Cierpieć! — mówił Czarnodum — któż cię od tego odwodzi? I ja cierpię przez tegoż Boga! Ale pomnij, że może nie sama będziesz cierpieć. Może za wszystkie twoje cierpienia nie otrzymasz jedynej nagrody, do której wzdychasz, nie ujrzysz już więcej twojego męża. Stare bogi są mściwe i potężne; kiedy zechcą złe wyrządzić twojemu mężowi, nowy Bóg nie zasłoni go. Rozważ to dobrze.

Oda słuchała, płakała, łamała ręce. Kochała męża, ale nie mogła przenieść na sobie, aby dla jego miłości przeniewierzyła się i tej miłości i Bogu. Jej serce, chociaż upadające, miało jeszcze nad sobą wierną straż dobrego anioła. Czuła, że nie powinna była zrobić zadość żądaniu pustelnika; wolała zrzec się nadziei, jedynej ulgi, na jaką w nieznośnem swojem cierpieniu rachowała.

— Nie! — rzekła — tego nie zrobię, niech się dzieje wola Boża!

Wstała, aby odejść.

Pustelnik zdawał się ciągle zachowywać największą spokojność.

— Dobrze mówisz, Odo — rzekł przy pożegnaniu — jednak twój upór niewczesny. Wielkie bogi przebaczają łatwo błędom takiej miłości, jak twoja. Wszakże rób, jak ci się zdaje. Mimo to pamiętaj, że moja nauka gotowa ci zawsze służyć. Przyjdź, kiedy zechcesz; oto przyjdź jutro. Tej nocy pomówię ze staremi bogami.

Może na mniejszym datku przestaną; spodziewam się, że to uproszę. Ażeby jednak skutek moich modłów był pewniejszy, zostaw twój krzyżyk w domu. Wiedz jeszcze i to, że jutro właśnie księżyc w dobie najprzyjaźniejszej widzeniom; opuściwszy tę chwilę, możeby długo przyszło czekać na podobną.

Pustelnik ze świętobliwem obliczem skłonił głowę na znak pożegnania, a Oda smutnie wracała do zamku.

Oda w płochem poczęciu swojego przedsięwzięcia nie przeczuła trudności ważniejszych, jak zwykłe ziemskie; rozmowa z pustelnikiem dała jej przykro uczuć tę nieprzezorność. Teraz dopiero ujrzała, że jej postępek może się wiązać ze sprawą sumienia, ze sprawą religji. Warunek, położony przez mnicha, stanął, jak przeszkoda, której nie można było lekceważyć. W pierwszem prawem natchnieniu przeszkoda ta sprowadziła ją prawie z drogi, na którą weszła nierozważnie, zniszczyła prawie zamiar niebezpieczny. W takiem usposobieniu wróciła do siebie i przetrwała aż do nocy. Ale odepchnięta myśl występna czekała ją w bezludnej sypialni, na samotnem łożu, pośród nocnych ciemności; tam to, sprzymierzona ze smutnemi marami przeszłego szczęścia i goryczą chwil obecnych, wystąpiła potężnie do zaciętej walki. Silnie jakiś czas opierały się religijne uczucia, ale świeżo zaszczepione i to w sercu, chwiejącem się co chwila mocniej, nie miały już w niem pewnej podpory, a namiętności rozumowały, jak prawda, jak niewinność; przynajmniej odziały się w pozory tego obojga; trudno więc było sumieniu pozyskać przychylny sobie wyrok Ody, która chętniej widziała w sprawie jego przeciwników sprawę własną. — «Zostawić krzyż w domu« — tak myślała Oda — »możeż w tem być co złego? Wszakże przez to nie wyrzekam się się mojego Boga, nie poddaję się innym bogom. To rzecz tak mała! a za to użyję takiej radości, zobaczę męża, dowiem się o jego losie, pocieszę serce, odzyskam spokój, którego nie znam od tak dawna, a bez

którego nic mi po życiu. Byłożby grzechem przebyć jeden dzień bez krzyża na piersiach?« — Na próbę postanowiła zdjąć go z siebie i bez niego noc przepędzić. Co myślała, to wykonała natychmiast. Wróciwszy do łoża, aż sama się zdziwiła, że pozbycie się świętego znaku nie obudziło w niej żadnego przykrego uczucia; przeciwnie, weszła w nią jakaś swoboda, pewne zadowolenie. Następnie, i to już mimo jej wiedzy, stan ów przeszedł w upojenie gorączkowe, ale rozkoszne. Otoczyły ją pokusy wszelkiego rodzaju. Wszystkie uciechy małżeńskie położyły się obok niej w zmysłowych prawie postaciach; zdawało się jej nieraz, że widzi, że dotyka swojego męża, że czuje uściski jego. Krew płomieniem grała po żyłach, serce biło przyśpieszonem tchnieniem rozkoszy, wpadała w rodzaj omdlenia, w złudzenie, graniczące z rzeczywistością; a kiedy ocknęła się z niego, otwarła oczy, poznała się na złudzeniu i westchnęła za szczęściem, które albo już zniknęło, albo przedstawiało się jak niepewna przyszłość; wtedy snuły się po myślach w natrętnem widzeniu — jaskinia pustelnika, jego postać, odziana jakimś niezwykłym urokiem; po sercu rozlewała się melodja jego muzyki potężnej, jego głosu, równie potężnego. Wtedy drżała całem ciałem, a jednak nie było to drżenie trwogi przykrej. Ona w tej chwili byłaby się rzuciła z uściskiem miłości na martwe drzewa i kamienie; w drzewach i głazach czułaby swojego męża, znalazła ogień jego uścisków. W podobnych marzeniach usnęła na pół pokonana, a sen był dalszym ich wątkiem. W podobnych marzeniach znalazło ją przebudzenie pokonaną całkiem.

W ocucone ucho zabrzmiał, jak pobudka szatańska, odgłos słów pustelnika: »powinnaś przyjść jutro, albo nigdy!«

— Idę! — odpowiedziała Oda, i zamiar był już niezachwiany.

Z niecierpliwością czekała chwili sposobnej do tajem-

nego wymknięcia się z zamku, uchwyciła ją z radością, i oto jest już w biegu do jaskini. Droga świadomsza, jak wczoraj; podróż jednak mniej pośpieszna. Spotykały ją dziwne wypadki, niby ostrzeżenia, niby przeszkody. Zaraz z początku przeleciał jej drogę ptak nieznany, rzadkiej piękności. Stanęła mimowolnie — on usiadł; szła ku niemu — on zerwał się i ulatywał w stronę zamku. Długo nie mogła się mu napatrzyć, a ptak siadał, ile razy stanęła, podnosił się, jak tylko była przy nim, i zawsze ku zamkowi zmierzał; w końcu odpoczął na jednej z baszt zamkowych. Oda porzuciła nieużyteczną pogoń, wróciła na swoją drogę; ptak wydał żałosny śpiew i zniknął pod niebem. Dalej ujrzała sarnę; sarna nie pierzchnęła, zwróciła się ku idącej, wlepiła w nią piękne swoje oczy, dozwoliła zbliżyć się, pogłaskać, ulizała jej rękę, zawsze z wejrzeniem błagającem; potem, igrając, okrążyła ją w skokach kilka razy i biegła ku zamkowi, postawając i oglądając się na Odę, jakby ją zawrócić chciała. Oda odwróciła się od sarny i szła dalej swoją drogą, a smutny bek zwierzęcia długo było słychać. Wkrótce zapomniała o ptaku i sarnie, stała już przed jaskinią.

Pustelnika nie było; szukać go wewnątrz nie miała odwagi, nie czuła potrzeby. Jeżeli jest, posłyszy ją, obaczy i nie omieszka wynijść. Wolała doczekiwać, zwłaszcza, że potrzebowała wypocząć, bo upał, mimo pory dnia przedzachodniej, mocno jeszcze doskwierał i zgrzanie śpiesznego chodu oblewało ją rzęsistym potem, a cień był gęsty i lekki wietrzyk powiewał ochłodą. Usiadła więc na głazie, oparszy się o ścianę skały, bokiem do otworu jaskini. Nie upłynęło chwil kilka, kiedy w pieczarze ozwała się muzyka i śpiew pustelnika.

Początek brzmiał niejako radosnem witaniem, w dalszym ciągu duch muzyki zmienił się, przeszedł w narzekanie, w błaganie, a tchnął najgorętszem uniesieniem miłości. Dotąd słowa pomagały dźwiękom; wkrótce słowa

ucichły, struny tylko dzwoniły, a w dźwięku ich zaszła nowa zmiana. Dyszało w nich jakieś lube omdlenie, jakieś upojenie rozkoszne aż do obłąkania. Słysząc je, zdawało się, że muzyk odchodził niekiedy od przytomności, że palce naoślep uderzały po strunach; niekiedy muzyka całkiem się rwała. Wszystko to nie przeszkodziło, ażeby Oda nie utonęła w niej całą duszą. Widać to było po niej coraz widoczniej, im dłużej trwało granie. Zdawało się, że gorąco mocniej dokuczało, uciskało. Odrzuciła zasłonę z twarzy i piersi, rozpuściła przepasanie szaty; bujny warkocz swobodnie rozpłynął się po ramionach z pod dziewiczego wieńca; twarz, całkiem odkryta, jaśniała rozkoszą i pięknością zachwycenia; piersi, zaledwo przesłonione, wysoko się podnosiły, to nagle na długo się układały; w całej postawie malowały się upojenie, rozkosz, zachwycenie. Muzyka ucichła w pieczarze, a w jej uszach, w jej sercu jeszcze brzmiała. Opamiętał ją szelest od pieczary. Zaledwie zdołała zarzucić zasłonę i spojrzeć w stronę szelestu, kiedy pustelnik kilku szerokiemi krokami stał już przy niej.

Porwał drżącą ręką rękę Ody i zmienionym głosem zawołał, wskazując na jaskinię:

— Tam, tam wejdźmy. Bogi czekają.

Te ruchy niezwykłe, ten głos przejęły Odę strachem; poczuła w nich jakieś niebezpieczeństwo. Ale Oda nie była z tych kobiet, które niebezpieczeństwo rozbraja. Pierwsze mimowolne wrażenie prędko przeminęło, a na jego miejscu znalazła się odwaga i siła. Porwana raczej, jak podniesiona z siedzenia silną ręką pustelnika, zaledwie stanęła na nogach, dała mu uczuć całą moc swojego oporu, podniosła dumne wejrzenie, sięgnęła ręką pod zwierzchnią szatę, i w tejże chwili w ręku jej nóż błysnął.

Pustelnik, czy to jej spojrzeniem, czy widokiem noża uderzony, odskoczył o kilka kroków; zdumienie odebrało

mu, widać, mowę na razie, bo nie prędko zawołał żałośnie:

— O nielitościwa, za co ty mię tak dręczysz? Daj mi ten nóż.

— Nie, ojcze — rzekła głosem pewnym — tego noża nikt mieć nie może oprócz mnie i Gromowida.

— Odrzuć go od siebie.

— Dlaczegóż mam odrzucić?

Pustelnik nie mógł natychmiast odpowiedzieć, po chwili dopiero przemówił:

— Czy nie widzisz, że on ma podobieństwo krzyża? Możemyż z nim przemawiać do bogów?

Pustelnik zdawał się mieć słuszność; postrzegł zakłopotanie Ody i wtedy groźniej się odezwał:

— Odo, ty żartujesz sobie z bogów, których łaski pragniesz. Ściągasz ich pomstę na siebie i na mnie. W jednej chwili zniszczyłaś wszystkie skutki mojej całonocnej modlitwy.

Był to nowy cios dla Ody. Zapomniała o wszystkiem, co się działo przed chwilą, i była znowu kobietą, jak dawniej.

— Jak to? — zawołała — więc i dzisiaj z niczem powrócę?

— Przez własną winę — odpowiedział pustelnik. — Bogi są obrażone, przebłagać ich niepodobna, dopóki będziesz mieć przy sobie cokolwiek, coby przypominało ich przeciwnika.

Oda zasmuciła się, spuściła głowę, łzy miała w oczach; jej nadzieje, kupione tak drogo, znowu się w nic rozwiały.

— O srodzy bogowie! — zawołała — jeszczeż wam nie dosyć ofiary, którą zrobiłam?

Nie była jednak w stanie rozstać się ze swoim nożem, nie mogła także odstąpić od zamiaru, któremu już tyle poświęciła. Stała, jak posąg, nie wiedząc, co począć; nieopodal siedział pustelnik, i on także, jak posąg, niby

wewnętrzna niemoc pozbawiła go wszelkiej władzy. Tak oboje długo milczeli.

Pierwsza zaczęła Oda, zwracając się ku niemu z błagającym wzrokiem:

— Ojcze, ty cierpisz przeze mnie! Przebacz. Ale wymagasz po mnie, czemu się moje serce opiera. Czyż moja w tem wina? Nie odbieraj mi przecież wszelkiej nadziei. Daj mi jeszcze tę noc do namysłu. Może przez tę noc i bogi przebłagać się dadzą. Powiedz, czy mogę jeszcze mieć jaką nadzieję?

— Tylko bogowie to wiedzą — odpowiedział pustelnik smutno i uroczyście.

— Zapytaj bogów — rzekła prostoduszna — zapytaj ich teraz, jeśli to być może. Trudno mi odejść w niepewności, w której zostaję.

Pustelnik podniósł się.

— Odo! o Odo! — rzekł głębokim głosem serca — niema, czegobym dla ciebie nie zrobił. Będęż miał za to choć wdzięczność twoją?

— Do śmierci — odpowiedziała.

— A więc pójdę, zapytam bogów zaraz.

To wymówiwszy, zniknął w mroku jaskini. Długo nie było go widać. Przez ten czas Oda słyszała tylko przytłumiony głos jego, przytłumione westchnienia, łkania; domyślała się, że bogowie byli mocno obrażeni i uporni w gniewie. Wyszedł nakoniec i głosem uroczystym przemówił:

— Odo, wola bogów jest taka, a wyrok ich nieodmienny: zobaczysz męża jutro, jak księżyc w dolinę zajrzy, ze szczytu Smytni. Przyjdziesz w ślubnej twojej sukni. Nie będziesz mieć przy sobie żadnego znaku nowej wiary, żadnej broni. Bogowie chcą uroczystej cześci i ufności. Czy przystajesz na to?

Po krótkim namyśle Oda przyrzekła.

Pustelnik zawołał z widoczną radością:

— Dzięki ci, Odo, za twoją uległość. Oby przez cały

ten czas bogowie byli z tobą! Jutro więc o zmroku czekam na ciebie tutaj.

Oda pożegnała pustelnika i zwróciła się ku domowi, możnaby mniemać, że w smutku, w niepokoju wewnętrznej walki, jak wczoraj, albo w nieufności ku pustelnikowi, a przynajmniej w cierpieniu, że jeszcze o jeden dzień musi przewlec się spełnienie ulubionego jej zamiaru, pocieszenie się widokiem męża. Bynajmniej. Ostatnie widzenie się z pustelnikiem wprawiło ją w stan niespodziewany, od niej samej niepojęty, którego zagadki trzebaby szukać chyba w tajnikach serca kobiecego. Myśl jej nie mężem głównie, ale pustelnikiem była zajęta. Zaczem straciła jaskinię z oczu, nie mogła wstrzymać się, aby nie obejrzała się na nią kilka razy, a za każdą razą widziała pustelnika klęczącego, z twarzą zwróconą ku niej, z rękami, wyciągniętemi w jej stronę: zapewne modli się za nią, cierpi dla niej. I zaraz obok tej postaci pokornej stanął jego obraz groźny na początku widzenia się. Co tam było siły, co ognia, co namiętnego uniesienia! A jednak rzucił to wszystko pod jej nogi na jeden niechętny rzut jej oka, w proch zamienił się przed nią! Niepodobna nie podziwiać jego męskiej woli, niepodobna nie litować się nad jego pokornem cierpieniem. A w jego graniu, w jego śpiewie ile biegłości, ile uczucia! Ktokolwiek on, w jakiejkolwiek objawi się przemianie — człowiek to niezwyczajny, nieobojętny; jakiekolwiek obudza uczucia, obudza je w stopniu wysokim, a z nich zlewa się jedno, które nie może być nienawiścią ani zimnem podziwieniem. Uczucie jednak Ody nie było jeszcze miłością. Wszakże i to pewna, że miłość dla męża słabła przy niem, że przy niem poczęła gasnąć myśl o mężu, a przynajmniej tęsknota za nim złagodniała. Oda przyjdzie znowu jutro, wypełni wszystko, co pustelnik zalecił, aby nie obrazić bogów; ale gdyby coś nowego przeszkodziło czarom i zawiodło nadzieję, Oda gotowa pocieszyć się myślą, że spędziła chwil kilka

w towarzystwie pustelnika, że przez to będzie miała powód jeszcze raz go zobaczyć. W takiem usposobieniu wróciła do domu i wyglądała naznaczonej godziny: mara męża ma odtąd służyć za przewodnika do rzeczywistej uciechy.

IV.

Doba właśnie upływała od ostatniej rozmowy Ody z pustelnikiem. Słońce dążyło do zachodu, a na dalekiej drodze, wijącej się brzegami Dunajca, wzbijały się kłęby pyłu pod kopytami konnego orszaku Gromowida i zbliżały się ku stronie Kościeliska. Gromowid powracał nareszcie. Kijów wzięty, wyprawa ruska dokonana. Gromowid okazał wszędzie znaną dawną waleczność, nie opuścił żadnej sposobności, aby wynagrodzić ojczyźnie dług, zaciągnięty przez gnuśną nieczynność. Jednak ani wrzawa, ani ruch wojennego życia nie zdołały zagasić myśli o anielskiej żonie, osłabić tęsknoty za nią. Dla tego skorzystał z pierwszej przerwy bojów i upoważniony zezwoleniem króla, puścił się ku domowi, choćby na dni kilka, choćby na chwilę. Nie tracił zapewne czasu w podróży. Pędził, ile mu służyły siły jego konia i własne. Z radością przypadł nad brzeg Dunajca. Wieczór się zbliżał, a zamek jeszcze daleko. Zostawił czeladź z ciężkim podróżnym sprzętem, a sam puścił się przodem w jak najlżejszem uzbrojeniu, z krótkim tylko mieczem przy boku i z łukiem przez plecy. Mimo to ani lekkość jeźdźca, ani nogi konia nie wystarczały sercu, rwącemu się wciąż naprzód. Słońce zaszło im na równi z szyją Zakopanego. Gromowid przysporzył biegu, ale koń wycieńczony ostrogi nawet nie chciał już słuchać; dobył jednak ostatnich sił na rozkaz pana i wkrótce rozparł się śród drogi. Gromowid westchnął ciężko nad koniem, westchnął ciężej, że nie uściska żony tak prędko,

jak pragnął, jak miał nadzieję, i biegł dalej pieszo. Zaczynało się już zmierzchać, kiedy przechodził samorodną bramą Kościeliska; zdwoił krok po dolinie, ujrzawszy światełka domowe, ale przykra góra, na której stoi zamek, zmusiła go zwolnić pośpiech. Darł się w najbliższym kierunku, świadomy dobrze miejsca. Mniemał tym sposobem skrócić drogę. I w rzeczy samej znalazł się niebawem blizko zamku, ze strony małej furtki. Przez nią wejść umyślił, ale znużenie, wzruszenie wewnętrzne zmusiły go zatrzymać się na chwilę i wypocząć. Zaledwie stanąwszy, oparł się o drzewo, kiedy się furtka otworzyła i wyszła z niej postać w bieli. Księżyc właśnie oświecał małą polankę, ku której postać biała posuwała się. Pod blaskiem księżyca, chociaż bijącym w bok postaci, odwróconej od Gromowida, poznał on z podziwieniem Odę, krzyknął z radości, chciał się rzucić naprzeciw niej, ale w temże mgnieniu oka wypadła z gęstwiny dzika koza, ogromny puhacz uderzył w nią piorunem, ujął w szpony, podniósł w górę i nie mając, zdaje się, dosyć siły na taki ciężar, upuścił ją, ledwie już dyszącą, tuż przed nogami Gromowida. Biała postać krzyknęła z przestrachu i zgasła w gęstwie, jak błyskawica. Jakkolwiek Gromowid pomięszany był tym dziwnym przypadkiem, jednak myśl jego wróciła natychmiast do zniknionej Ody. Widział on, w którą stronę pobiegła, tam więc udał się jak najśpieszniej, a za chwilę ciemność i cisza nocy zakryły go całkiem.

Pod ten czas pieczara pustelnika zajmujący przedstawiała widok. Wpośrodku jej, na wielkim kamieniu, gorzał ogień. Dokoła ścian przeglądały z cienia potworne posągi bożyszcz pogańskich, świeżą krwią ofiary obryzgane. Przed ogniem stał nie już pustelnik w ubogiej włosienicy, kryjący twarz w kapturze, ale kapłan pogański, mąż urodziwy, średniego wieku, ze znaczącem obliczem, ożywionem w tej chwili przez jakieś groźne i dzikie natchnienie. Biała, obszerna kapłańska szata, spięta

bogatym pasem, przydawała powagi okazałemu wzrostowi i silnej budowie całej postawy; głowę ozdabiał kapłański wieniec, a jeszcze bardziej piękny włos, długo rozpuszczony. W ręku była czara, krwią napełniona; ustami bełkotał coś niewyraźnie, znać pogańskie modlitwy. Pobożna jego żarliwość coraz mocniej rosła; w miarę tego głos podnosił się to w jękach, to w głębokich westchnieniach, którym nie rzadko wtórował groźny zgrzyt zębów. Zadyszany, półomdlały, ucichł; w grobowem milczeniu, z natężonem uchem, wylał czarę na ogień. Prysnęły żary, krew zaskwierczała, zewnątrz pieczary rozległ się dziki śmiech puhacza i ciszej, słabiej chrypienie jakby dławionego gardła. Naraz wszystko ucichło; krew skwierczała coraz ciszej; drzewa stosu piszczały coraz boleśniej, coraz rzadziej; płomień to wzmagał się, to przygasał. Guślarz poglądał razem to na płomień, to w potworne bożyszcza, które przy tym blasku niejednakowym to rosły, to malały, zdawały się żyć, ruszać się, aż w końcu wszystko wróciło do stanu zwyczajnego. Ofiarny obrzęd skończony.

Guślarz zbadał bogi.

— Dzięki wam, potężne bogi ojców! — zawołał — ona przyjdzie, może już idzie. Wykonam, com jej przyrzekł; stanie się, jak pragnąłem. Ujrzy męża, ale między niemi boleść, rozpacz, śmierć. Biada ochrzczonym duszom! Co za chwała dla starych bogów! Jaka radość moja! Ona musi być naszą, musi być moją. Cieszcie się, bracia, wierni bogom ojców. Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo nad przybylcami cudzego nieba.

Zaledwie domówił tych słów, kiedy przed pieczarą, pomiędzy zaroślami, dał się słyszeć szelest gwałtowny jakby szybko bieżącego. Guślarz zadrżał: otóż i ona! i wyskoczył z jaskini. Nie omylił się; była to Oda, ale nie taka, jakiej się spodziewał: zadyszana, przerażona, blada, bez głosu prawie, bez sił, w nieładzie włosy, wieniec, ledwo zaczepiony, trzymał się tyłu głowy.

Strój guślarza, obcy jej dotąd, jeszcze ją bardziej zmięszał. Cofnęła się, pozierając na niego obłąkanym z podziwienia i trwogi wzrokiem.

— Odo, co ci jest? — rzekł guślarz, nie mało przerażony. — Tu, przy mnie, nie lękaj się niczego. — Przybliżył się i wziął ją za rękę.

Te słowa, wzrok, pełen dobroci, ściśnienie serdeczne przywróciły jej przytomność. Rzuciła się na siedzenie, głęboko westchnęła, oglądała się bojaźliwie po stronach.

— Co ci jest, moje dziecię? — powtórzył guślarz.

— Ach! słyszałam go, widziałam go już! — zawołała Oda.

— Kogo?

— Mojego męża!

Guślarz zdumiał na chwilę, ale po chwili rzekł:

— Uspokój się; było to zapewne przywidzenie, strach nocny.

— Zapewne że przywidzenie, ale tak wyraźne, że słyszałam głos jego, a postać jego całkiem jak na jawie. Co najstraszniejsza, że naraz przemienił się w puhacza ogromnej wielkości, z kozą w zakrwawionych szponach. Nie wiem, co się dalej stało; pobiegłam, gdzie mię oczy niosły; nie wiem, jak tu przybiegłam. Dotychczas nie mogę przyjść do siebie; drżę na spomnienie.

— Przywidzenie — powtarzał guślarz.

Oda milczała lub narzekała.

Guślarz nie przestawał pokrzepiać, pocieszać; wymowa jego wkrótce skutkowała.

Oda powoli przychodziła do siebie, odzyskiwała siły, a z niemi zupełną przytomność; rumieniec zaczął na twarzy występować. Obok tego widać było w niej pracę jakiejś myśli, jakieś wahanie się, obawę powiedzenia czegoś; na końcu zdobyła się na odwagę i rzekła:

— Ojcze, mam prośbę, która cię zdziwi, a może i rozgniewa.

— Odo, rozkazuj mi, nie proś.

— Ojcze, mój przestrach nie opuszcza mię. Ja dziś

nie chcę widzieć mojego męża. Odłóżmy gusła na później.

Z niemałem zadowoleniem znalazła w guślarzu mniej oporu, niż się spodziewała. Po krótkiej rozmowie odłożono do dnia jutrzejszego wędrówkę na Smytnię.

— Ale, mój ojcze, nim odejdę, jeszcze cię zapytam o jedno. Ja ciebie dzisiaj zaledwo poznaję. Ten ubiór — wahała się dokończyć.

Guślarz uchwycił wątek jej myśli i tak go dokończył:

— Ten ubiór, Odo, konieczny jest przy spełnianiu guślarskich obrzędów.

— Ale to ubior pogański, wyklęty przez chrześcijan.

Guślarz zadrżał.

— Ale był święty dla ojców naszych i dzisiaj jeszcze jest takim dla wiernych narodowym bogom! — dodał w uniesieniu mimowolnem.

Oda zabierała się odejść.

Guślarz wziął ją za rękę, zatrzymał zlekka, usiadł obok niej, nie bez widocznego wzruszenia, i pilnie patrząc jej w oczy, zaczął w ten sposób:

— Odo, posłuchaj mię chwilę, mam ci wiele powiedzieć, ale zacznę z kolei od zapytania: godziż się to chrześcijance udawać do guseł pogańskich? Prawda, że trudno ci znaleźć odpowiedź na to w twojem sumieniu? I nie szukaj jej. Nie zasłaniaj sobie oczu, nie trwóż się. Ty jesteś mniej winna, niż ci się zdaje; owe gusła, potępione dzisiaj, to świętość, to wiara twoich przodków. Grzeszysz przed mnichami, przed Niemcami, ale nie przed duchami domowemi. Jesteś niewinna, jak byłaś niewinna, zanim zostałaś chrześcijanką. Zapytaj własnego sumienia, własnych spomnień z twoich lat dziewiczych. Jesteśże dzisiaj szczęśliwszą, jak byłaś wówczas? Znałażeś w on czas te cierpienia, pod któremi dzisiaj upadasz? Powiedz sama. Zapewne że nie. Bo wprzódy, wierna bogom ojczystym, byłaś pod ich opieką; dzisiaj odstąpili cię oni, bogowie uciech, bogowie szczęścia,

a twój nowy Bóg jest bogiem cierpienia i prowadzi cię po drodze cierpienia.

Zapał guślarza wzrastał, opanował go całego, w oczach błyszczał obłąkaniem i lubo szedł z ducha złego, nadawał jego słowom siłę przewrotnej wymowy, a głosowi urok pieśni czarnoksięskiej. Zatrzymał się niejako dla odetchnienia i z gwałtowniejszem jeszcze uniesieniem tak dalej mówił:

— Tak, Odo, przyszła wreszcie pora wszystko ci odkryć. Ja nie jestem chrześcijaninem. Wziąłem tylko płaszcz nowej wiary. Uległem srogim rozkazom Chrobrego. Mimo chrztu zostałem w duchu tym samym guślarzem, jakim byłem do ochrzczenia się, dochowałem wiary dawnym bogom. Przysiągłem im to, kiedy mię zlewano chrześcijańską wodą; przysiągłem także zemstę ich odstępcom i przywrócenie ich czci dawnej. Całe moje życie aż do dzisiejszej chwili poświęciłem temu, a opieka ich błogosławiła mojej pracy. Spodziewam się, że wkrótce owoce jej będą wszystkim jawne i stolice biskupów runą tak nizko pod nasze nogi, jak dzisiaj stoją wysoko nad naszemi głowami. Namacano jednak moje prace. Zostałem na celu zaciętych prześladowań. Musiałem zejść na chwilę z oczu. Wtedy to po raz pierwszy zabłąkałem się w te góry; ale i tu nie mogłem znaleźć bezpieczeństwa inaczej, jak pod suknią łacińskiego mnicha. Wkrótce bogowie dali mi wyraźny rozkaz służyć im w tych miejscach. Powiem ci dla czego. Mąż twój, Gromowid, jest jednym z najzaciętszych przeciwko ojczystym bogom. Nie mało on wywrócił kontyn, nie mało wyciął świętych gajów. Zemsta bogów musiała go dosiąc prędzej czy później w jego dziele. Kazano mi pod jegoż okiem psuć jego robotę. I zepsułem ją. A on o tem nie wie! Jakaż to potęga jego Boga, że nie mógł mi przeszkodzić? Jaka opieka, że dotąd nie ostrzegł Gromowida? Zwyciężyłem go przez moje bogi. Wkrótce w nagrodę zesłali mi nadspodziewane pokrzepienie. Odo, winienem ci to powie-

dzieć. Prędko po mojem przybyciu ujrzałem cię po raz pierwszy śród gór w towarzystwie twojego męża. Musisz zapewne pamiętać tę chwilę. Było to w najdzikszej ustroni. Widziałem was w pieszczotach, jakich żadne światło bez zmienienia się widziećby nie mogło. Od tej chwili, Odo, nie mogłem cię zapomnieć, zakochałem się w tobie. Miłość dla ciebie równała się ze czcią dla bogów. Do zemsty za bogi przyłączyła się zawiść miłości. Od tej chwili albo cię śledziłem, albo myślałem o tobie. Odtąd jedynym celem moich trudów w sprawie świętej było powrócić cię dawnemu szczęściu, i w tem jeszcze nie zawiodła mię łaska bogów. Bezbożny król wojną ruską rozdzielił cię z mężem. To nieszczęście pozorne obróciło się tobie w pożytek. Nie znalazłaś pociechy u łacińskiego Boga, udałaś się do ojczystych. Nie wiedziałaś, co robisz, ale dobrze robiłaś. Przychylni bogowie prowadzili cię wciąż niewidomą ręką do twojego dobra. Sama wyznać musisz ich potęgę; tylko rozważ. Jeżeli poznałaś w czemkolwiek moc moją, ta od nich idzie. Nie trudź się, nie trwóż się próżnemi strachami, któremi cię napoili łacińscy kapłani. Sama widzisz, jak słabszemi są od naszych bogów. Wyznaj to raz własnemi ustami i sercem.

Oda milczała; nie wiedziała co odpowiedzieć. Guślarz potokiem słów zalał jej duszę; jeżeli nie opanował całego sumienia, to przynajmniej silnie rozżarzył iskry dawnych pogańskich wierzeń, nie całkiem zduszone, zatrząsł wiarę nową, niedobrze jeszcze zakorzenioną w roli serca ruchomego, przyjmującego łatwo wszelkie mocne wrażenia.

Milczenie Ody było już dobrym znakiem dla guślarza. Postrzegł, że zwyciężył w połowie, dobył więc ostatnich sił, rzucił się na kolana przed Odą i zawołał rzewnem błaganiem:

— Nie wahaj się dłużej, prześliczna Odo. Twoje serce przyświadcza moim słowom. Idź za niem. Patrzaj, co

stracisz: wiarę obcą, niepojętą, surową, ponurą, nieprzyjaciółkę uciech ziemskich, a zyskasz wiarę jasną, pogodną, otwierającą tobie tutaj, na ziemi, wszystkie rozkosze tego raju, któremi cię łacinnicy po śmierci wabią. Wybór prosty. Nie mogę wypowiedzieć, jakiem szczęściem nagrodzą bogowie twój do nich powrót. Alboż to cały świat w tych górach pod władzą Gromowida? Alboż to wszelkie szczęście w jego tylko objęciu? Jestem potężniejszy, niż ci się zdaje. Znajdziesz ze mną szczęście, o jakiem nie wiesz dotąd, bo nikt cię tak nie kochał, jak ja kocham. Odo, zaklinam cię na moją miłość, na twoje własne szczęście, na bogi, spólne nam kiedyś, odważ się na to dzisiaj, co musisz zrobić jutro, pojutrze kiedykolwiek; bo serce twoje jest już w mocy ojczystych bogów. Odrzuć, cokolwiek przywiązuje cię jeszcze do twojej wiary, do twojego męża. Powiedz, że przyjmujesz moją miłość. Wahasz się? A więc ci powiem ostatnie słowo. Kiedym po raz ostatni radził się bogów, usłyszałem to z ich ust własnych, że Gromowid już nie żyje i że mnie przeznaczono zdjąć z twojej głowy ten wianek. I zdejmę go, zdejmę, przez bogi moje.

Oda, półstruchlała, zerwała się z siedzenia; guślarz, groźniejszy jak kiedykolwiek, sięgał już ręką po wieniec; wtem z gęstwy rozległo się ogromnym głosem:

— Kłamiesz, pogański duchu! — i świsnęła strzała prosto w piersi guślarza, a tuż za nią wypadł skokiem rysia, spadającego na zdobycz, uzbrojony rycerz i schwycił guślarza za gardło.

Oda rzuciła okiem na rycerza, wrzasnęła przeraźliwie i w mgnieniu oka znikła z przed pieczary,

Pod ten czas rozpoczęła się uparta walka między przybyłym rycerzem a guślarzem. Ten, jakkolwiek bezbronny i raniony, dobył ostatnich sił i pokazał, że miał ich niemało. Po kilkakroć nagą tylko pięścią potrącił rycerza tak silnie, że aż nim zachwiał za każdem potrąceniem, ale wkrótce sam się zwalił, przebity mieczem.

— Pokonałeś mię, przeklęty! — zawołał chrypiącym głosem konającego. — Biada moim bogom! Słabi są, ale umieram wierny im. Przebacz żonie. Ja tylko występny. Oda słaba, ale niewinna. Przysięgam na bogi.

Słowa te złagodziły wściekłość Gromowida. Odstąpił od guślarza, a myśl o żonie zajęła go jedynie. Obejrzał się dokoła i nie znalazł jej; ale w zaślepieniu walki nie zważał, gdzie się udała. Niepokój groźny schwycił go za serce, obłąkał oczy, odbił się w całej postawie.

Półmartwy guślarz odgadł ten niepokój; nie mógł już przemówić, ale wskazał ruchem ręki na łachman białej sukni, wiszący u blizkiej gałęzi, jako ślad jej ucieczki w stanie bezprzytomnym zapewne.

Gromowid po tym jedynym znaku puścił się za zbiegłą w całym pędzie nóg; natrafił jeszcze dwa lub trzy razy na podobne poszlaki, ale wkrótce żadnych nie znalazł. Mimo to przez godzin kilka biegał po blizkich górach naoślep, wołał — nikt się nie odzywał. Myślał, że się schroniła do zamku. Wpadł tam, jak widziadło, jak obłąkany; nie witał domowników, wołał tylko o żonę; nikt jej nie widział, nikt nie wiedział, gdzie się podziała. Rozegnał wszystką służbę na całą noc, w różne strony, i sam nie został bezczynny. Całą noc migały po przyległych lasach i górach kagańce szukających; całą noc rozlegały się żałobne nawoływania — wszystko napróżno. Aż dopiero nad ranem ujrzał Gromowid coś białego w niedostępnej prawie gęstwinie. Zbliżył się, rozpoznał ludzką postać. Krzyknął z radości, przedarł się do niej, przypadł na kolana; w rzeczy samej, była to Oda. Leżała oparta o poplątane gałęzie, półnaga, półmartwa, z suknią poszarpaną a ciałem podrapanem, z ręką na wieńcu, spływającym po włosach. Na głos Gromowida zadrżała dreszczem całego ciała, podniosła wpółprzygasłe oczy, osłupione trwogą, konwulsyjnym ruchem zerwała wieniec i puściła go przed nogami męża. Lecz kiedy, ująwszy ją w silny uścisk, chciał podnieść i sło-

wami wszystko przebaczył, i przycisnął z miłością swoje usta do jej ust, uśmiechnęła się, złagodziła wejrzenie i niewyraźnie wyszeptała:

— Kara boska.

Były to ostatnie ruchy życia, ostatnie słowa; poczem zwolna zamknęła oczy i już ich więcej nie otwarła.

Z tem okiem zgasło całe szczęście, cała ziemska przyszłość Gromowida. Pochował on żonę w tem samem miejscu, gdzie ją znalazł, przeklął swój zamek na wieczne pustki, a sam osiadł w kaplicy, zbudowanej na ukochanym grobie, i wkrótce tam umarł.

Niebo dla nauki miejscowego ludu uwieczniło cały ten wypadek. Natychmiast po skonaniu Gromowida kaplica zapadła się w ziemię, a na jej miejsce wystąpiło jezioro, zwane dzisiaj Smerczyn Staw. Stamtąd w pewnych wieczorach każdego roku wychodzi mgła biała, powiewna, wtacza się na szczyt Smytni, stacza się z niego, błądzi po dolinie i znowu wraca do jeziora. Ma to być duch Ody, niewiadomo, czy jeszcze pokutujący, czy już anioł.

Pustki zamku, przemienione w opokę, zachowały do dziś dnia pozór warownej budowy. Pieczara guślarza zapadła, a na jej miejscu siedzi duch jego, odziany kształtem wielkiej, kamiennej sowy; nieruchomy od wieków nad prześliczną doliną, musi patrzeć bezwładnie na miejsce bezbożnych swoich czynów, Bóg wie dopóki.

Niejeden podróżny widzi to wszystko, a nie wie zamkniętej w tem tajemnicy.

1842.

PIERWOCINY POETYCKIE

DO PRZYJACIÓŁ.

(Wolny przekład pieśni XIII z Horacjusza księgi »Epodon«).

Niebo wokrąg posępne nawałnice kryją,
Zagrzmiały z strasznym trzaskiem ogniste obłoki;
W dłoni gniewnego Boga pioruny się wiją,
Lecą śniegi, lunęły deszczowe potoki,
Wśród głuchych borów trackie akwilony wyją,
Ryczy wzdęty wichrami ocean głęboki;
Zniknął złoty krąg słońca, ziemia obumiera,
Wszędzie głuchą posępność burza rozpościera.

W dniu dzisiejszym spocznijmy na rozkoszy łonie,
Niechaj się umacniają drżące starca nogi.
Młodości! uwieńcz wiekiem poorane skronie,
Dajcie wina, Torkwata czasów pomnik drogi!
Polejcie na się wdzięczne Achemena wonie
I wdziękiem boskiej lutni słodźmy smutek srogi,
A o resztę nie dbajmy! Może się złe skróci,
Gdy je do swego źródła Bóg łaskawy zwróci.

Tak śpiewał Achillowi Centaurus wsławiony:
Młodzieńcze, zadrżą Trojan przed tobą narody;
Śmiertelny, z nieśmiertelnej Tetydy zrodzony,
Pod twoją włócznią runą Assaraha grody,
Lecz musisz spełnić Parki wyrok niecofniony
Tam, gdzie Skamander toczy zapienione wody.
Ale ty czarne myśli, zgryzoty i troski
Oddal winem rozkosznem, Achillesie boski.

1818.

SONETY.

1.

Dosyć już twoja dręczy mię niełaska,
Dosyć tej wzgardy, jużem dość zniżony;
Dłoń, co budziła miękczące cię tony,
Niezręczną lutnię dłoń ta wnet potrzaska.

Lecz mej boleści, mej rozpaczy mało;
Zginę, czy słyszysz? Czekam jeszcze chwilę,
Dziś moje życie w twych wyrzeczeń sile.
Ozwij się! Milczysz? A więc już się stało.

Więc patrz, o Anno! O, szczęście bez tamy!
Spojrzałaś tylko, i już się kochamy —
Spojrzałaś, a tym jednym ócz przelotem

Cieszę się życiem, pieszczę sercem twojem.
Odtąd więc będziesz mych pieśni przedmiotem,
A twa źrenica natchnień moich zdrojem.

2.

Gdy się słońce w świat wytoczy,
A ogniem jego po łące
Błysną rosy krople drżące —
Anno, to są twoje oczy.

Ale jeszcze twa źrenica
Jakąś w sobie moc ukrywa,
Ta tylko tobie właściwa —
I przenika i zachwyca.

Kiedyśmy bowiem nieśmiali
Wejrzeniami się spotkali,
Serce mi nagle zadrżało,

Spłonąłem lubym zapałem,
Dreszcz przejął żyły i ciało —
I już cię, Anno, kochałem.

3.

Nie te zapały, które tchnie Apollin,
Ni mię uniosły Hipokrenu wody.
Czuję moc wejrzeń, moc śpiewam urody,
Anna to miła, jak strumyk wśród dolin.

Żywa pięknością, jak farbami tęcza,
Jak ta, w kolory, w powaby obfita;
Młodość i skromność na licach rozkwita,
Żywym zórz blaskiem źrenice uwdzięcza.

Nie pączek-że to ci wylewa wonię?
Ogniem to życia koral ust jej płonie,
Tak czarujący, jak pogoda cicha.

Cień się zatoczył wkoło nad oczyma —
Zgubna dla czułych, kiedy się uśmiecha;
A jej głos? Głos jej nic równego nie ma.
1819.

TRYJOLETY.

PYTANIE.

Niechaj mi odgadną,
W czem ładną kobieta,
W czem najwięcej ładną.
Ach wszyscy odgadną,
Bo to bardzo snadno,
Choć ta rzecz ukryta.
Niech mi więc odgadną,
W czem ładną kobieta.

ODPOWIEDŹ.

Otóż moje takie zdanie:
Serce — jej piękność prawdziwa.
W niem tylko wiecznie zostanie —
Takie moje o tem zdanie —
Dobroć, czułość i kochanie,
Co w sercu tylko przebywa.
Otóż moje takie zdanie:
Serce — jej piękność prawdziwa.

1819.

ŚMIERĆ STEFANA CZARNIECKIEGO.

DUMA.

Wietrze głuchy i posępny,
Puszcz mieszkańcze nieodstępny,
Coś po borach szumiał smutnie,
Gdy duch dzielnego Stefana
Wzlatywał przed niebios Pana, —
Uderz lekkiem skrzydłem w lutnię.

Niech wzruszona twym powiewem,
Cichym powtórzy mi śpiewem
Przez miłe drżących strun dźwięki
Ostatnie wodza westchnienie,
Przychylnych braci cierpienie,
Ich pożegnanie, ich jęki.

A ty, Lechitów młodzieży,
Słuchaj, jak ci żyć należy,
Jak do pięknych szczytów sławy
Kroków Polaka nie wiodą
Scieżki, wytknięte nagrodą,
Lecz ojczyzny zapał prawy.

Wzgórek był spadzisty, wzniosły;
Tam posępne brzozy rosły
Obok nachylonej chatki.
Pod ich to krzepiącym cieniem
Ostatnim tlące płomieniem
Uczył Stefan dni ostatki.

Słońce po zbrojach migało,
Kołysząc znaki nieśmiało,
Lekki wiatr szeleściał zcicha;
A wódz wpośród braci tłumu
Z ponurym odgłosem szumu
Westchnieniem tylko oddycha.

Wojownicy oniemieli,
Z łzami wokrąg się ścisnęli,
Oparłszy głowy na włócznie; —
Wtem Stefan otwiera oczy,
Smutny wzrok po mężach toczy
I tak zwolna mówić pocznie:

»Prac wojennych towarzysze,
Jeszcze raz przerwałem ciszę
Głosem, który wśród walk świetnie
Był wam bodźcem i otuchą,
A stękając teraz głucho,
Może mi te słowa przetnie.

»Jeszcze raz w niezwrotnej porze
Gasnące oczy otworzę
I prześlę wejrzenie moje,
Zagasłe później w czas wieczny,
W luby mi ten tłum waleczny,
Między te znaki, te zbroje.

»Pożegna jeszcze głos tkliwy
Rodowitej ziemi niwy,
Któreśmy nieraz usłali
Wrogów i obrońców ciały,
A które tysiąckroć drżały
Pod szczękiem zagubnej stali.

»Bez tryumfów, bez buławy,
Jak Lechita tylko prawy,
Sławą ojczyzny omamion,
Tu ścierałem wrogów siły,
Setne rzeki krew ich piły,
Mdłą tu była moc stu ramion.

»Nigdy naszych klęsk odgłosy,
Nigdy zdrady, nigdy losy,
Nigdy stoczonych wojsk nawał
Waszego wodza nie skłonił,
Aby się przed śmiercią chronił,
By kiedy wbrew jej nie stawał.

»Ale mnież to się przed wami,
Którzy byliście świadkami
Wspólnych poświęceń i trudów,
Chlubić, o rodacy moi,
Z miłości kraju przystoi?
Nie, Polacy! to dług ludów.

»Całe na to święćcie życie,
W tem się jeszcze nie splamicie...«
Wtem gwar mowę mu przerywa,
Poseł króla przed nim staje,
Buławę złotą oddaje
I w te się słowa odzywa:

»Wielkiego Szwedów zwycięzcę,
Co ciągle klęską po klęsce
Dowodził Karola dumie,
Gdy go przepędzał za pole,
Jak niewzruszony w zapale
Polak walecznym być umie,

»Tego, który razy tyle
W dziesięćkroć drobniejszej sile
Tatarom zachodził śmiało,
Który Ukraińców hordy,
Straszne buntami i mordy,
Tylekroć ukorzył z chwałą,

»Tego, który wśród wzburzenia,
Podołał mocą ramienia
W swojej ojczyzny obronie
Przeciwnie ośmiu sąsiadom
Pokojem zagrodzić zwadom,
A króla wrócić koronie,

»Tego wreszcie, co z swych czynów
Bohatera wart wawrzynów:
Monarcha, którego władza
Tobie winna swoje bycie,
Przy świetnym wodza zaszczycie
Buławą złotą nagradza.«

Przestał. Wszyscy się wzruszyli.
Stefan po milczenia chwili
Tak omdlałym głosem mówi:
»Posłańcze, słyszę z rozkoszą,
Co mi twoje usta głoszą,
I wdzięczen jestem królowi.

»Bo dar ten, chlubna oznaka,
Żem wypłacił dług Polaka,
Święcąc życie dla ojczyzny,
Z tej mię tylko cieszy strony,
Że umieram zapewniony
Wśród nagrody za me blizny.

»Nadto nic więcej nie zrobię,
Innym go powierzcie sobie;
Niechaj się kto inny cieszy,
Że go piastuje w swej dłoni,
Bo za mną wieczność już goni,
Bo już duch mój do niej śpieszy.

»A kiedy skonam nareszcie,
Tem ducha mego ucieszcie,
To go tylko rozweseli,
Kiedy w wieczności odmęcie,
Będę widzieć, jak niezgięcie,
Jak chlubnie legniecie śmieli.

»Same zwycięstw mych uczczenie
Zmienię na tę słodycz, zmienię,
Która się w Polaku rodzi,
Patrzącym na zgon za wolność,
Na piękną do trudów zdolność
I twą nieugiętość, młodzi.

»Biały orle, drogie znamię!
Coś tyle razy w me ramię
Wlewał siłę niezwalczoną,
Przyjmij, co ci dziś powierzę:
Oto są twoi rycerze
I obrońców twoich grono.

»Będziesz czczony, czyś spokojny,
Czy zabłyśniesz hasłem wojny;
A pewnie życia nie skąpi,
Gdziekolwiek staniesz na czele,
Wszyscy za cię zginą śmiele,
Nikt w potrzebie nie odstąpi.

»Lecz nikną mary powabne,
Czuję, jak stopniami słabnę;
Już głos blizkiej śmierci słyszę,
Bije ostatnia godzina,
Serce staje... krew się ścina...
Bądźcie zdrowi, towarzysze.«

Umilkł i zadrżał pobladły,
Sine powieki zapadły,
Dusza ubiegła z westchnieniem.
Oniemiały orszak stoi,
A wnet po błyszczącej zbroi
Łzy się polały strumieniem.

Przejęci boleścią czarną,
Tłumem się żołnierze garną,
Okrążają wodza tłumem.
Wtem gwar głuchy i szczęk stali —
Odgłos słów, odbitych w dali,
Tak się z wiatrów mieszał szumem:

»O boleści, o rozpaczy!
Więc się los nie przeinaczy.
Już cię na wieki traciemy!
Porzuciłeś nas, hetmanie,
Cóż nam po tobie zostanie —
Żalże tylko i proch niemy?

»O źródło cierpień bez tamy,
Myż się tobą dręczyć mamy?
O nędzna uczuć przemiano,
Jakże cię zgodzim w tej dobie!
Nie, te nam szczątki po tobie
Być świętemi nie przestaną.

»Ale, wodzu, niech gdy może,
Natchnie cię życie w tej porze,
A twój trup niechaj opowie,
Czemu kraj cię teraz traci?
Czy złe czeka twych współbraci,
Czy cię niegodni ziomkowie?

»Kiedy tobie zwycięstw chwała
Tyle zawodów wskazała,
Czemuś do nich nie pośpieszał?
Jeszczebyś w gromu postawie
Trwożył wrogi i bezprawie,
A braci męstwem pocieszał.

»Skończmy płacze. Niebo znało,
Żeś uwiecznił się już chwałą,
Trosk ci więc życia skróciło.
Ciesz się z Bogiem, wielki cieniu!
A w nieszczęściach i strapieniu
Wspieraj modły ziemię miłą.«

Zamilkli, a ich wyrazy
Wiatry odbiły o głazy.
Smutnie zaszumiały drzewa,
Słońce w chmur bałwanach tonie
I z żalu po wodza zgonie
Rzęsnym deszczem ziemię zlewa.

1820.

PRZYPISY.

Str. 265 do wiersza »Do przyjaciół«. Pod własnoręczną kopją tego wiersza, w późnej starości sporządzoną, poeta skreślił następującą notatkę: »Ogłosił go (wiersz) »Dziennik Wileński« z roku 1820 za miesiąc marzec z mylnym podpisem Józef (późniejszy Bohdan) Zaleski, dlatego może, że przez niego otrzymał tę poezję. Zapisałem go tutaj jedynie jako pamiątkę, bo jest on utworem z roku 1818, a więc pierwszym prawie, który śmiał wyjrzeć na publiczność, a w szkole Humańskiej, której naówczas byłem uczniem klasy IV, zrobił mi wielki rozgłos poety między mojemi spółuczniami, a nawet nauczycielami; stąd poszły pochwały, zachęty, a następnie ośmielenie do puszczania się w dalszą drogę poetycką. Nie potrzebuję tu mówić, że przekład ten nie daje wyobrażenia o Horacjuszu. Podziwiam tylko gościnność »Dziennika Wileńskiego«, że dał mu miejsce przy swojem ognisku.«

SPIS RZECZY TOMU I.

Uwaga. * oznacza, że utwór znalazł się pierwszy raz w wydaniu zbiorowem.